

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Nr 10 (251) • ROK XXI • PAŹDZIERNIK 2016

Śląski dom
wielu kultur

ISSN 1425-3917



9 774425 391608



Pod koniec października redakcja miesięcznika „Śląsk” zmienia adres. Dzięki uprzejmości i gościnności prof. Jana Malickiego – dyrektora Biblioteki Śląskiej, współwydawcy pisma, przeprowadzamy się do pięknego zabytkowego gmachu Biblioteki Śląskiej przy ulicy Juliusza Ligonia 7 (I piętro, pokój 103). Wkrótce znajdzie tam również swoją nową siedzibę Górnośląskie Towarzystwo Literackie – wydawca „Śląska”. Przy ulicy Dworcowej 13 pozostawiamy naszą blisko 20-letnią historię i setki pięknych wspomnień. Mamy nadzieję, że pod nowym adresem będziemy trwać przez kolejne lata, a duchy niegdysiejszych właścicieli tego pięknego obiektu będą nam sprzyjać.

9 października 2016 r. w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach odbyła się międzyuczelniana inauguracja roku akademickiego 2016/2017. Podczas uroczystości metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworec wręczył profesorowi Janowi Miodkowi Nagrodę *Lux ex Silesia*. Przyznanie tego prestiżowego wyróżnienia, symbolizującego „światło ze Śląska” jest – jak powiedziała w laudacji profesor Helena Synowiec – „wyrazem najwyższego uznania dla służby słowu ojczystemu a zarazem przejawem docenienia wartości języka polskiego z całą różnorodnością jego odmian jako nośnika kultury i narodowego dziedzictwa”.

Zespół redakcyjny „Śląska” składa serdeczne gratulacje Laureatowi



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

Redakcja Opolska:
JANUSZ WÓJCIK

KATARZYNA KUROCZKA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłat należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. Rozmowa z *Magdaleną Szewczuk-Szturc* ŚLĄSK JEST RÓŻNORODNY I GOŚCINNY
8. *Michał Lis* OPCJA NIEMIECKA NA ŚLĄSKU OPOLSKIM
16. *Marcin Gacek* ŚLĄSKIE CHOCHOŁY
18. *Ryszard Bednarczyk* TERBO NORMIA DLA GLIWICKICH ORMIAN
22. *Ślawomir Hordejuk* Tatarskie ślady na Górnym Śląsku
27. *Tytus Kamil Rolski* NIE BYŁBYM TAK KASZUBSKI
30. *Tytus Kamil Rolski* MIRI RANI KAMAW TUT (romskie impresje)
34. Rozmowa z *Przemysławem Isroelem Szpilmanem* ŻYD ZE ŚLĄSKA
37. *Wiesława Konopelska* DO ZOBACZENIA W „CAFE JEROZOLIMA”!
44. *Jan Cofalka* NIEMOŻLIWIE NADZWYCZAJNY KSIĄDZ, UCZONY, SPOŁECZNIK
52. Rozmowa z *prof. Władysławem Szymańskim* WPISAĆ NASZĄ AKADEMIEJĘ W EUROPEJSKĄ ŚWIADOMOŚĆ
54. *Elżbieta Pisarczyk* TUTAJ JEST MÓJ DRUGI DOM
58. *Bożena Cząstka-Szymon, Helena Synowiec* WSPOMNIENIE O PROFESOR ALINIE KOWALSKIEJ
62. *Anna Piontek* MUZYKA W CHORZOWIE
64. SPORTOWE ŻYCIORYSY ŚLĄZAKÓW
Henryk Marzec PAN JÓZEF
69. *Bogdan Widera* STRIPTIZ W BIBLIOTECE ŚLĄSKIEJ

FELIETONY

15. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański SWOI WŚRÓD OBCYCH, OBCY WŚRÓD SWOICH
56. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek GAWĘDY Z UCZNIAMI... NIEMAL WIEK PÓŹNIEJ
57. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek UTWORY FLETOWE ŚLĄSKICH KOMPOZYTORÓW
61. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA
Jan Miodek SORONIE, PRZYCHLIBKI I ASIKI
83. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk PÓŁ ŚWINI NA MARSIE

PLASTYKA

48. *Witold Kociński* PRZYWRACANIE PAMIĘCI
49. RÓŻNE ŚWIATY – JEDNA HISTORIA
50. MARIA MATYJA-ROZPARA. IMPULS.
51. *Wiesława Konopelska* CZASEM WYSTARCZY IMPULS

FOTOGRAFIA

31. ROMOWIE WŚRÓD NAS. FOTOREPORTAŻ ARKADIUSZA GOLI
84. MISTRZOWIE FOTOGRAFII: WALDEMAR JAMA

KSIĄŻKI

72. *Katarzyna Kuroczka* NIEWYKORZYSTANY DEMON PRZYPADKU
73. *Ryszard Bednarczyk* JEDYNIENIE SKÓRA PACHNIE POEZJĄ
74. *Katarzyna Kuroczka* WREDNY ŁOBROZEK CZYLI EGZYSTENCJALNY BIGOS
75. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Izolda Kwiec JESIEŃ
26. *Tytus Kamil Rolski* GDY GINIE OGRÓD
28. *Izolda Kwiec* WIERSZE
40. *Joanna Kern* „GODEJ DO MIE PO NASZYMU”

EKOLOGIA

70. *Jolanta Karmańska* KARPIE Z... OPOLSKIEGO LASU

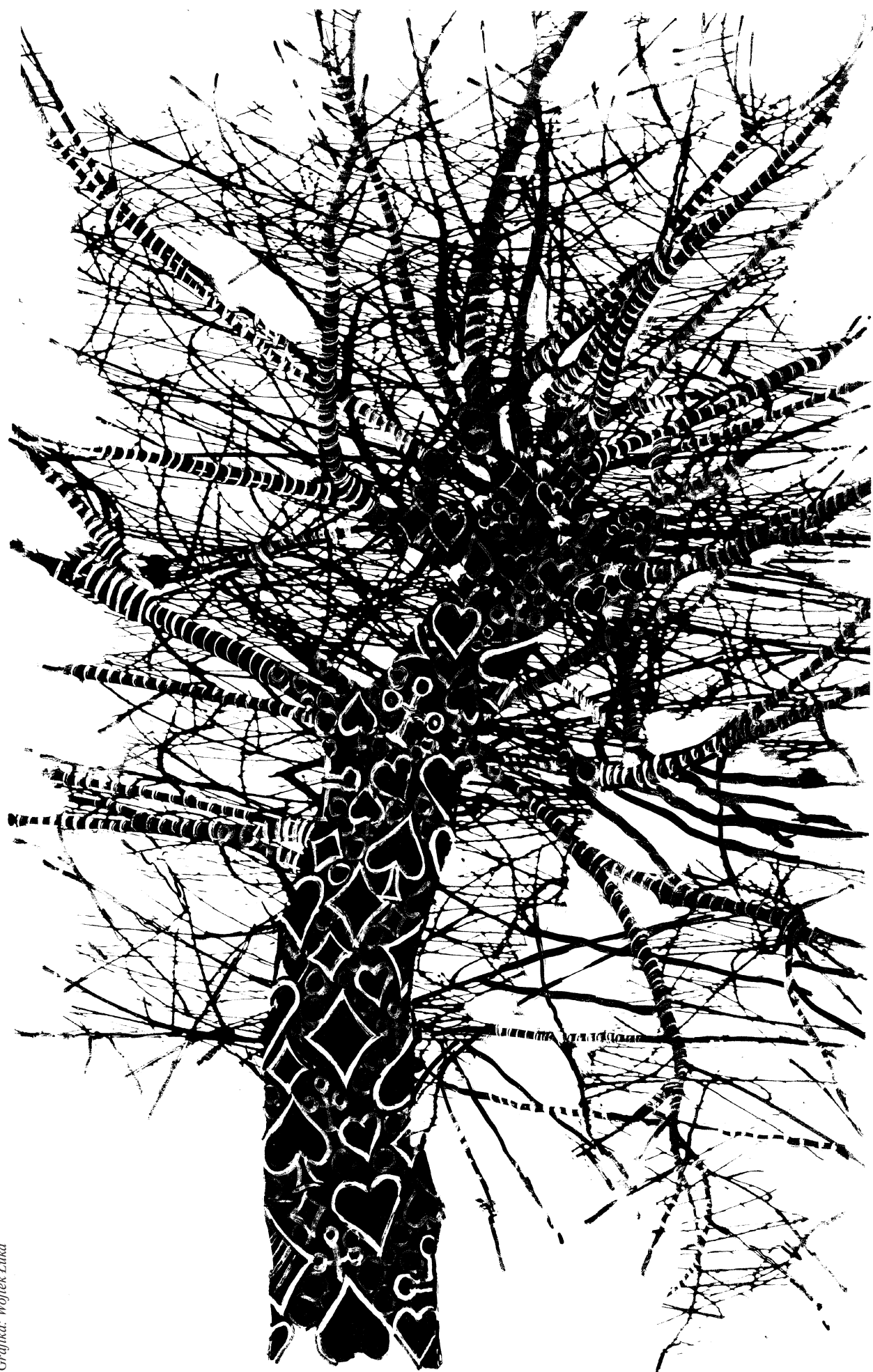
STAŁE RUBRYKI

66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Barbara Laszczyńska JAK ZADBAĆ O PRZYSZŁOŚĆ BIBLIOTEK?
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
PAMIĘCI JERZEGO MOSKALA – CZŁOWIEKA TEATRU
68. OPOLĘ. JUBILEUSZ JERZEGO STEMPLEWSKIEGO
76. ŚLĄSKI MIESIĄC
78. NOTATNIKI KULTURALNE. Redagują: *Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Szuka.*

NA OKŁADCE:

Muzeum Śląskie – Galeria jednego dzieła: Dani Karavan *Reflection / Odbicie* גורלוגיפאק
Foto. Sonia Szeląg/Muzeum Śląskie

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla odmianyWojewódzki Fundusz
Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w KatowicachŚląskie.
Pozytywna energia



JESIEŃ

Drzewa liście gubią
szaro złote brązowe miedziane
Tu rzucasz słowa
zabiera je wiatr
Twe słowa są czarne jak smoła
Bo wiesz serce że okłamujesz cały świat
Nie kłam
Powiedz mi prawdę
Prawda rozpali świat
doda Ci uroku
bez prawdy ciężko żyć
bez prawdy w życiu nie osiągniesz nic

11.09.2013

Izolda Kwiek – urodziła się w Siemianowicach Śląskich, mieszka w Rudzie Śląskiej. Pochodzi z królewskiego rodu Kelderaszów, z którego wywodzili się przywódcy romscy. Jej ojciec Woszo pełnił w Rudzie Śląskiej funkcję wójta rudzkiej społeczności romskiej. Poetka, tancerka, asystent edukacji romskiej, kierownik zespołu „Tabor” oraz „Mały Tabor”, prezes Stowarzyszenia Romów „Gandi”. Brała udział, jako aktorka, w filmach „Czarne Serce” oraz „Komedianci z wczorajszej ulicy”. Członek jury Międzynarodowego Festiwalu Piosenki i Kultury Romów w Ciechocinku. Wydała kilkanaście tomików poezji, wśród nich: *Żal*, *Powrót do przeszłości*, *Martwe liście*, *Z taborem pamięci*, *Na gorąco*, *Gdyby jutra nie było*, *Gorzka miłość*, *Zakochani w Istebniej*. Jej poezja jest znana w wielu krajach, m.in. w Anglii, Niemczech, Czechach.



Z MAGDALENĄ SZEWCZUK-SZTURC

dyrektorem Wydziału Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego i Pełnomocnikiem Wojewody Śląskiego do Spraw Mniejszości Narodowych i Etnicznych rozmawia MARIA SZTUKA

Śląsk jest różnorodny i gościnnie

– O Śląsku zwykliśmy myśleć w kontekście wielokulturowości, ale nasza wiedza na temat mniejszości narodowych i etnicznych zwykle ogranicza się do wymienienia kilku znanych grup, tymczasem okazuje się, że niezależnie od liczby danej społeczności są to wspólnoty pieczołowicie chroniące swoje dziedzictwo narodowe, pamiętające o swoich korzeniach. Powołanie przez wojewodę w 2011 r. pełnomocnika do spraw mniejszości narodowych i etnicznych potwierdza konieczność roztoczenia opieki nad tymi wspólnotami, jaka jest jego rola?

– Może zacznijmy od kompetencji wojewody w tym zakresie. Zgodnie z ustawą o mniejszościach narodowych i etnicznych wojewoda nie tylko koordynuje na terenie województwa działania organów administracji rządowej realizujących zadania na rzecz mniejszości, ale także czuwa nad respektowaniem praw mniejszości, przeciwdziałając ich naruszaniu czy dyskryminacji osób należących do mniejszości. Kompetencją wojewody jest również rozwiązywanie problemów tych społeczności na przykład w dziedzinie wspierania dążeń do zachowania i rozwoju języka mniejszości narodowych a także opiniowanie dokumentów dotyczących wniosków gmin o ustanowienie dodatkowych nazw miejscowości lub obiektów fizjograficznych w języku mniejszości. I teraz możemy przejść do roli pełnomocnika, jego zadaniem jest koordynacja i realizacja tych celów na obszarze województwa. Pełnię tę funkcję od 2012 r. będąc równocześnie dyrektorem Wydziału Spraw Obywatelskich i Cudzoziemców Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, co zdecydowanie pomaga, ponieważ zakresy działań w obu obszarach są nierozdzielnie ze sobą związane a bywa, że wzajemnie się uzupełniają. To szczególnie owocuje w przypadku realizacji programów integracyjnych, pozwala

na pełną koordynację działań i unikanie ewentualnego powielania niektórych inicjatyw i przedsięwzięć.

– Ostatni spis powszechny mieliśmy w 2011 r., był on zarazem pierwszym od wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, uwzględnił więc efekty wzmożonej migracji. Jakie mniejszości narodowe i etniczne zamieszkują na terenie województwa śląskiego?

– Najlicniejsza jest mniejszość niemiecka, liczy bowiem blisko 35 tysięcy osób, na drugim miejscu plasują się Romowie, których według spisu mamy 1733 osoby, w naszym województwie mieszkają także, Ormianie, Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi, Słowacy, Czesi, Białorusini, Litwini a także należący do mniejszości etnicznych, Karaimi, Łemkowie i Tatarzy.

– Czy w porównaniu z rezultatami uzyskanymi podczas spisu powszechnego w 2002 r. można zauważyć duże zmiany?

– Mamy głównie do czynienia z większą liczbą osób deklarujących przynależność do mniejszości narodowych lub etnicznych. Największy wzrost odnotowujemy w społeczności romskiej, ponieważ jednak są to dane sprzed pięciu lat, możemy więc przypuszczać, że liczba ta dziś jest znacznie wyższa. Przybyło także członków społeczności ukraińskiej, ormiańskiej, Rosjan, Żydów, Czechów i Słowaków. Mniejszość niemiecka, która w 2002 r. liczyła 30 531, w ciągu tych blisko dziesięciu lat dzielących oba spisy, powiększyła się o ponad cztery tysiące. W 2002 r. w województwie śląskim odnotowano tylko jedną gminę, w której mniejszość stanowiła więcej niż 20 procent ogółu ludności, były to Krzanowice, gdzie licznie zamieszkuje mniejszość niemiecka. Po spisie w 2011 r. dołączyły jeszcze dwie: Pietrowice Wielkie i Rudnik. Warto dodać, że w naszym województwie mieszkają 43 osoby posługujące się językiem kaszubskim. Ogólnie liczba

mniejszości zwiększyła się z ośmiu w 2002 do trzynastu w 2011 roku. Ważne, abyśmy jednak zdawali sobie sprawę ze skali tego zjawiska. Mniejszości narodowe i etniczne stanowią 0,88 procenta ludności województwa śląskiego, jest to niecałe 41 tysięcy osób.

– Najlicniejszą jest mniejszość niemiecka, jaka jest pozycja tej grupy w społeczności regionu?

– To najlepiej obrazuje szereg organizacji, które działają na terenie województwa. Blisko połowa członków mniejszości niemieckiej uczestniczy w pracach najstarszego, liczącego ponad 26 lat Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców Województwa Śląskiego (DFK), wprawdzie jego główna siedziba mieści się w Raciborzu, ale towarzystwo ma około stu kół terenowych i dzięki oddziałom, jest zrzeszona w ogólnokrajowym Związku Towarzystw Niemieckich (VDG). Efekty ich pracy są widoczne. Słychać ich w Polskim Radiu Katowice, gdzie przygotowują „Praesent” – audycję dla mniejszości niemieckiej a w Raciborzu w prywatnym radiu Vanesa prezentowane są niedzielne audycje „Deutsche Stimme”, które przekazują wiadomości z regionu i koncert życzeń, w telewizji katowickiej ukazuje się magazyn „Schlesien Journal”. Dużą popularnością cieszy się na przykład coroczny Festiwal Kultury Mniejszości Niemieckiej. W terenie działają liczne grupy taneczne, śpiewacze, chóry, orkiestry, zespoły dziecięce i młodzieżowe, które wspiera DFK.

– Ile w skali roku takich przedsięwzięć integracyjnych proponuje DFK?

– Dużo, łącznie realizują ponad tysiąc projektów kulturalnych, są wśród nich także wyjazdy edukacyjne, warsztaty, seminaria, kolonie dla dzieci i wiele innych. Szereg tych przedsięwzięć zarówno w sferze kulturalnej jak i edukacyjnej DFK przygotowuje wspólnie z miejscowymi samorządami.

– Nie tylko DFK ma swoje audycje w Radiu Katowice.

– To prawda, na przykład Stowarzyszenie Niemiecka Wspólnota Pojednanie i Przyszłość prowadzi Górnośląski Magazyn Mniejszości Niemieckiej „Pojednanie i Przyszłość”, jest on emitowany na antenie radiowej, członkowie stowarzyszenia udzielają się także w chórze. Wiele organizacji podejmuje szczegółowo sprecyzowane zadania, choćby Górnośląska Fundacja Kultury i Spotkań im. J. von Eichendorffa, która otoczyła pamięcią spuściznę po poecie, opiekuje się także ruinami zamku w Łubowicach, parkiem, cmentarzem, mogiłą Eichendorffów w Nysie. Fundacja prowadzi również szeroką działalność wydawniczą, drukuje między innymi: roczniki łubowickie, kwartalne zeszyty Eichendorffa, publikacje naukowe, dzieła literatury niemieckiej związanej z regionem. Przy Centrum działa również rada naukowa zrzeszająca naukowców z Polski, Czech i Niemiec. Natomiast Fundacja Mniejszości Niemieckiej Województwa Śląskiego, która ma swoją siedzibę w Rybniku zajmuje się pielęgniowaniem i popularyzacją języka niemieckiego, dorobku kulturalnego, historycznego, sztuki oraz tradycji krajów niemieckojęzycznych.

– W kilku miejscowościach pojawiły się nazwy w języku polskim i niemieckim.

– Tę kwestię regulują zapisy zawarte w ustawie o mniejszościach narodowych i etnicznych z 2005 r. Od momentu wejścia w życie ustawy trzy gminy: Krzanowice, Sośnicowice i Rudnik, zostały wpisane do prowadzonego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji Rejestru Gmin, na obszarze których używane są nazwy w języku mniejszości. Tak więc w tych trzech gminach pojawiły się tablice z dodatkowymi nazwami w języku niemieckim.

– Drugą co do wielkości mniejszością narodową w regionie są Romowie.

– Na podstawie danych GUS w województwie śląskim zamieszkuje obecnie blisko dwa tysiące osób narodowości romskiej. Osiedlili się oni głównie w: Zabrze, Bytomiu, Chorzowie Gliwicach, Katowicach, Rudzie Śląskiej, Siemianowicach Śląskich, Tarnowskich Górach, Żywcu i Zawierciu. Najliczniejszą grupą są Romowie Bergitka...

– Zwani inaczej Romami Karpackimi, przybyli tu przed wiekami z Węgier...

– W naszym województwie mieszkają także inne grupy: Polska Roma, Kelderasz i Lowarzy... a więc przybysze z różnych stron Europy. W większości są to osoby ubogie, korzystające z różnych form pomocy społecznej. Największymi problemami Romów i to nie tylko w naszym województwie są: bezrobocie, edukacja, bezpieczeństwo i sytuacja bytowa. Większość osób w wieku produkcyjnym jest bezrobotna, wynika to najczęściej z braku wykształcenia i likwidacji w latach 90. dużych zakładów produkcyjnych, które dyspono-

wały stanowiskami nie wymagającymi wysokich kwalifikacji. Dzisiaj trudno już znaleźć przedsiębiorstwa, które oferują pracę kotlarzom, czy kowalom a to jest właśnie główne tradycyjne rzemiosło romskie. Nie jest też tajemnicą, że nie ma wielu chętnych do zatrudniania Romów. Część więc z nich utrzymuje się z handlu, część pracuje, ale to niewielka grupa a część pobiera renty. Tylko nieliczni mają wypracowane emerytury.

– Gdzie zwykle znajdują zatrudnienie?

– Stałą pracę posiadają na przykład asystenci edukacji romskiej, ich wynagrodzenie finansowane jest ze zwiększonej subwencji oświatowej, okresowo niektórzy Romowie także znajdują zatrudnienie w ramach prac subsydiowanych. Niestety, ogólnie dostępne zasady i formy aktywizacji zawodowej są często „poza zasięgiem” Romów nie tylko z przyczyn edukacyjnych, ale także barier kulturowych.

– Romanipen, czyli niepisany kodeks postępowania Romów zabrania między innymi kontaktów z osobami chorymi i wszelkiego typu nieczystościami.

– Dlatego romskie kobiety nie mogą wykonywać na przykład zawodu pielęgniarki, czy salowej a mężczyźni pracować w domach pogrzebowych. Te kulturowe obwarowania to jeden z powodów, dla których Romowie, jako jedyna mniejszość narodowa zostali objęci specjalnym wieloletnim programem integracji społecznej. Został on zainicjowany w całym kraju w 2004 r. Pierwszy etap zakończył się w 2013 r. a obecnie jesteśmy w trakcie realizacji zadań przewidzianych na lata 2014–2020. Głównymi obszarami, do których kierowana jest pomoc są: edukacja, praca, zdrowie i mieszkalnictwo. Realizacją poszczególnych zadań zajmują się gminy, które przy pomocy MOPS, różnego typu placówek oświatowych, organizacji pozarządowych, w tym także stowarzyszeń romskich starają się rozwiązywać wiele problemów tej społeczności. Każdego roku Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji ogłasza nabór wniosków w ramach programu integracji społeczności romskiej w Polsce, których celem jest pomoc Romom w odnalezieniu się we współczesnych standardach cywilizacyjnych. Zadania programu integracji są finansowane z budżetu wojewody ze środków rezerwy celowej budżetu państwa: *Pomoc dla społeczności romskiej*. Od 2004 do 2015 roku w województwie śląskim zrealizowano ponad 900 projektów, w zdecydowanej większości miały one charakter edukacyjny. Bardzo dobrze funkcjonują świetlice integracyjne, efekty ich pracy są widoczne, uczęszcza do nich coraz więcej dzieci w wieku szkolnym. A to szczególnie ważna grupa wiekowa.

– Wspomniała pani o asystentach romskich, kim są i jakie zadania spełniają?

– Asystenci edukacji romskiej z niewielkimi wyjątkami są to Romowie i co warto dodać, wśród nich jest wiele kobiet romskich, które znacznie częściej niż mężczyźni podejmują tę pracę. Rolą asystenta jest utrzymywanie stałych kontaktów z dziećmi i ich rodzicami, pełnią oni funkcję łącznika między szkołą a rodziną. Organizujemy szereg do kształcących spotkań, konferencji i szkolenia w których aktywnie uczestniczą asystenci edukacji romskiej. To procentuje. Coraz więcej dzieci chętnie uczestniczy w życiu szkoły. Taką wzorcową szkołę mamy na przykład w Zabrze, gdzie nauczyciele od początku realizują program integracyjny, dzięki czemu udało im się rozwiązać podstawowe problemy.

– Z kim współpracuje pełnomocnik?

– To bardzo długa lista, otwierają ją oczywiście samorządy poszczególnych gmin i podległe im jednostki świadczące pomoc społeczną. Zainicjowaliśmy i stale poszerzamy współpracę z Kuratorium Oświaty i z Policją, szczególnie z Pełnomocnikiem Śląskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji do spraw Ochrony Praw Człowieka. Przykładem może być wspólna organizacja konferencji szkoleniowej pod tytułem „Wiedza – dla integracji i bezpieczeństwa”, w której uczestniczyli przedstawiciele organizacji i środowisk mniejszości narodowych i etnicznych, komendanci straży miejskich, policji, prokuratorzy, nauczyciele, przedstawiciel Fundacji Klamra. Tego typu spotkania służą przede wszystkim wzajemnej edukacji a w efekcie przeciwdziałaniu wszelkim przejawom ksenofobii, które choć incydentalnie, ale występują.

– Ślady kultury żydowskiej możemy spotkać niemal wszędzie, natomiast społeczność żydowska jest coraz mniej widoczna w naszym regionie.

– Na terenie województwa istnieją dwie gminy wyznaniowe żydowskie działające w oparciu o ustawę o stosunku Państwa do gmin wyznaniowych żydowskich: w Bielsku-Białej i Katowicach (Gmina Wyznaniowa Żydowska w Katowicach obejmuje swym zasięgiem obszar dawnych województw: katowickiego, częstochowskiego i kieleckiego). Działają też oddziały Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce (Katowice, Częstochowa, Gliwice, Bielsko-Biała) oraz Bytomskie Stowarzyszenie Kultury Żydowskiej. Działania na rzecz kultury żydowskiej prowadzą fundacje, instytucje kultury i stowarzyszenia. Przykładem może być Fundacja Brama Cukermana.

Zarówno Oddziały TSKŻ, jak i Gminy Wyznaniowe są bardzo aktywni zarówno w sferze społecznej, kulturalnej jak i edukacyjnej. Prowadzą działalność statutową na rzecz swoich członków oraz współpracują z instytucjami, organizacjami pozarządowymi, kościołami i innymi związkami wyznaniowymi oraz samorządami, działając na rzecz upowszechnienia wiedzy o kulturze

i tradycji żydowskiej oraz upamiętnienia ofiar Holocaustu.

Ważnym, dla całej mniejszości żydowskiej z regionu przedsięwzięciem, był projekt pod nazwą „Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970”, przygotowywany przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach, fundację Brama Cukermana w Będzinie oraz Ghetto Fighter’s House z Galilei Zachodniej.

Pomimo że obecnie w województwie śląskim odnotowujemy bardzo niewielką liczbę osób należących do mniejszości żydowskiej, to zaledwie 557 osób, jednak w przeszłości Żydzi licznie zamieszkiwali na terenie obecnego województwa śląskiego. Świadectwem tej obecności są 42 cmentarze żydowskie (w tej liczbie uwzględniono tylko obiekty, co do których istnieje jakikolwiek ślad materialny lub przy braku takowego są przekonujące dowody na jego istnienie i lokalizację).

– **Otwarte granice, zjednoczona Europa... coraz więcej ludzi migruje...**

– To naturalny przejaw, ale tych nawet czasem bardzo licznych grup, które zmieniają miejsce zamieszkania nie należy mylić z mniejszościami narodowymi. Efektem migracji jest napływ cudzoziemców. Może więc warto przypomnieć, że w rozumieniu ustawy – mniejszością narodową jest grupa obywateli polskich, która spełnia łącznie wiele warunków, jednym z nich jest wymóg, aby jej przodkowie zamieszkiwali obecne terytorium Rzeczypospolitej Polskiej od co najmniej 100 lat i aby grupa ta utożsamiała się z narodem zorganizowanym we własnym państwie. W Polsce wyróżniamy dziewięć mniejszości narodowych: białoruską, czeską, litewską, niemiecką, ormiańską, rosyjską, słowacką, ukraińską i żydowską. Na Śląsku mieszkają reprezentanci każdej z nich.

– **Nie wszystkie mniejszości są tak widoczne jak niemiecka, żydowska, czy romska. O wielu z nich bardzo mało jest nam wiadomo.**

– Spis powszechny z 2011 r. po raz pierwszy ujawnił istnienie w naszym regionie mniejszości etnicznych karaimskiej i tatarskiej oraz mniejszości narodowych, białoruskiej i litewskiej... są to liczebnie niewielkie grupy, ale fakt deklaracji przynależności świadczy o silnym przywiązaniu do tradycji i kultury przodków. Przykładem takiej pamięci o swoich korzeniach i dziedzictwie mogą być Ormianie. Bardzo ważnym aspektem narodowej tożsamości Ormian jest wiara chrześcijańska i Kościół. W Gliwicach siedzibą parafii jest zabytkowa świątynia, jedyny w Polsce obiekt kościelny obrządku ormiańskiego. Nabożeństwa odbywają się tam w języku staroormiańskim, trzeba jednak dodać, że jest to wyłącznie język liturgii a nie współczesny ormiański. Przy kościele w Gliwicach zastał kilka lat temu posa-

dawiony Chaczkar, krzyż poświęcony pamięci Polaków i Ormian pomordowanych w ubiegłym stuleciu, to dar narodu ormiańskiego sprowadzony do Gliwic za pośrednictwem Fundacji Ormian w Polsce.

– **Przybywa na Śląsku Ukraińców.**

– Wprawdzie w ciągu ostatnich dziesięciu lat ich liczba zwiększyła się trzykrotnie, ale mniejszość ukraińska liczy w naszym regionie niewiele ponad tysiąc osób. Po dramatycznych wydarzeniach na Majdanie przybyło do nas wielu Ukraińców, aby leczyć się w Polsce. Rolą pełnomocnika było wówczas udzielenie im pomocy prawnej, zorganizowanie legalnych pobytów. Na terenie województwa działa katowickie koło Związku Ukraińców w Polsce, które współpracuje z parafią grekokatolicką pod wezwaniem Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy. Mimo że tylko niewielka część mniejszości jest zrzeszona w kole, stanowi rzeczywistą wspólnotę. Organizują spotkania świąteczne, inicjują wiele wydarzeń kulturalnych, ich „wieczory” poświęcone twórczości Łesi Ukrainki czy wieszca narodowego Ta-

rasa Szewczenki są niezwykle interesujące. Związek pielęgnuje język, ukraińskie tradycje i kulturę. Społeczność ukraińska organizuje uroczystości z okazji święta niepodległości Ukrainy oraz innych ważnych rocznic, jak na przykład upamiętnienie ofiar wielkiego głodu na Ukrainie w latach 1932-33. Od wielu lat dba o zachowanie pamięci ofiar komunistycznego obozu pracy w Jaworznie, wśród których było wielu Ukraińców. Każdego roku wspólnie z władzami Jaworzna i parafią grekokatolicką przygotowuje pod Pomnikiem ofiar terroru komunistycznego uroczystości upamiętniające ofiary Centralnego Obozu Pracy.

Wszystkich, którzy interesują się historią, kulturą mniejszości narodowych i etnicznych zachęcam do lektury stron internetowych, gazet i coraz liczniejszych wydawnictw poszczególnych organizacji. Warto również zaglądać do aktualności na stronie Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego.

– **Znajomość innych kultur wzbogaca nas i otwiera na dialog i tolerancję, a tego potrzebujemy wszyscy. Dziękuję za rozmowę.** ■

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE:

Mniejszością narodową, w rozumieniu ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym z dnia 6 stycznia 2005r., jest grupa obywateli polskich, która spełnia łącznie następujące warunki:

- jest mniej liczebna od pozostałej części ludności Rzeczypospolitej Polskiej;
- w sposób istotny odróżnia się od pozostałych obywateli językiem, kulturą lub tradycją;
- dąży do zachowania swojego języka, kultury lub tradycji;
- ma świadomość własnej historycznej wspólnoty narodowej i jest ukierunkowana na jej wyrażanie i ochronę;
- jej przodkowie zamieszkiwali obecne terytorium Rzeczypospolitej Polskiej od co najmniej 100 lat;
- utożsamia się z narodem zorganizowanym we własnym państwie.

Mniejszości narodowe:

- białoruska;
- czeska;
- litewska;
- niemiecka;
- ormiańska;
- rosyjska;
- słowacka;
- ukraińska;
- żydowska.

Mniejszością etniczną, w rozumieniu ustawy, jest grupa obywateli polskich, która spełnia łącznie następujące warunki:

- jest mniej liczebna od pozostałej części ludności Rzeczypospolitej Polskiej;

- w sposób istotny odróżnia się od pozostałych obywateli językiem, kulturą lub tradycją;
- dąży do zachowania swojego języka, kultury lub tradycji;
- ma świadomość własnej historycznej wspólnoty etnicznej i jest ukierunkowana na jej wyrażanie i ochronę;
- jej przodkowie zamieszkiwali obecne terytorium Rzeczypospolitej Polskiej od co najmniej 100 lat;
- nie utożsamia się z narodem zorganizowanym we własnym państwie.

Mniejszości etniczne:

- karaimska;
- lemowska;
- romska;
- tatarska.

W województwie śląskim zamieszkuje następujące mniejszości narodowe i etniczne:

Niemcy	– 34 799 osób
Karaimi	– 42 osoby
Ormianie	– 167 osób
Romowie	– 1 733 osoby
Rosjanie	– 829 osób
Ukraińcy	– 1 041 osób
Żydzi	– 557 osób
Słowacy	– 264 osoby
Czesi	– 580 osób
Lemkowie	– 126 osób
Białorusini	– 352 osoby
Tatarzy	– 74 osoby
Litwini	– 188 osób

oraz społeczność posługująca się językiem regionalnym: kaszubskim – 43 osoby.



Fot. Arkadiusz Gola

Rodzina romska z okolic Rudy Śląskiej

Fot. Arkadiusz Lawrywianiec

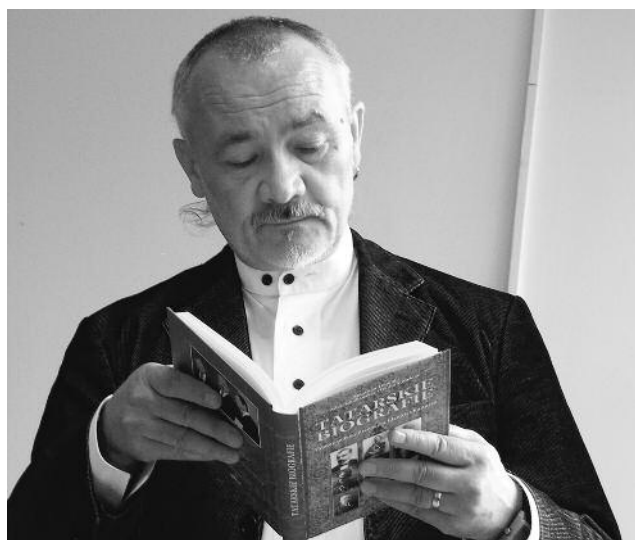


Joshua Ellis – były rabin Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Katowicach



Fot. Ryszard Bednarczyk

Kazanie proboszcza gliwickiej parafii ormiańskiej



Fot. MBP w Katowicach

Musa Czachorowski (poeta, tłumacz i dziennikarz) na spotkaniu w Miejskiej Bibliotece w Katowicach opowiadał o tożsamości współczesnych Tatarów



Opcja niemiecka na Śląsku Opolskim

MICHAŁ LIS

Po doświadczeniach wywołanej agresją III Rzeszy Niemieckiej na Polskę II wojny światowej, która pochłonęła ok. 6 mln obywateli polskich, w tym prawie całą liczącą ponad 3,2 mln osób ludność żydowską oraz poddaną szczególnej eksterminacji – znaczną część stanowiącej elitę społeczeństwa inteligencji, na podatny grunt padały hasła Polski bez Niemców jako jej mieszkańców-obywateli. Pod koniec wojny, gdy na początku stycznia 1944 r. przesuw-

ająca się na zachód Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę II Rzeczypospolitej, Niemcy masowo zaczęli uciekać przed nadchodzącym frontem. Exodus ten nasilił się, gdy walki, począwszy od Prus Wschodnich, szybko przenosiły się na zachód. Ucieczką Niemców posłużył się rok później Józef Stalin w Poczdamie, postulując wschodnią granicę powojennych Niemiec na Odrze i Nysie Łużyckiej. Wykorzystywać ją zaczęli także przedstawiciele organizującej się pol-

skiej administracji na formalnie niemieckich obszarach przekazywanych przez radzieckie komendantury wojenne. Już wówczas na zachodnich obszarach przygranicznych rozpoczęto akcję usuwania tych, którzy przetrwali przejście frontu, nie opuszczając miejsc swego życia lub zdążyli wrócić do swych domostw po ustaniu działań wojennych. W miejsce niemieckich mieszkańców zaczęto osadzać ludność polską wyrzuconą z ojcowizn na wschodnich terytoriach II Rzeczypo-



spolitej zaanektowanych przez Moskwę za zgodą zachodnich sojuszników.

Co naprawdę niesie wojna, mieszkańcy przedwojennego Śląska Opolskiego przekonać się mieli dopiero po rozpoczęciu w styczniu 1945 r. przez Armię Czerwoną kolejnej ofensywy. Najpierw więc władze niemieckie zarządziły ewakuację mieszkańców Górnego Śląska. Znaczna ich część sama – w wyniku goebbelsowskiej propagandy, której zasadność zaczęli potwierdzać m.in. uciekinierzy z Prus Wschodnich – zaczęła opuszczać swoje domy, szukając w Czechach i na zachodnich obszarach Niemiec warunków do przeżycia ostatniej fazy wojny. Część z nich zginęła w drodze podczas ostrej zimy na początku 1945 r.

Wraz z przekazywaniem w drugiej połowie marca 1945 r. przez Armię Czerwoną terytorium po prawej stronie Odry, organizujące się władze polskie rozpoczęły akcję wysiedlania żyjących tu Niemców. Miało to miejsce w czasie trwającej jeszcze wojny, przed decyzjami zwycięskich mocarstw o losach pokonanych Niemiec. Jedyną podstawą tych działań były przyjęte na początku lutego 1945 r. w Jalcie uzgodnienia przywódców koalicji antyfaszystowskiej w sprawie zapowiadanego już w końcu listopada 1943 r. w Teheranie „przesunięcia” Polski na zachód, co reali-

zował Stalin, wyznaczając Linie Curzona jako wschodnią granicę Polski, a zachodnią niemiecko-polska granica miała zostać oparta na linii Odry–Nysy Łużyckiej. Decyzje te potwierdzone zostały oficjalnie dopiero w konkluzji poczdamskiego spotkania przywódców zwycięskich mocarstw. Ostatecznie miały zostać rozpatrzone podczas konferencji pokojowej mającej oficjalnie kończyć wojnę. Formalnie dopiero zgodnie z punktem XIII ogłoszonego w Poczdamie 2 sierpnia 1945 r. komunikatu, który przyjęło się nazywać umową poczdamską, polskie władze uzyskały podstawę do wysiedlenia dotychczasowych mieszkańców na terytorium okupowanych przez wojska zwycięskich mocarstw pokonanych Niemiec.

Organizująca powojenną odbudowę życia w nowych granicach, polska administracja postanowiła, na zasadzie wyjątku, zostawić na jakiś czas w kraju tylko Niemców uznanych za „niezbędnych fachowców” wraz z ich rodzinami. Największa ich liczba znalazła się na Dolnym Śląsku – głównie w okręgach górniczych. Badająca zagadnienie Beata Ociepka ustaliła, iż w 1950 r. było to 51 578 osób, którzy największe skupisko (47,8%) tworzyli w ośrodku wałbrzyskim; w powiecie wałbrzyskim mieszkały wówczas 17 204 osoby, a w Wałbrzychu – 7403 osoby. Drugim ośrodkiem z ludnością niemiecką na Dolnym Śląsku było Kłodzko z 5259 osobami¹⁰⁰.

Pozostawieni w Polsce Niemcy nie mieli w pierwszych powojennych latach żadnych praw – z wyjątkiem prawa posyłania dzieci do szkół z niemieckim językiem nauczania. Pierwsze dokumenty osobiste w postaci tymczasowych zaświadczeń tożsamości otrzymali dopiero w 1957 r., po załamaniu się stalinowskich metod rządzenia, czego przejawem stały się zmiany rozpoczęte w październiku 1956 r. Wówczas też zaczęli na Dolnym Śląsku tworzyć infrastrukturę niemieckiego życia organizacyjnego i kulturalnego w postaci ogniw Niemieckiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, czyli bibliotek, świetlic i domów kultury oraz zespołów artystycznych. Miało to umożliwić utrzymanie i pielęgnowanie niemieckiej kultury. Władze zapewniły też wydawanie w języku niemieckim gazety „Arbeiterstimme”, a dla górników pisma „Wir Bauen Auf” – obsadzonych przez wyznaczonych polskich redaktorów, poddanych nadto cenzurze politycznej – jak wszystkie czasopisma w kraju.

Popaździernikowa odwilż polityczna przyniosła też zatrzymanym w Polsce Niemcom możliwość uzyskania paszportu i udania się do NRD, co zapoczątkowało w rezultacie narastającą emigrację. W efekcie – stwierdza Thomas Urban – do końca lat pięćdziesiątych Niemcy niemal w całości opuścili kraj¹⁰¹. Zgodnie z ustaleniami badającej zagadnienie wspomnianej już B. Ociepki, w 1961 r. pozostało na Dolnym Śląsku jedynie 2910 Niemców, z których 1000 mieszkało w Wałbrzychu i powiecie, a 300 w Kłodzku¹⁰².

Inaczej rzecz się miała na włączonym już wiosną 1945 r. do województwa śląskiego obszarze przedwojennej rejencji opolskiej. Tu dla wyselekcjonowania osób narodowości niemieckiej, które miały zostać wysiedlone, zarządzone weryfikację narodowościową. U podłoża tej idei leżało założenie, że przeważająca część mieszkańców Śląska Opolskiego, czyli przedwojennej rejencji opolskiej, to etniczni Polacy, którzy choć w części ulegli germanizacji, to jednak zachowali świadomość związków z polskością. Teza ta miała dowodzić, że Polska wraca na ziemię w rzeczywistości już wcześniej zamieszkaną przez Polaków. Żyjących tu Niemców potraktowano jako etnicznie obcy element napływowi¹⁰³.

Po trwających do końca lat czterdziestych wysiedleniach Niemców (co w Niemczech Zachodnich zaczęto określać „zbrodnią wypędzenia”), władze polskie aż do upadku systemu realnego socjalizmu zaprzeczały istnieniu mniejszości niemieckiej w Polsce. Potwierdzali to badający zagadnienie pracownicy nauki, szacujący liczebność Niemców w Polsce pod koniec lat 50. na 3–4 tys. osób¹⁰⁴. W RFN liczbę Niemców żyjących na ziemiach zachodnich, określaną jako obszar administrowany przez Polskę, obliczali w 1960 r. na 87 425 osób, w tym w województwach górnośląskich – na 54 322 osoby (w województwie katowickim 34 104 i opolskim 20 218), co stanowiło 62,1% ogółu¹⁰⁵.

Legalizacja działalności mniejszości niemieckiej

Przyjęte podczas wizyty Helmuta Kohla w Polsce ustalenia stworzyły sprzyjający klimat do zmiany stosunku władz wobec dążącej do legalizacji mniejszości niemieckiej w kraju, w tym na historycznym Górnym Śląsku jako obszarze zwartego zamieszkania jej liczebnie największej bazy społecznej. W tej nowej atmosferze politycznej już 19 stycznia 1990 r. w Katowicach, a 23 stycznia w Częstochowie sądy podjęły decyzje o zarejestrowaniu Towarzystw Społeczno-Kulturalnych Ludności Pochodzenia Niemieckiego. Najliczniejsze – nie tylko na Górnym Śląsku, ale także w kraju – Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim (TSKMN) sąd zarejestrował 16 lutego 1990 r. Poza Górnym Śląskiem organizacje mniejszości zarejestrowane zostały – w Olsztynie (Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej na Warmii i Mazurach), w Gdańsku (Stowarzyszenie Obywateli Polskich Pochodzenia Niemieckiego) oraz w innych częściach kraju. Poza tymi organizacjami *sensu stricto* politycznymi, zaczęły od końca 1989 r. powstawać inne mające realizować określone w statutach cele – głównie kulturalne, turystyczne czy gospodarcze. Jako jedne z pierwszych tego rodzaju należy wymienić Towarzystwo imienia Josepha Eichendorffa w Nysie,

Stowarzyszenie Turystyki Zagranicznej (Fremdenverkehrsverein) w Jemielnicy, czy Stowarzyszenie Rolników Niemieckich na Śląsku (Bauernverband der Deutschen in Schlesien) w Raciborzu.

Po wizycie kanclerza Kohla, aktywny ziomkowski zintensyfikował kontakty z proniemieckimi środowiskami na Górnym Śląsku. Już w grudniu 1989 r. w Wysokiej, koło Góry św. Anny, podczas zorganizowanego przez miejscowe DFK spotkania Ślązaków, Ortwin Lowack, jeden z czołowych polityków Ziomkostwa Schlesierów i deputowany do Bundestagu, podkreślał celowość pomocy dla Śląska ze strony Niemiec, gdyż – jak mówił – tylko przy pomocy Niemców można z powodzeniem ten „przedsiębiorstwa w Europie” przekształcić w kwitującą i atrakcyjną krainę, co powinno stać się zadaniem wszystkich Niemców i Ślązaków rozproszonych w Niemczech¹³⁵. Szczególną aktywność zaczął wykazywać wspomniany już sekretarz generalny BdV Hartmut Koschik, który wykorzystując mające się odbyć w 1990 r. obchody 40-lecia Karty Niemieckich Wypędzonych ze Stron Ojczystych, podkreślał m.in.: „W roku 1990, podobnie jak w 1950, Niemcom wypędzonym ze stron ojczystych chodzi o urzeczywistnienie ich prawa do stron ojczystych i do swobodnego samostanowienia w ramach [...] porządku europejskiego.

W 1990 r., podobnie jak w 1950 r., oznajmiają, że prawa te powinny być realizowane tylko przy użyciu pokojowych środków i nie są wymierzone w nikogo, zwłaszcza w Niemców, mieszkających dziś na ojczystych ziemiach wypędzonych wspólnie z ludźmi, na których spoczywa odpowiedzialność polityczna w Niemczech, a także ze wschodnimi sąsiadami. Niemcy wypędzeni ze stron ojczystych chcą wykazać siłę ideowo-polityczną, by swoje słuszne i chronione przez Powszechną Deklarację Praw Człowieka ogłoszoną przez ONZ oraz przez Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych z 16 grudnia 1966 r. prawa pogodzić z niezaprzeczalnym prawem nie-Niemców mieszkających na ojczystych ziemiach wypędzonych do swobodnego rozwoju i zapewnionej egzystencji. Tę zaangażowania, tej siły ideowo-politycznej nie wykazują ci, którzy obecnie prowadzą niepotrzebne dyskusje o granicach zamiast myśleć o strukturalnych elementach możliwego do przyjęcia kompromisu w otwartych kwestiach terytorialnych i granicznych. [...] Otwarte kwestie terytorialne i graniczne nie mogą z braku pomysłów rozwiązań przekształcić się w potencjał zakłócający pilnie potrzebne porozumienie europejskie. Nie zapobiegnie się wszakże temu, jeżeli będzie się te problemy przemilczać albo będzie się je chciał rozwiązywać przez jednostronny dyktat. [...] Również Niemcy wschodni, Niemcy Sudeccy i Niemcy południowo-wschodni należą do narodu niemieckiego. Nie mogą zostać wyrzuceni poza nawias, kiedy zegary historyczne w Niemczech i Europie na nowo się nastawia”¹³⁶.

W warunkach załamania się systemu realnego socjalizmu, czyli wyzwalania się narodów środkowej i wschodniej Europy spod kurateli Moskwy i postępującej demokratyzacji życia na wschód od Łaby, Koschik uważał, że rząd RFN powinien opowiedzieć się za międzynarodowym prawem grup narodowościowych, które mniejszościom narodowym i grupom narodowościowym przyznałoby maksimum samorządności i autonomii. Umożliwiłoby to m.in. rozwiązać nadal otwarte kwestie terytorialne, czy zapewnić, np. Niemcom żyjącym w Europie Wschodniej, tworzenie autonomicznych prowincji i republik, co gwarantowałoby im egzystencję i swobodny rozwój, w tym nowe perspektywy gospodarcze. Podczas wizyt na Górnym Śląsku Koschik starał się m.in. proniemiecko nastawionych Ślązaków utrzymywać w przekonaniu, że są nadal obywatelami państwa niemieckiego. Do rządu w Bonn kierował postulaty dotyczące potrzeby opracowania programu pomocy kulturalnej i gospodarczej dla „wschodniemieckiej mniejszości”, czyli „300 000 Niemcom, którzy duchowo siedzą na spakowanych walizkach”. Grozi to wybuchem „paniki na moment przed zamknięciem bram”, w wypadku spodziewanego ostatecznego uznania powojennej granicy polsko-niemieckiej. Z kolei odnosząc się do kampanii wyborczej do Senatu RP na początek 1990 r. – podkreślał alarmistycznie, że: „Na Śląsku grozi znowu wybuch regularnej walki narodowościowej”¹³⁷.

Podczas gdy kierujący rządem RFN kanclerz Kohl wykorzystywał sytuację do wprowadzenia w życie zjednoczenia Niemiec, działacze BdV przypominali, iż ostateczne decyzje w sprawie granicy niemiecko-polskiej mogłyby być wynegocjowane tylko na zasadach prawa do samostanowienia w traktacie pokojowym. W tekście pt. *Schlesien soll unser bleiben*, z lutego 1990 r. w gazecie „Frankfurter Rundschau” Herbert Hupka podkreślał, że: „opowiadamy się za Śląskiem, walczymy o nasz Śląsk wszystkimi pokojowymi środkami, że Śląska nie zrezygnujemy”. Z kolei przewodniczący BdV Herbert Czaja w tym czasie w biuletynie organizacji tak pisał: „W kwestiach terytorialnych ostrzegamy przed pokojem narzuconym mocą dyktatu, bez uwzględnienia woli zainteresowanych. Jeśli Polsce przypadnie wszystko, a Niemcom nie pozostanie nic, to będzie w tym tkwić załazek nowego rewizjonizmu i stałego niepokoju”.

Proponował więc drogę kompromisowego rozwiązania poprzez ogłoszenie plebiscytu, stwierdzając: „W takim niezbędnym plebiscytcie o przyszłości naszych stron ojczystych i zapewnieniu prawa do stron ojczystych muszą mieć prawo uczestniczyć – pod kontrolą międzynarodową – wszyscy urodzeni w tych stronach ojczystych wypędzeni Niemcy i ich potomkowie oraz Polacy mieszkający tam 1 stycznia 1990 r. Głosowanie dotyczyłoby konstruktywnych alternatyw, np. przekazanie całego obszaru wypędzenia i plebiscytu lub jego części Niemcom

albo Polsce, a w Prusach Wschodnich Związkowi Radzieckiemu, w połączeniu z międzynarodowo gwarantowanym i nadzorowanym zakazem wypędzenia i dyskryminacji oraz szeroko zakrojonej autonomii na mocy praw grup narodowościowych dla Polaków i Niemców, o ile nie należą do narodowości stanowiącej większość; albo stworzenie terytorium europejskiego z jednakowymi zabezpieczeniami dla mieszkających tam grup narodowościowych”¹³⁸.

Po powstaniu na Śląsku Opolskim TSKMN działalność zintensyfikował aktywny BdV, obejmując swoim zasięgiem oddziaływania wszystkie szczeble organizacji, od gogolińskiej centrali po ogniwa podstawowe – koła funkcjonujące w zamieszkałych przez ludność rodzimą wsiach nad Odrą i po jej prawej stronie. Dla tych kół – jak napisze niemiecki publicysta – „organizacje wypędzonych były sprzymierzeńcami wspierającymi je finansowo ze środków federalnych”¹³⁹. Najbardziej widocznym efektem pomocy znad Renu stały się wielokulturowe spotkania dawnych i aktualnych mieszkańców, tzw. Heimattreffen. Występujące podczas ich trwania zespoły artystyczne i chóry w swoich programach miały utwory w gwarze śląskiej oraz w języku niemieckim i polskim. Charakter zwieńczenia tej akcji miało w 1991 r. pierwsze spotkanie Ślązaków na Górze św. Anny, w którym uczestniczył przewodniczący Ziomkostwa Ślązaków Herbert Hupka. Podczas tej imprezy kolportowano ulotki z wezwaniami, typu: „Zostańcie Niemcami! Strzeżcie swojej Ojczyzny”, czy „Niemcy na Śląsku, Pomorzu, Wschodnich i Zachodnich Prusach, w Poznaniu”. W tej ostatniej, autorstwa Związku Wschodniemieckiego, zniechęcając do emigracji, wskazywano na najważniejsze zadania, do których zaliczano: „Budowa aparatu organizacyjnego, powołanie kulturalnych i politycznych organizacji, [...] utrzymywanie własnej tożsamości! Każdy Niemiec musi mówić po niemiecku. Muszą odżyć tradycje, a osiągnięcia kulturalne muszą być pielęgnowane. Rodziny, ulice, miejscowości muszą znowu otrzymać swoje stare niemieckie nazwy. [...] Jedność czyni silnymi! [...] Bez Niemieckiej pilności, Niemieckiego porządku i Niemieckich talentów organizacyjnych nasza Ojczyzna oddana zostanie gospodarzom chaosowi. Do tego nie dopuścimy, ponieważ wiemy, że Niemcy są tam, gdzie są silne serca!”¹⁴⁰.

Na Śląsku Opolskim pierwszą okazją do zaprezentowania się mniejszości niemieckiej, a także ujawnienia się stosunku reszty mieszkańców regionu do faktu jej istnienia, stały się jednak wspomniane już wybory uzupełniające do Senatu RP po śmierci Edmunda Jana Osmańczyka. Choć w kampanii wyborczej o wakujący mandat ubiegało się czworo kandydatów, to – jak stwierdzał autor przygotowanej dla niemieckiego czytelnika, a następnie przetłumaczonej także na język polski, monografii o Niem-

cach w Polsce w XX w. – Thomas Urban: „Sondaże w tygodniach poprzedzających elekcję przypadającą na 4 lutego 1990 roku wskazywały na wyrównaną rywalizację między Króllem a kandydatką Komitetu «Solidarność», profesorką folklorystyki Dorotą Simonides. Król, którego żona jest Polką, córką repatriantów z okolic Lwowa, starał się unikać jakichkolwiek antypolskich tonów. Wystartował pod hasłem «Jestem Ślązakiem», swoje przemówienia wygłaszał po polsku – także i dlatego, że jego niemiecki był niekiedy jeszcze nieporadny. Miejsca spotkań z wyborcami we wschodniej części województwa były przepelnione. Polscy obserwatorzy zauważyli, że ze strony publiczności coraz częściej padały hasła w rodzaju «Wyrzucenie Polaków!»).

Atmosfera stopniowo się zagęszczała. W wielu miejscowościach wybite zostały szyby w domach kół mniejszości, na ścianach pojawiły się swastyki i hasła w rodzaju: «Kröll do vaterlandu», «Kröll do Bundestagu», «Nie głosuj na szkopa». W Opolu skinheadzi spalili niemiecką flagę. Lecz sympatycy mniejszości w niczym nie ustępowali przeciwnikom. Smarowali takie hasła, jak na przykład: «Polacken raus» (Polacy precz) lub «Polackenpack, ab hinter den Bug» (Polaczki, jazda za Bug) na murach i filarach mostów¹⁴¹.

W dokumentacji towarzyszącej kampanii wyborczej „wojny na murach” znalazły się nadto napisy – „Nie chcemy Niemca – Śląsk – Polski”, „Kröll na szubienice!”, „Szwaby do domu”. Objasniając zaistniałą sytuację, socjolog Danuta Berlińska twierdziła: „Dla indyferentnych narodowo Ślązaków reprezentant mniejszości był pierwszym liderem, który nie został narzucony przez Polaków. Był po prostu jednym z nich. Deklarował, że będzie reprezentować zarówno tych, którzy o sobie mówią „Ich bin Schlesier”, jak i tych, co określają się «jestem Ślązakiem». Wyrażał w ten sposób postawę typową na pograniczu, gdzie znaczenie identyfikacji narodowej jest drugorzędne wobec poczucia więzi grupowej, opartej na wspólnocie losów historycznych i emocjonalnym stosunku do swojego terytorium. Dobrze wyczuwał nastroje społeczne i podkreślał konieczność politycznych działań, aby zmienić położenie Ślązaków w Polsce. Dramatyczny przebieg kampanii wyborczej wskazuje, że w sytuacji zagrożenia można niezwykle łatwo przekształcić wzajemne uprzedzenia i niechęci w nacjonalistyczne postawy i zaangażować społeczność regionalną¹⁴².

W drugiej turze głosowania, 18 lutego 1990 r., w której wzięło udział 55% uprawnionych wyborców, Henryk Król uzyskał 124 498, a Dorota Simonides 258 135 głosów. Wynik ten w wyborach porównywanych przez niektórych obserwatorów do plebiscytu narodowościowego, uzmysłowił, że w województwie opolskim kandydat mniejszości niemieckiej może liczyć na poparcie co trzeciego politycznie aktywnego mieszkańca. Według danych opublikowanych

przez docierające na Śląsk z RFN czasopismo „Schlesische Nachrichten”.

Król w 23 gminach uzyskał poparcie w granicach 79,6–95,2%, a w 8 gminach w granicach 51,3–68,5%, czyli odniósł zwycięstwo w 31 gminach (na 63 ogółem). Biorąc pod uwagę stosunek otrzymanych głosów do liczby uprawnionych, reprezentant mniejszości niemieckiej uzyskał poparcie w 16 gminach, a popierana przez „Solidarność” profesor Simonides w 22 gminach¹⁴³. Jak się później okazało, był to najlepszy wynik, jaki udało się uzyskać mniejszości w wyborach parlamentarnych. Analizujący charakter wyborów uzupełniających do Senatu RP, socjolog z Uniwersytetu Wrocławskiego konstatał: „W pierwszej turze wzięło udział 31,4%, w drugiej 54,8% uprawnionych do głosowania. Na H. Króla oddano w pierwszej turze 84 601 głosów, a na jego kontrkandydatów 127 808 głosów, w drugiej turze proporcje były następujące: 124 498 głosów na H. Króla i 258 135 na D. Simonides. Tym samym polski elektorat wzrósł o 101,9%, a niemiecki jedynie o 47,1%. Może to świadczyć o tym, że w Opolskiem nie ma już więcej Niemców ani sympatyzyjących z nimi lub też o braku zaangażowania w «polskie wybory» ze strony ludzi myślących często o emigracji albo przynajmniej o dłuższych «saksach» w Niemczech¹⁴⁴.

Na mapie województwa opolskiego wyniki uzyskane przez H. Króla pokrywały się z obszarem, na którym po II wojnie światowej dotychczasowi obywatele niemieccy postanowili przyznać się do polskości lub związków z nią w zarządzanej weryfikacji narodowościowej i uznani zostali za Polaków, w efekcie uniknęli wysiedlenia za Odrę i Nysę Łużycką. Spotkało to ich niemieckich sąsiadów oraz prawie wszystkich mieszkańców żyjących w górnośląskich powiatach – głubczyckim, grodkowskim, niemodlińskim, nyskim, a częściowo także w kluczberskim i prudnickim, nie mówiąc o całym Dolnym Śląsku – z wyjątkiem wałbrzyskiego ośrodka górniczego, gdzie zatrzymano zatrudnionych w kopalniach Niemców wraz z rodzinami. Zarówno starania o uznanie i legalizację, jak przede wszystkim nagłośnienie aktywności organizującej się mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim – szczególnie zaś kandydowanie jej przedstawiciela do fotela senatorskiego – wywołało w zauważonej społeczności skali negatywną reakcję nie tylko w regionie opolskim. Wrogie wręcz głosy odezwały się na politycznej prawicy w wielu miejscach w kraju. Ich charakter dobrze oddaje kolportowana w województwie opolskim w 1990 r. ulotka pt. Oświadczenie Komitetu Politycznego Narodowego Odrodzenia Polski w sprawie zagrożenia niemieckiego na Śląsku Opolskim, które rozpoczynało się od stwierdzenia: „1. W Polsce nie ma żadnej mniejszości niemieckiej – są tylko Ślązacy, autochtoni niewątpliwie śląskiego pochodzenia, aczkolwiek na skutek wielowiekowej niewoli – pozostający pod wpływem niemieckiej kultury”, a koń-

czyło deklaracją: „3. Polski ruch nacjonalistyczny uznaje odrębność śląskiej regionalnej wspólnoty etnicznej jak również jej prawo do tożsamości kulturowej i samorządu terytorialnego na równi z innymi «szczepami» Narodu Polskiego (jak Kaszubi, Kurpie czy Podhalanie). Naród Polski nie może jednak pozwolić na istnienie V Kolumny – nowych Volksdeutsche – zaprzańców przygotowywanych do przejścia stanowisk kierowniczych w wykupywanej przez zachodnio-niemiecki kapitał gospodarce”. Oświadczenie kończyły hasła: „POLACY MUSZĄ POZOSTAĆ GOSPODARZAMI W SWYM WŁASNYM KRAJU!!! ŚLĄZACY – TAK!!! VOLKSDEUTSCHE – NIE!!!”¹⁴⁵.

Od marginalizacji do współodpowiedzialności za region

Poza powoływaniem się na międzynarodowe standardy gwarantujące ludziom prawo do decydowania o narodowej tożsamości oraz do pielęgnowania i rozwijania własnej kultury, liderzy ruchu zapewniali, że zalegalizowanie mniejszości przerwie zagrażającą stabilizacji regionu emigrację. Był to argument istotny, zwłaszcza że od 1989 r. w RFN zaczęto ograniczanie napływu „wysiedleńców” przy jednoczesnych postulatach oddziaływania na poprawę ich położenia w krajach pochodzenia oraz domagania się w nich uznania jako mniejszości niemieckiej, której należy zapewnić ochronę oraz wszechstronną pomoc w miejscu ich dotychczasowego życia¹⁴⁶.

Migracje zarobkowe z Górnego Śląska sięgają czasów przynależności do Prus, a później Rzeszy, a ich intensywność wiąże się z dobą dziewiętnastowiecznej industrializacji, kiedy zaczęły występować widoczne różnice w poziomie zarobków w przemyśle między centralnymi i zachodnimi a wschodnimi obszarami Niemiec. Migracje te ze względu na swoją intensywność powodowały stały odpływ ludności także z górnej Odry. W nauce niemieckiej zjawisko to określone zostało jako „Ostflucht” – ucieczka ze Wschodu¹⁴⁷.

Po utracie przez Niemcy obszarów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz ucieczce mieszkańców w ostatniej fazie wojny, po wojnie zaś po wysiedleniach – najpierw prowadzonych przez władze polskie dla uzyskania miejsc dla ludności polskiej z terytoriów zaanektowanych (przy akceptacji zachodnich mocarstw) przez ZSRR, skutkowało to faktami dokonanymi. Następnie, po zawartym przez zwycięskie mocarstwa na konferencji poczdamskiej porozumieniu o usunięciu Niemców z Polski, Czechosłowacji i Węgier (cz. III Komunikatu z 2 sierpnia 1945 r.), do wysiedleń akceptowanych na arenie międzynarodowej. Na historycznym Górnym Śląsku już pod koniec wojny usunięcia Niemców domagali się związani ze Śląskiem Opolskim liderzy polscy doby międzywojnia. W praktyce znalazło to swoje odzwierciedlenie w skierowanych

do tworzonych pod kierownictwem Polskiej Partii Robotniczej władz wojewódzkich w Katowicach memoriałach Komitetu Obywatelskiego Polaków Śląska Opolskiego i Wrocławskiego. Na początku lutego 1945 r. domagali się oni rozpoczęcia natchmiastowej akcji „wysprawiedliwiania stosunków socjalnych i narodowościowych na Śląsku Odrzańskim” polegającego na „radykałnym usuwaniu elementów niemieckich z terenu Nadodrza”¹⁴⁸.

Celowi temu miała służyć przeprowadzona po wojnie weryfikacja narodowościowa żyjących na obszarze należącym do końca wojny w Niemczech, która zakończyć miała usunięcie Niemców i przyznanie obywatelstwa polskiego osobom, które zadeklarowały swoją polskość i lojalność wobec państwa i narodu polskiego¹⁴⁹.

Życie wkrótce pokazało, że nie wszyscy, których starania zakończyły się uzyskaniem pozytywnego wyniku weryfikacji, podtrzymują deklarację polskiego poczucia narodowego. W praktyce ułatwiały to władze warszawskie, które w kolejnych latach godziły się na coraz liczniejszą emigrację osób przyznających się do niemieckości. Komentując w ostatnim stadium narzuconego przez Kreml systemu polityczno-ekonomicznego, podczas gorącego lata 1981 r., odnosząc się do na-

rastającej emigracji ze Śląska Opolskiego, E. J. Osmańczyk podkreślał, iż emigrujący do RFN Opolanie są ludnością etnicznie polską¹⁵⁰. W widocznym już wyraźnie kryzysowym roku 1988 – odnosząc się krytycznie do polityki władz, pisał, że w relacjach z RFN: „spadliśmy do roli rezerwuaru siły roboczej coraz selektywniej dobieranej przez naszych potencjalnych partnerów”¹⁵¹.

Liderzy organizującej się mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim deklarowali, że dopuszczenie do legalnej działalności zatrzyma emigrację. W łagodniejszej formie, jako: „Przyhamowanie fali wzmózonych wyjazdów na pobyt stały do RFN” wpisany został ostatni w czterech celów w zarejestrowanym w Sądzie Wojewódzkim w Opolu 16 lutego 1990 r. statucie TSKMN¹⁵².

Szybko się jednak z tego oświadczenia wycofali. W Deklaracji Programowej przyjętej 7 kwietnia 1990 r. podczas pierwszego zebrania wyborczego nie było już bowiem mowy o hamowaniu emigracji, podkreślono natomiast, że: „Ludność niemiecka zamieszkująca w Polsce winna otrzymać obywatelstwo niemieckie, zachowując zarazem obywatelstwo polskie”¹⁵³. Natomiast w przyjętej uchwale zapisano: „Towarzystwo widzi uzasadnioną potrzebę zorganizowania na Śląsku Opolskim: a) niemieckiego oddziału wydziału zatrudnie-

nia, b) przeniesienia Konsulatu Generalnego RFN z Krakowa do Opola”¹⁵⁴. W praktyce obydwie te postulaty dotyczące ułatwień w znalezieniu pracy w RFN oraz nabyciu paszportu miały zatem na celu ułatwienie emigracji, a nie jej powstrzymanie, czy nawet przyhamowanie. Jeśli coś mogło ją ograniczyć, to ogłoszone przez władze w warunkach demokratyzującego się państwa prawo do zachowania przez migrantów polskiego paszportu, otwierającego możliwość powrotu do kraju i ewentualnych kolejnych wyjazdów.

Odchodzenie kierownictwa mniejszości od zamiaru skutecznego wpływu na intensywność migrowania w warunkach transformacji ustrojowej, której jednym z ujemnych społecznych efektów była likwidacja w kraju nieuzasadnionych ekonomicznie miejsc pracy, i w konsekwencji poszerzające się bezrobocie, było przejawem bezradności wobec nowego problemu.

Spoločność mniejszościowa wymuszała działania mające ułatwić wyjazd i zapewnienie pracy w RFN. Sprzyjała temu dodatkowo bogata sieć powiązań rodzinnych oraz regionalnych, znacznie poszerzona emigracją lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w.

Wyrazem nowego stanowiska Towarzystwa stała się poprawka w statucie, kiedy w 1993 r. zmieniano jego nazwę



na Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim. Liczba dotychczasowych celów została powiększona do dziewięciu, z tym że „zahamowanie” emigracji zastąpiono zapisem: „4. Udzielenie pomocy osobom powracającym na stałe z Niemiec”.

Taki stosunek TSKN na Śląsku Opolskim do problemu cechował także drugą kampanię przed wyznaczonymi na 19 czerwca 1994 r. wyborami do władz samorządowych. U progu kampanii, w marcu 1994 r., parlamentarzyści reprezentujący mniejszość przekazali przedstawicielom rządów polskiego i niemieckiego memorandum z wykazem problemów, którymi żyje mniejszość niemiecka. W połowie kwietnia złożone z siedmiu punktów memorandum w niemieckiej i polskiej wersji językowej opublikowała mniejszościowa gazeta¹⁵⁵. Także w obydwu językach dwa tygodnie później zamieszczony został, złożony z 10 punktów, katalog problemów zatytułowany „Zestawienie problemów dotyczących mniejszości niemieckiej w Polsce”, podpisany przez przewodniczącego Prezydium Centralnej Rady TSKN Gerharda Bartodzieja i przewodniczącego Koła Parlamentarnego Mniejszości Niemieckiej Henryka Krolla¹⁵⁶. Dokument został ponownie opublikowany w gazecie krótko przed wyborami¹⁵⁷.

Znaczna część najważniejszych dla mniejszości kwestii zawartych w pakiecie świadczyła, że w rzeczywistości dążono do ułatwienia emigracji. Zaliczyć do nich należy oczekiwania (w kolejności rejestru): pkt 4 „udostępnienia kontyngentu 500–2000 miejsc pracy w Niemczech do dyspozycji Fundacji Rozwoju Śląska, [...] utrzymania uprawnień osób należących do mniejszości niemieckiej do podejmowania pracy w Niemczech [...]”. Dodawano do tego: „7. Stwierdzamy, że dla ustabilizowania sytuacji mniejszości niemieckiej w Polsce konieczne jest nieograniczanie jej dotychczasowych uprawnień w obydwu państwach, szczególnie w zakresie prawa do wyboru miejsca zamieszkania i obywatelstwa”. Pośrednio migracji miał służyć postulat wynikający z pkt 2 „uzyskania możliwości kształcenia i doksztalcenia w Niemczech dla młodej generacji mniejszości niemieckiej”. Ograniczeniu emigracji miały zaś służyć postulaty zawarte w pkt 1, w którym domagano się: „dostępu do sprawowania urzędów, [...] inwestycji zagranicznych, a zwłaszcza niemieckich na terenach zamieszkałych przez mniejszość niemiecką”, oraz pkt 4: „Oczekujemy rozwoju gospodarczego regionów zamieszkałych przez mniejszość niemiecką. Potrzebujemy [...] wspierania inwestycji z udziałem kapitału zagranicznego, a zwłaszcza niemieckiego”. Kolejną kampanią przed wyborami samorządowymi wyznaczonymi na 11 października 1998 r. różniła się od poprzednich, bowiem obejmowała wybory przedstawicieli do mających funkcjonować od 1 stycznia 1999 r. trzech szczebli samorządu: gminy, powiatu i województwa. Na Śląsku Opolskim dodatkowo piętno na jej przebiegu odcisnęła walka o utrzymanie na administracyjnej mapie kraju województwa, którego liderzy mniejszości bronili, m.in. grożąc wzmożoną emigracją w przypadku jego likwidacji. Odwoływali się przy tym do zobowiązań Polski wynikających z przyjęcia Europejskiej Karty Samorządu Terytorialnego. Mówił o tym poseł Kroll podczas debaty sejmowej 3 kwietnia 1998 r.: „Jeśli Opolszczyzna zniknie, możemy się spodziewać wyjazdu tysięcy członków mniejszości niemieckiej. Czy o to chodzi?”¹⁵⁸.

Podczas rozpoczętej w maju kampanii wyborczej liderzy mniejszości sportrzygli, że pracujący w Niemczech stanowią w niektórych gminach jedną czwartą mniejszościowego elektoratu, o który należy zabiegać. Jeden z nich uzasadniał to argumentacją potrzeby uświadomienia pracującym w Niemczech członkom mniejszości: „W końcu to ich niemiecki paszport umożliwia im osiągnięcie dobrobytu. Być może należałoby przemówić do nich za pośrednictwem ulotki, nie w formie pouczenia, bo to i tak nie ma sensu, lecz w formie pytania: Zastanów się, czy mimo wszystko nie zawdzięczasz czegoś mniejszości niemieckiej? Masz możliwość wspomoczenia tych, którzy na miejscu prowadzą walkę

o swój dzień codzienny, podczas gdy ty, mając niemiecki paszport, zarabiasz pieniądze w Niemczech”¹⁵⁹.

W ogłoszonym trzy tygodnie przed głosowaniem programie wyborczym Niemców na Śląsku Opolskim pt. „Europę zbudujemy tutaj”, w pierwszym filarze pt. „Rozwój gospodarki regionu”, stwierdzano: „My śląscy Niemcy, byliśmy i jesteśmy ludźmi praktycznymi. Nie chcemy, aby celem naszych współmieszkańców była praca w Niemczech. Chcemy, aby zarobione dzięki możliwościom pracy w Niemczech pieniądze były inwestowane tu, na Ziemi Opolskiej. Aby przy ich pomocy pobudzać nasz rynek. W tym celu za pośrednictwem Fundacji Rozwoju Śląska będziemy wspierać ludzkie inicjatywy zmierzające do usamodzielnienia się, budowy pomyślności życiowej poprzez pracę na swoim”¹⁶⁰.

Do kolejnych wyborów, wyznaczonych na 27 października 2002 r., kierownictwo ruchu postanowiło rozpocząć przygotowania już na początku roku, decydując w lutym, iż na czas kampanii „struktury gminne i powiatowe” Towarzystwa staną się gminnymi i powiatowymi sztabami wyborczymi. Kampanią objęto przede wszystkim obszar zamieszkały przez elektorat mniejszościowy, tj. siedem powiatów: opolski ziemski (11 gmin), strzelecki (7 gmin), kędzierzyńsko-kozielski (5 gmin i stolica powiatu), krapkowicki i oleski (po 5 gmin) oraz kluczborski i prudnicki (po 2 gminy). Podczas jej trwania pojawił się także problem migracji. Podnosił go m.in. Józef Kotys – burmistrz Kolonowskiego i przewodniczący Klubu Mniejszości Niemieckiej w Sejmiku Województwa Opolskiego, który na stwierdzenie niemieckiej dziennikarki, że: „Po 13 latach od przełomu w jesieni 1989 roku, gruntownie zmieniającego oblicze Europy, Górny Śląsk wydaje się bardziej rozbity niż kiedykolwiek. Bezrobocie święci triumfy, zaś siła nabywczą osiąga najniższe wskaźniki. Emigracja młodych ludzi grozi wyludnieniem regionu”, miał potwierdzić, iż „emigracja w ubiegłych miesiącach ponownie się nasiliła”, dodawał jednocześnie: „Teraz nastał czas, aby wszelkimi dostępnymi środkami zapobiec dalszemu odpływowi ludzi z regionu”¹⁶¹. Dziennikarka przytaczała następnie stwierdzenia Kotysia, że z powodu odpływu „ludzi i pracowników” gmina Kolonowskie „osiąga coraz niższe przychody z podatków”. Oceniał też, że ponieważ od roku 1989 ok. 100 tys. Górnoślązaków wyjeżdża na zarobek do Niemiec, a więc „Podatek od wynagrodzeń generowany przez tę siłę roboczą wspomaga Unię Europejską, która z tego powinna płacić górnośląskim gminom opłaty wyrównawcze”. Miał też dodać, że tylko inwestycje prowadzą do ożywienia gospodarczego, które może zatrzymać ludzi w regionie.

W wyborach samorządowych w 2002 r. w programie wyborczym do Sejmiku Województwa Opolskiego, zatytułowanym „Kompetencja przede wszystkim”, który ogłoszono na dwa tygodnie przed głosowaniem, wymieniono „11 obszarów” – od po-



lityki regionalnej po promocję regionu, zagadnienie powstrzymania lub ograniczenia migracji nie znalazło w ogóle odzwierciedlenia. Jedyne w pkt 2 – infrastruktura i gospodarka – wspomniano zamiary pośrednio korespondujące z nim – „wypracowanie koncepcji rozwiązywania specyficznych problemów na lokalnych rynkach pracy na obszarze zamieszkanym przez MN” i „wypracowanie procedury przekonującej osoby pracujące w Niemczech do inwestowania w województwie. Stworzenie warunków do rozwoju małych i średnich przedsiębiorstw” oraz „wspieranie działań zmierzających do zmniejszenia bezrobocia, szczególnie wśród kobiet, absolwentów szkół, mieszkańców wsi”¹⁶².

W przywoływanym programie znalazło się podkreślenie konieczności uaktualnienia Strategii województwa na lata 2000–2015 dla ustalenia długofalowego programu rozwoju regionu w „pożądanym społecznie kierunku”. W przyjętym w 2005 r. programie, który powstał przy udziale elity mniejszościowej, w części IV – „Wyniki analizy SWOT” w pkt 116 wśród szans rozwoju województwa wymieniono: „Kontakty zagraniczne umożliwiające zwiększenie napływu kapitału zagranicznego i krajowego wspierającego inwestycje”, a następnie: „Wykorzystanie kontaktów z Niemcami dla rozwoju sieci turystycznej”, a w pkt 117 – wśród zagrożeń dla rozwoju, wymieniono wzrost bezrobocia oraz dużą migrację zarobkową. W części V – „Główne kierunki rozwoju województwa opolskiego” w pkt 132 stwierdzano: „W procesie rozwoju regionu należy wykorzystywać doświadczenia i kapitał

zdobywany przez liczne grupy mieszkańców Opolszczyzny podczas pracy w Niemczech. Może to być dobra droga transformacji w zakresie przygotowania społeczeństwa do wymogów europejskiego rynku pracy”¹⁶³.

Destabilizującą życie w regionie emigracji nie przerwało przyjęcie Polski do Unii Europejskiej. W zarządzonym na 7–8 czerwca 2003 r. referendum poprzedzającym akcesję w województwie opolskim do um poszło 54,56% uprawnionych, wynik ten korzystnie odbiegał od udziału we wcześniejszych wyborach parlamentarnych, jednak w skali kraju sytuowało to region na trzecim miejscu od końca. Postawy głosujących wyrażone 84,88% poparcie starą akcesyjność spowodowało, że był to najlepszy rezultat w kraju¹⁶⁴. Na wynik ten wpłynęło głosowanie w powiatach, w których mieszkała ludność napływowa. W powiatach zamieszkałych przez mniejszość niemiecką zainteresowanie uprawnionych do głosowania było znacznie niższe. I tak w czterech powiatach – krapkowskim, oleskim, opolskim ziemskim i strzeleckim – odnotowano najniższą frekwencję w województwie – od 45,80 do 49,23%, przy frekwencji w powiatach o ludności napływowej – od 55,90 do 65,38%. Nie przeszkadzało to liderowi mniejszości w stwierdzeniu rok później – po katastrofalnie niskiej frekwencji w powiatach mniejszościowych (od 10,08 do 12,42%), obniżających frekwencję wojewódzką do 19,3% – w przeprowadzonych 13 czerwca 2005 r. pierwszych wyborach do Parlamentu Europejskiego, że: „Na Opolszczyźnie padło najwięcej w Pol-

sce głosów za Unią dzięki elektoratowi mniejszości”¹⁶⁵. Wyniki te ukazały brak związku treści deklaracji i programów ogłoszonych przez elitę mniejszości z postawami mas członkowskich i społeczności stanowiącej zaplecze społeczne ruchu, któremu przewodzili.

W warunkach otwierającego granice członkostwa unijnego, znawca problemu podkreślał wiosną 2006 r.: „migracja zarobkowa za granicę się nasila i może jeszcze nasilać się przez kilka lat. Będzie się również przekształcała w emigrację stałą”¹⁶⁶.

Powyższy tekst jest fragmentem książki „Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim 1989-2014” autorstwa Michała Lisa, wydanej przez Stowarzyszenie Instytut Śląski w Opolu, w 2015 r. Książka jest jeszcze dostępna w sprzedaży.

Od Redakcji:

Dziękujemy panu profesorowi Michałowi Lisowi za udostępnienie wybranych fragmentów książki.

Michał Lis (rocznik 1935), historyk, politolog, profesor doktor habilitowany, od 1966 r. związany z Instytutem Śląskim w Opolu. Wykładowca w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, na Uniwersytecie Opolskim i w Wyższej Szkole Zarządzania i Administracji w Opolu. Autor licznych publikacji poświęconych Śląskowi Opolskiemu. Opublikował kilkanaście książek o tej tematyce.

Przypisy:

¹⁰⁰ B. Ociepka, *Niemcy na Dolnym Śląsku w latach 1945–1970*, Warszawa 1992, s. 23.
¹⁰¹ T. Urban, *Niemcy w Polsce*. Historia mniejszości w XX wieku, Opole 1994, s. 21.
¹⁰² B. Ociepka, *Niemcy na Dolnym Śląsku...*, s. 46. Szerzej o życiu kulturalno-oświatowym ludności niemieckiej w Polsce zob.: M. Cygan, *Niemieckie mniejszości narodowe w państwach Europy Środkowo-Wschodniej...*, s. 18–19.
¹⁰³ Szerzej zob.: J. Misztal, *Polityka władz polskich wobec stałych mieszkańców Ziemi Odzyskanych w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej*, Gliwice 1991.
¹⁰⁴ Szerzej zob.: M. Cygan, *Niemieckie mniejszości narodowe w państwach Europy Środkowo-Wschodniej...*, s. 22; T. Urban, *Niemcy w Polsce...*, s. 14.
¹⁰⁵ B. Nitschke, *Wysiedlenie czy wypędzenie?...*, s. 244.
¹⁰⁶ L. Wyrzykowski, *Wymowa pojednania*, „Dziennik Zachodni” 1989, z 13 XI; T. Urban, *Niemcy w Polsce...*, s. 106.
¹⁰⁷ M. Lis, *Ludność rodzima na Śląsku Opolskim...*, s. 69.
¹⁰⁸ Cyt. za: W. Więcek, *Związki przesiedleńcze w RFN wobec ludności autochtonicznej na Śląsku*, w: *Polityka Republiki Federalnej wobec polskiej ludności rodzimej na Śląsku w latach 1949–1990/91*, red. M. Lis, Opole 1992, s. 109–110.
¹⁰⁹ Tamże, s. 110–111.
¹¹⁰ Tamże, s. 112.
¹¹¹ T. Urban, *Niemcy w Polsce...*, s. 111.

¹⁴⁰ Cyt. za: D. Berlińska, *Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim...*, s. 210.
¹⁴¹ T. Urban, *Niemcy w Polsce...*, s. 109.
¹⁴² D. Berlińska, *Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim...*, s. 216, 400.
¹⁴³ M. Lis, *Ludność rodzima na Śląsku Opolskim...*, s. 70–76.
¹⁴⁴ Z. Kurec, *Mniejszość niemiecka w wyborach...*, s. 151.
¹⁴⁵ D. Berlińska, *Mniejszość niemiecka na Śląsku Opolskim...*, s. 401.
¹⁴⁶ A. Trzcińska-Polus, *„Wysiedleńcy” z Polski w Republice Federalnej Niemiec w latach 1980–1990*, Opole 1997, s. 130.
¹⁴⁷ Szerzej zob.: A. Brożek, *Ostflucht na Śląsku*, Katowice 1966.
¹⁴⁸ E. Osmańczyk, *Był rok 1945...*, s. 44.
¹⁴⁹ Szerzej zob.: J. Misztal, *Weryfikacja narodowościowa na Śląsku Opolskim...*; *tenże*, *Polityka władz polskich wobec stałych mieszkańców...*
¹⁵⁰ E. Osmańczyk, *Kraj i emigracja. Moje sejmowe posła Ziemi Opolskiej*, Opole 1983, s. 24–33.
¹⁵¹ E. J. Osmańczyk, *Wielkie rozłączenie. Polska–Niemcy...*, s. 19.
¹⁵² M. Lis, *Ludność rodzima na Śląsku Opolskim...*, s. 178.
¹⁵³ *Deklaracja programowa*, „Oberschlesische Nachrichten/Wiadomości Górnośląskie” (dalej: „ON/WG”) 1990, nr 0 z 20 IV, s. 2.
¹⁵⁴ *Uchwała pierwszego zebrania wyborczego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim*, „ON/WG”) 1990, nr 0 z 20 IV, s. 2.
¹⁵⁵ *W dwa i pół roku po podpisaniu traktatów polsko-niemieckich. Oczekujemy ustawy o mniejszościach*, „Oberschlesische Zeitung. Wochen-

blatt/Gazeta Górnośląska” (dalej: „OZ/GG”) 1994, nr 14, s. 2.
¹⁵⁶ *Das VdG-Paket ist geschnürt – Warschau und Bonn sind jetzt gefördert. Nach Memorandum: Problemerkatalog*, „OZ/GG”) 1994, Nr. 16, s. 1–2.
¹⁵⁷ *Powtórka z katalogu potrzeb mniejszości. Program Niemców*, „OZ/GG”) 1994, nr 22, s. 6.
¹⁵⁸ H. Kroll, *Mamy emigrować?*, „Schlesisches Wochenblatt” (dalej: „SW”) 1998, nr 15, s. 2–3.
¹⁵⁹ *Früh anfangen. Bruno Kosak, stellvertretender Vorsitzender des Wahlkomitees der Deutschen für die Woiwodschaft Oppeln, über die Vorbereitungen zu den Kommunalwahlen*, „SW”) 1998, Nr. 24, s. 4.
¹⁶⁰ *Program wyborczy Niemców na Śląsku Opolskim. Europę zbudujemy tutaj*, „SW”) 1998, nr 38, s. 4.
¹⁶¹ J. Kotyś, *Rozmowa z...*, *przewodniczącym Klubu Mniejszości Niemieckiej w Sejmiku Województwa Opolskiego na temat sytuacji przed wyborami samorządowymi*, rozm. E. M. Jendrusch, „SW”) 2002, nr 37, s. 5.
¹⁶² *Program wyborczy Komitetu Wyborczego Mniejszość Niemiecka w wyborach do Sejmiku Województwa Opolskiego. Kompetencja przede wszystkim*, „SW”) 2002, nr 41, s. 3; nr 42, s. 8.
¹⁶³ *Strategia rozwoju województwa opolskiego na lata 2000–2015*, Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, Opole 2005, s. 37–42.
¹⁶⁴ *Najeuropejscy*, „Gazeta Wyborcza” dod. „Gazeta w Opolu” (dalej: „GwO”) 2003, nr 134 z 10 VI, s. 1.
¹⁶⁵ E. Miś, *To będzie twardy bój*, „SW”) 2005, nr 28, s. 5.
¹⁶⁶ R. Jónczy, *Zatrzymań exodus. Rozmowa z prof. ..., ekonomistą, badaczem migracji zarobkowych*, rozm. J. Jakubowska, „Nowa Trybuna Opolska” (dalej: „NTO”) 2006, z 15–16 IV, s. 16.



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Swoi wśród obcych. Obcy wśród swoich

Sami swoi: fascynacja i lęk przed obcymi

Od zarania dziejów istniały i były odnotowywane relacje „obcy i swój”. Związki takie zawsze o wyjątkowym i różnorodnym charakterze były obecne w piśmiennictwie, sztuce, ale szczególnie miejsce zajęły w sztuce filmowej. Wspomnieć wypada chociażby klasyczny już dzisiaj obraz Ridley’a Scotta: „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” z roku 1979. Akcja filmu rozgrywa się w odległym wszechświecie, w którym na niewielkiej planetoidzie ląduje statek kosmiczny Nostromo a jeden z członków załogi zostaje zaatakowany przez obcą – nieludzką – formę życia. Relacje z obcym pojawiają się również w rodzimej kinematografii. Wystarczy spojrzeć na klasykę polskiej komedii „Sami swoi” z 1967 roku. Film wyreżyserowany przez Sylwestra Chęcińskiego ukazuje losy przesiedleńców z kresów Polski, którzy chcąc uniknąć sąsiedztwa obcych osiedlają się obok siebie „Po co szukać obcych wrogów, jak można mieć swojego”. To jedno z kluczowych zdań wypowiedzianych w początkowych kadrach filmu.

Eksodus nasz dzisiejszy

Krótko można powiedzieć, że relacja obcy i swój to fascynująca tematyka naczynająca zarówno przeszłość, jak i terażniejszość.

W tym wymiarze o obcym i swoim mówimy w kontekście współczesnego wychodźstwa, które stało się ważnym przedmiotem analiz socjologicznych, chociaż nie wyłącznie. To świat Zachodu wskazał jako obcych przede wszystkim uchodźców najświeższej daty oraz muzułmanów mieszkających w Europie a siebie definiuje jako swoich. Do obcych zaliczani są też Żydzi czy Romowie, którzy żyjąc, dla przykładu w Polsce, od dziesięcioleci wciąż są postrzegani i definiowani jako inni szczególnie w kontekście preferencji odrębnych systemów kulturowych, języka czy religii.

Ksenofilia i ksenofobia – powrót do historii

Ale wracając do początków należy sięgnąć do źródłosłowu obcego, czyli greckiego słowa *xenos* bądź *Ksenia*, które charakteryzuje się dwoistością rzeczy, znaczenia. Z jednej strony oznacza imię żeńskie a także gościnność, życzliwość wobec obcych. Prosto mówiąc to człowiek miłujący obcych. Z drugiej to *kseno* i *fobia* (*ksenofobia*) czyli lęk, strach. Odnosząc takie rozumienie do prezentowanej analizy uznajemy, iż to lęk przed obcymi – nosicielami odmiennych kultur. Pamiętać należy, iż ta bojaźń jest często irracjonalna i opiera się na braku wystarczającej i prawdziwej wiedzy o obcym. Przykładem jest współczesna *islamofobia*, czyli postawa przejawiana przez wielu współczesnych Europejczyków wobec wyznawców Proroka. Analiza relacji obcy i swój wiedzie nas także na karty Biblii (Stary Testament) ze szczególnym uznaniem dla Księgi Ezechiela, w której pojawia się wyrocznia o obcych narodach, takich choćby jak Ammonici: *A ty, synu człowieczy, prorokuj i powiedz. Tak mówi Wszechmogący Pan o Ammonitach i ich urąganiu, powiedz: Miecz, miecz jest dobytą na rzeź, jest wygładzony na zniszczenie, aby błyszczał jak błyskawica. W podobnym duchu kary mówi Księga Ezechiela o Edonitach, Sydończykach, Tyryjczykach czy Filistyńczykach: *Ponieważ Filistyńczycy działali mściwie i pełni złośliwości w duszy mścili się, stając zniszczenie w bezustannej wrogości. [...] Oto ja wyciągnę rękę przeciw Filistyńczykom. Filistyni to od języka hebrajskiego *Plisztim*, czyli właśnie „obcy, wędrowcy”. Był to lud zamieszkujący w starożytności tereny południowego wybrzeża Kanaanu położone na zachód od Judei. Odniesień do obcego nie brakowało również w starożytnym Rzymie, gdzie każdy kto nie był Rzymianinem bądź Grekiem pozostawał barbarzyńcą. Również dynastyczne rody władców Egiptu były pełne obcych, którzy przybywali przede wszystkim z innych obszarów Lewantu, czyli Bliskiego Wschodu.**

Obcy – dzisiaj przychodzi, jutro zostaje

Peregrynacje w poszukiwaniu relacji obcy i swój doprowadziły nas w konsekwencji do postaci niemieckiego filozofa i socjologa Georga Simmla, uczonego z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia, który w najbardziej czytelny sposób nakre-

ślił relacje oraz zdefiniował obcego i swojego. Uczynił to przede wszystkim w eseju o czytelnym tytule „Obcy”, w którym określił go jako człowieka, który dzisiaj przychodzi, jutro zaś zostaje. Taki obcy może potencjalnie odejść, gdyż nie należy od początku do tego kręgu kulturowego i nie wnosi wartości, które są tutaj rdzenne. Obcy łączy w sobie bliskość i dystans, obcojętność i zaangażowanie, ale przede wszystkim posiada umiejętność obiektywnej oceny zdarzeń dziejących się w nowej rzeczywistości. Tymczasem nie jest obcym cudzoziemiec, wędrowiec czy turysta – gdyby przywołać słowa współczesnego socjologa polskiego Zygmunta Baumana – którzy zatrzymują się tylko na chwilę i wyruszają w dalszą drogę. Obcy nie posiada także ziemi w sensie terytorialnej kotwicy, ale staje się bliższy kiedy mieszkańcy zaczynają odczuwać z nim podobne cechy narodowe, etniczne czy społeczne. Bliższym obcym jest Polak mieszkający w jakimś państwie europejskim niż będący w podobnej sytuacji muzułmanin. Na przeciw obcego staje swój, czyli człowiek od początku należący do określonego kręgu kulturowego, wyznający jego rdzenne wartości. To człowiek, który nie chce odchodzić, chociaż czasami musi. Swój w rozumieniu Georga Simmla to włóczęga w języku Zygmunta Baumana, który nawet jeśli chciałby odejść to z powodu nie posiadania właściwych kompetencji odejść nie może. Swoi to ludzie, których łączy związki organiczne z konkretnym miejscem, wynikające też z akceptacji lokalnego systemu wartości i norm. Swój to ten, z którym mogą się porozumieć, gdyż pochodzą z tego samego kręgu kulturowego.

Zróznicowania i etykiety: my i oni, tutejsi czy nietutejsi

Relacje swoi i obcy można także wyrazić używając innych podziałów, jak tutejsi i nietutejsi czy my i oni lub – gdyby użyć terminologii cieszyńskiej – stela i niestela. Szczególnie ważne jest rozróżnienie na my i oni, gdyż podkreśla się w nim dystans i istnienie kompetencji wyróżniających jedną grupę od drugiej. Na bazie my i oni kształtowana jest tożsamość zarówno społeczna, jak i indywidualna. Trzeba jednak pamiętać, że relacja swoi i obcy może oznaczać również dynamikę wielu procesów społecznych. Myślimy tutaj o antagonizmach prowadzących do konfliktu bądź przeciwnie integracji czy asymilacji. Nie pozbawiona miejsca w społecznej rzeczywistości jest także wyniosła izolacja obcych, która najwyraźniej wpływa na dezintegrację ładu społecznego. Współczesny świat uwikłany w rewolucję migracyjną coraz wyraźniej kształtuje się na bazie relacji swoi i obcy. Relacje te są nieuniknione i tylko od nas zależy jaki będą miały one charakter. Czy będzie to pokojowa koegzystencja czy konflikt a nawet wojna? Oto jest pytanie. Po raz kolejny godne Szekspira.

Felieton powstał we współpracy z dr hab. Anną Śliz, prof. Uniwersytetu Opolskiego, dyrektorem Instytutu Socjologii UO

Śląskie chochoły

MARCIN GACEK

Dla wielu fałszywych proroków idei odrębności politycznej i etnicznej będzie to obrazoburcze i skandaliczne, ale brutalna prawda jest taka, że przeciętnej śląskiej rodzinie program 500+ pomaga realnie w odróżnieniu od trwającej ponad dekadę retoryki etnicznej.

Walka o duszę Śląska nie będzie odbywała się na poziomie pustych haseł. Ślązacy byli nimi karmieni wielokrotnie i są na nie odporni. Kto chce zbić kapitał polityczny na podlizywaniu się tym, którzy uznają tę ziemię za swój *Heimat*, zawiedzie się niezależnie od swoich barw plemiennych i od tego czy miejscem powstania jego ugrupowania były Katowice czy też Warszawa.

Rozbudzony na początku nowego stulecia *renesans śląskości* przechodzi obecnie w stan hibernacji społeczno-politycznej. **Ci, którzy najgłośniej odzęgną się od polskiej tradycji popadli w jej najbardziej romantyczno-utopijną wersję. We współczesny regionalny *taniec chocholi*.** Rolę czapki z pawich piór pełnią wyniki spisu ludności. Jest i róg w postaci mediów przychylnych etnicznym inicjatywom. Cóż z tego, gdy przynajmniej od kilku lat nie wiadomo, co z tymi atrybutami zrobić.

Idea mniejszości śląskiej domagającej się autonomii wypłynęła na polską scenę polityczną i osiadła na mieliźnie regionalnego, wsobnego i prowincjonalnego dyskursu kto jest prawdziwym Ślązakiem, a kto nie. Dzisiaj niektórzy widzą przyszłość odrębności regionalnej w *Nowych Ślązakach* tzn. dzieciach przybyszów z innych regionów Polski, w sercach których ma ponoć narodzić się immanentnie więź z autonomią śląską.

Odrodzenie śląskości można podzielić na dwa projekty: kulturowy i polityczny. Ten pierwszy zrodził się na fali ogólnoeuropejskiej chęci dążenia do utrwalenia spuścizny zarówno

materialnej, jak i duchowej regionów niegdyś odrębnych od centrów państw, a pod koniec dwudziestego wieku tak rachitycznych, że bez pomocy środków budżetowych czy unijnych odeszłyby w zapomnienie. **Dzięki tej modzie zachowano od zapomnienia języki i kulturę np. francuskiej Bretanii, iberyjskiej Galicji, polskich Kaszub a we Włoszech sięgnięto nawet dalej, bo przypomniało sobie o dawno wymarłych Etruskach.** Oczywiście ta pogoń za regionalną odrębnością była nierozzerwalnie połączona z jednej strony z chęcią odrestaurowania atrakcyjnej różnorodności, która napędzała koniunkturę w branży turystycznej (zawsze miło spędzić czas w regionalnej i niespotykanej gdzie indziej restauracji, czy w hotelu urządzonym w stylu rustykalnym), z drugiej była efektem ubocznym upojenia się okresem złotej dekady lat dziewięćdziesiątych. Wydawało się wtedy, że dla Europy i całej zachodniej cywilizacji nastął czas fetowania upadku murów zimnowojennych. Zapanowało poczucie triumfu liberalnej wolności, które można wykorzystać do osłabienia narodowych więzi po to, by zbudować solidarność europejskiego społeczeństwa obywatelskiego. Tak przynajmniej widzieli to mędrcy Unii Europejskiej Gellner, Dahrendorf, czy Habermas. **W tym kontekście należy złożyć hołd Ślązakom, którzy do roku 1989, wbrew państwu, zachowali swoją odmienność kulturową i kulturowali ją w okresie komunistycznej smuty.**

Ta tendencja przyniosła w niektórych regionach wybuch procesów

przez jednych nazywanych „dążeniem do autonomii” przez innych określanych jako „separatyzm”. W specyficznych historycznie krajach takich jak Belgia, Hiszpania czy Wielka Brytania bez większych przeszkód rozwijały się tendencje autonomiczne: podział flamandzko-waloński, katalońska droga do suwerenności czy odrodzenie poczucia szkockiej tożsamości. Belgia już wcześniej była areną silnych konfliktów etnicznych, co doprowadziło do autonomii flamandzkiej. Animozje były tak silne, że już w 1968 roku wydzielono z francuskojęzycznego i znanego na całym świecie Uniwersytetu w Louvain jego flamandzki odpowiednik. Dzisiaj, poza Brukselą, trudno mówić o wspólnotcie belgijskiej, a i tutaj nie brak problemów z tożsamością kulturową, jak w przypadku słynnej dzielnicy Molenbeek. Jednocześnie we Francji ani przez chwilę nie zaprzestano zwalczać separatyzmu korsykańskiego czy też baskijskiego. Dla Paryża wystarczającym problemem jest mniejszość religijna emigrantów z krajów Maghrebu. Francuskojęzyczni Arabowie z byłych kolonii francuskich wydawali się bliscy kulturowo Francji. Zaznaczyć trzeba tutaj francuską specyfikę republikańskiego definiowania narodu. Francuzem jest ten, który chce być obywatelem republiki.

Śląski projekt polityczny (w dużym uproszczeniu) rozpoczął się od zaproponowania programu uzyskiwania – czy szanując poglądy prezentowane przez członków RAŚ powrotu do stanu sprzed 1939 roku – autonomii śląskiej poprzez regionalną partię polityczną czyli wspomniany Ruch Autonomii Śląskiej wspierany przez inne stowarzyszenia. Temu ugrupowaniu pomogła koalicja z Platformą Obywatelską na poziomie regionu. I to była pierwsza rafa, na której rozbił się projekt polityczny zwany autonomią. **Platformie Obywatelskiej zabrakło odwagi do jasnej deklaracji czy będąc partią władzy opowiada się za utrzymaniem silnego państwa centralnego, czy też jej receptą na przyszłości Polski jest popieranie ruchów regionalnych i dążenie do zmiany ustroju RP opierającego się na powołaniu silnych, autonomicznych regionów z zachowaniem dla kompetencji rządów federalnych decyzji w obszarach: obronny, bezpieczeństwa i polityki międzynarodowej.** Niemoc polityczna PO, wyrażająca się między innymi w odmiennych koncepcjach głoszonych przez ekipę premiera Donalda Tuska i środowisko eks-prezydenta Bronisława Komorowskiego była wręcz groteskowa. Nie ma

nie bardziej hańbiącego dla polityka jak postawa typu „**chciałbym ale boję się**”. W obecnej sytuacji sprawa jest prosta: RAS musi stać w opozycji do konserwatywnych rządów Zjednoczonej Prawicy. Osiągnięcie celu (autonomii) jest możliwe jedynie na drodze pozyskania koalicjanta o charakterze ogólnopolskim. Chyba, że ktoś liczy na pomoc z zewnątrz np. Brukseli.

Nasz region z historyczną wielokulturowością i prozachodnim kursem wpisanym w jego tożsamościowe DNA zawsze będzie wspierał te partie polityczne, które dążą do wspierania wartości proeuropejskich. Trzeba jednak dostrzec dynamikę społeczną, która przejawia się w zjawisku kontrreakcji politycznej na nasilające się zjawiska społeczno-polityczne. Nieumiejętne, zbyt nachalne głoszenie odrębności śląskiej wsparcie hasłami dążenia do autonomii może zostać źle odebrane przez tych mieszkańców Śląska, którzy nie utożsamiają się z tym projektem. Regionalizm etniczny może (choć nie musi) być traktowany jako separatyzm.

Najważniejszą groźbą dla projektów politycznych opierających się na budowaniu tożsamości mniejszościowej jest zmiana otoczenia politycznego w Europie. Najlepszym tego przykładem jest Hiszpania. **Jeszcze kilka lat temu monarchia parlamentarna ze spokojem i pełnym zrozumieniem traktowała dążenia Katalonii do manifestowania swojej odrębności. Jednakże gdy autonomia okazała się początkiem drogi do ogłoszenia niepodległości tego najważniejszego regionu Hiszpanii, Madryt zaczyna się budzić z letargu. Coraz głośniejsze są pomruki niezadowolonych dobiegające ze stolicy królestwa a nikt nie chce, by w Unii doszło do gorącego konfliktu.** Nie ma co wspominać już o Ukrainie.

Zagrożenie terroryzmem w sposób naturalny wzmacnia oczekiwania obywateli co do wypełniania przez państwo swej roli organizatora życia społecznego i zapewnienia bezpieczeństwa jednostce. Unia Europejska stanęła przed diabelską alternatywą: jak integrować Europę bez jednoczesnego rozbijania wspólnot narodowych na razie niezbędnych do walki z wyzwaniami takimi jak masowa emigracja i terroryzm. Tu i teraz. Nie można czekać na nieistniejącą armię europejską, tylko trzeba polegać na narodowych siłach zbrojnych. Unijna ochrona strefy Schengen jest usprawiedliwiana tam, gdzie korupcja strawiła te służby np. W Grecji i we Wło-

szech. **Szukanie dla naszego regionu drogi rozwoju poprzez odwołanie się do spuścizny Korfanteo czy szukanie śląskiego Jaume'a Cabré (kataloński pisarz i filolog) jest – delikatnie mówiąc – narzędziem nie z tej epoki i błędną drogą połączenia tradycji z nowoczesnością.**

Konserwatywne tradycje Ślązaków wywodzące się z wartości takich jak: *ora et labora*, walki o swoje bezpieczeństwo socjalne wbrew nowinkom postliberalnym, dążenie do zachowania spokoju w ewolucyjnym rozwoju stoją na przeszkodzie wszystkim, którzy pragnęliby zaprząć idee odrębności kulturowej tego regionu do awantur politycznych. Nie wystarczy skakać na mównicy wykrzykując frazesy o autonomii. Wielowiekowa mądrość mieszkańców Górnego Śląska wynikająca z życia w wielokulturowym tyglu jest gwarancją spokoju.

Takim twarzą socjologicznym dowodem na to, że Ślązaków nie da się złapać na lep pustych hasel odwołujących się do tożsamości etnicznej była kłeska ugrupowania Europa Plus w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 roku. Znakomity reżyser Kazimierz Kutz, którego poparcie zapewniło wcześniej zwycięstwo na Śląsku każdemu politykowi – nawet wcześniej niezwiązanemu z regionem – przegrał wtedy z Januszem Korwinem Mikke, bo stracił wiarygodność popierając Palikota. **Ten ostatni z wymienionych polityków, o utrwalonej reputacji człowieka o jednoznacznie elastycznych poglądach, podkreślał swoje przywiązanie do śląskiej mniejszości. Pomimo bilbordów z Kutzem wyborcy szybko zrozumieli, że milioner z Lublina może równie łatwo i poważnie zadeklarować przywiązanie np.: do kielbasy śląskiej.**

Zresztą opisywana powyżej kampania wyborcza powinna posłużyć wszystkim liderom politycznym naszego regionu za drogowskaz w tworzeniu programów politycznych. Należy zadać sobie pytanie czego chcą mieszkańcy województwa śląskiego i opolskiego? Czy taplania się w zaszłościach i prób otwierania nowych drzwi starymi kluczami, czy też konkretnych, pragmatycznych rozwiązań ułatwiających codzienne życie. Obywatel mówiący „bez napinki” śląskim dialektem, (naukowcy ciągle się spierają czy Ślązacy mówią gwara, dialektem czy językiem) żyjący w kulturze śląskiej dla którego jest ona środowiskiem naturalnym chce w pierwszej kolejności mieć zapewnioną pracę, mieszkanie, dostępną i skuteczną służbę zdrowia, kompetentnych urzędników, sprawną

wymiar sprawiedliwości i bezpieczeństwo na ulicach a nie taką czy inną flagę powiewającą na urzędach.

Ludzie oczekują konkretów. Kulturę śląską będą kultywowali sami, w swoich domach i w zakładanych spontanicznie stowarzyszeniach, mogąc wychowywać następne pokolenia bez lęku o byt. Ostatnio śląska tożsamość najmocniej wyrażała się w strajkach w obronie miejsc pracy w kopalniach w 2015 roku. Znalazła zrozumienie w innych częściach naszego kraju i dobitniej od marszy „krzyżujących o autonomię” przypominała o problemach Śląska. Co najważniejsze, nawet tak nieprzychylnie staremu przemysłowi liberalne gazety zauważyły, że 70% Polaków wyraziło zrozumienie dla manifestujących rodzin górniczych. **Prawdziwym fenomenem socjologicznym jest to, że pomimo dwudziestu pięciu lat szukan i wyśmiewania etosu „gruby żywicielki”, zwyczajni ludzie mieli gdzieś frazesy o nowym modelu gospodarki i skutecznie walczyli o stabilne miejsce pracy.**

Kto zaproponuje faktyczną realizację potrzeb życiowych Ślązaków ten wygra bitwę o ich dusze. Samorządy oraz struktury państwa mają rozwiązywać problemy, które przerastają możliwości jednostek. Z innymi trudnościami te ostatnie dadzą sobie radę same. Politycy i liderzy regionalni, którzy zapominają o tej prostej zasadzie stają się jedynie **chochołami historii. Pielęgnację śląskości pozostawmy tym, którzy robią to ze znakomitym skutkiem od wieków. Ślązakom.** ■

Literatura:

Kortko D., Ostalowska L.: *Pierony. Górny Śląsk po polsku i niemiecku. Antologia*. Wydawca Agora S.A 2014.

Swadźba U.: *Wartości – pracy, rodziny, religii – ciągłość i zmiana. Socjologiczne studium społeczności śląskich*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2010.

Świątkiewicz W.: *Kultura a rozwój społeczny*. www.regionalneobserwatoriumkultury.pl dostęp 01.02.2015.

Szczepański M. S., Śliz A.: *Dylematy regionalnej tożsamości. Przypadek Górnego Śląska*. www.regionalneobserwatoriumkultury.pl dostęp 01.02.2015.

Szczepański M.S., Nawrocki T., Niesporek A. pod red.: *Deficyt badań śląskoznawczych*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 2010.

dr Marcin Gacek – socjolog, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Śląskiego, poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym *Opcje* i miesięczniku *Śląsk*.



Kościół św. Trójcy, Sanktuarium Matki Boskiej Łysieckiej w Gliwicach

Terbo hormia dla gliwickich Ormian

RYSZARD BEDNARCZYK

W niedzielne przedpołudnie w gliwickim kościele św. Trójcy nie ma tłoku, niektóre ławki świecą pustkami. Nieco ponad 40 osób – głównie starszych i zaledwie kilkoro młodych, w tym dwoje dzieci – zgromadziło się na comiesięcznej mszy świętej śląskich Ormian. Księdzu Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu odprawiającym nabożeństwo w kapłańskiej koronie na głowie i barwnych liturgicznych szatach obrządku wschodniego oraz ozdobnych pantoflach asystuje dwóch dorosłych ministrantów. W powietrzu unosi się wonny nieco mdlący dym z kadzidła. Zaraz na początku celebry najstarszy parafianin podchodzi do ołtarza i całuje Najświętszy Sakrament przechowywany w złotym pudełku trzymanym przez kapłana – to tzw. „pocałunek pokoju” nieznanym w łacińskiej mszy św. Językiem

liturgicznym jest grabar, staroormiański język, w którym wierni odmawiają *Ojciec Nasz* i modłami odpowiadają księdzu. Po staroormiańsku śpiewa z akompaniamentem organów żeński chór. Podczas licznych błogosławieństw udzielanych przez duchownego złotym krucyfiksem najczęściej powtarza się pozdrowienie *Terbo Hormia*. Ormiańskie obrzędy przeplatane są także polszczyzną. Oprócz ogłoszeń i kazania w języku polskim czytane są ewangelia i odmawiane wyznanie wiary.

– W Sanktuarium Matki Boskiej Łysieckiej, która też została wypędzona, ale do Gliwic, nie do Kazachstanu, módlmy się za księdza Władysława Bukowińskiego beatyfikowanego w Karagandzie – nawołuje po polsku z ambony ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, duszpasterz Ormian.

Podczas mszy ormiańskiej nie kłęczą się jak w Kościele rzymskokatolickim, nawet w trakcie podniesienia i adoracji sakramentu nie słychać dzwonek ministrantów. Cześć świętości wyznaje się stojąc. Komunią jest hostia umaczana w winie. Tym razem nabożeństwo nie kończy się po błogosławieństwie. Ormiańscy parafianie wyśpiewują jeszcze swojemu proboszczowi życzenia z okazji 60. urodzin.

– Tym bardziej zapraszam na spotkanie po mszy świętej – mówi uśmiechnięty ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

Skąd w Gliwicach znaleźli się Ormianie, nacja wcześniej zupełnie nieznaną w mieście? Do grodu nad Kłodnicą pierwsi przesiedleni zostali w 1945 roku – w wyniku umowy przywódców zwyciężskich mocarstw w Jałcie i Poczdamie – wraz z kilkudziesięcioma tysiącami mieszkańców z utraconych kresów

południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej.

– Było ich co najmniej kilkuset – zapewnia Anna Olszańska, prezes Związku Ormian w Polsce im. arcybiskupa Józefa Teodorowicza w Gliwicach.

Przywieźli ze sobą swoją wiarę – katolicką, ale nieco inną niż rzymskokatolicka Górnoślązaków, która nieformalnie zgrupowanym Ormianom pozwoliła się zidentyfikować.

Powtórne wypędzenie Polskich Ormian

Pierwsi uchodźcy z Armenii, która była krajem chrześcijańskim od IV wieku, pojawili w Kijowie i Lwowie po 1080 roku, gdy podkaukaskie państwo stopniowo zaczęli zajmować władcy bizantyjscy i tureccy. Kolejni ormiańscy emigranci, zajmujący się handlem i rzemiosłem, najchętniej osiedlali się w miastach na południowo-wschodniej Rusi. Pierwsze przywileje sądownicze i religijne przyznał ormiańskiej diasporze w 1356 roku Kazimierz Wielki po zajęciu Grodów Halickich. Polski król zezwolił także Ormianom na budowę własnej katedry we Lwowie, który stał



Przyspitalna kaplica św. Trójcy. Zdjęcie archiwalne.

niem II wojny światowej całe społeczności z ormiańskich parafii na kresach południowo-wschodnich przesiedlone zostały na Śląsk.

– Przyjęci byli bardzo serdecznie i życzliwie. Wtopili się nawet w środowisko dość zamkniętych na obcych Ślązaków, z którymi znaleźli wspólny język

wizerunek św. Kajetana oraz malowidło Matki Boskiej Częstochowskiej ufundowane przez rodzinę Łukasiewiczów. Na czele parafialnej społeczności Ormian, wypędzonej do Gliwic, stał były proboszcz z Horodenki ksiądz Kazimierz Roszko, który po krótkim pobycie w Pyskowicach osiadł na stałe w mieście nad Kłodnicą.

Kapłan ten urodzony we Lwowie 9 lutego 1916 roku jako syn kupca Michała i Marii z domu Schneider, był prawnikiem słynnego ormiańskiego duchownego i językoznawcy Stefana Roszki. Zapewne po dalekim przodku odziedziczył zainteresowanie kapłaństwem i nauką języka ormiańskiego. W 1932 roku wysłany został przez arcybiskupa Józefa Teodorowicza do papieskiego Kolegium Ormiańskiego w Rzymie. Ze względu na słaby stan zdrowia Kazimierz Roszko święcenia kapłańskie w obrządku ormiańskim otrzymał jeszcze w Rzymie w 1938 roku z rąk arcybiskupa Sarkisa Der Abrahamiana. Początkowo był wikariuszem w Stanisławowie. Od 1942 roku objął probostwo w Horodence. W cza-

9 lipca 2011 r. został odsłonięty i poświęcony Chaczkar – kamienny krzyż ormiański – dar narodu ormiańskiego dla parafii ormiańskokatolickiej dla Polski południowej. Krzyż ten, wykonany w oryginalnym tufie wulkaniczny, sprowadzony został drogą lotniczą z Armenii dzięki staraniom artysty-plastyka Gagika Parsamiana z Gdańska i Stowarzyszenia „Sztuka bez granic” z Erywania, przy wydatnej pomocy ormiańskiego Ministerstwa Obrony Narodowej.

się do XVI wieku głównym ośrodkiem ormiańskim na terenie Rzeczypospolitej. Ormianie z biegiem lat polonizowali się, zachowując przy tym odrębność obyczajów i wiary. Uważani początkowo za schizmatyków uporządkowali w 1630 roku kwestie religijne. Biskup ormiańskiej diecezji lwowskiej Mikołaj Torosowicz złożył wyznanie wiary biskupowi łacińskiego obrządku Andrzejowi Pruchnickiemu a pięć lat później powtórzył je przed papieżem Urbanem V. Po zawarciu unii z Kościołem rzymskokatolickim w Polsce powstał Kościół ormiańskokatolicki. Zwani Polskimi Ormianami wierni byli polskiej koronie, co uwidoczniło się zwłaszcza podczas odsieczy wiedeńskiej, gdy w wojskach króla Jana III Sobieskiego służyło ich prawie pięć tysięcy.

W okresie międzywojennym ormiański arcybiskup Józef Teodorowicz, żyjący w latach 1902–1938, zlatynizował obrządki kościelne, dbając równocześnie o zachowanie rytu ormiańskiego. W samym Lwowie mieszkało wówczas ponad pięć tysięcy spolonizowanych Ormian. Silnymi ośrodkami ormiańskimi były przede wszystkim miejscowości, gdzie istniały ich kościoły i parafie, m.in. Kamieniec Podolski, Kutry, Stanisławów, Tarnopol, Horodenka i Łysiec. W okresie repatriacji po zakończe-

ni i dzielili wspólnotę niektórych doświadczeń – przekonuje Anna Olszańska.

W tłumie przesiedleńców w czerwcu 1945 roku przybyli nad Kłodnicę wierni z założonej w 1706 roku ormiańskiej parafii w Horodence. Przywieźli ze sobą kościelne wyposażenie, księgi, a nawet obrazy – pochodzący z XVII wieku



Zapalanie zniczy pod krzyżem wotywnym



Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski błogosławi wiernych



Obraz Matki Boskiej Łysieckiej

sie okupacji prowadził tajne nauczanie i konspirował w Armii Krajowej; między innymi przechowywał broń za kościelnym ołtarzem. Działalność w partyzancie przyczyniła się do umieszczenia go

z dzwonnicy. Na nabożeństwa uczęszczali do niej okoliczni mieszkańcy. O budynek wkrótce spór zaczęli toczyć starokatolicy i rzymskokatolicy. Swary zakończył w 1872 roku gliwicki bur-

mach 136 cm na 98 cm w XVI wieku przez kapłana Kolumba z Łysca. Była to kopia (po śmierci twórcy zaopiekował się nią i wystawił na widok publiczny łysiecki ksiądz Grzegorz), słynnego obrazu, który od XV wieku eksponowany był w kościele w Kamieńcu Podolskim. Oryginał przedstawiający wizerunek maryjny pochodził z warsztatu małopolskiego „odmiany piekarskiej” nie przetrwał bolszewickiej nawały w 1920 roku. Kopia obrazu – zachowująca cechy pierwowzoru: ikoniczną twarz Madonny o wąskich ustach i dostojnym spojrzeniu z lekko przechyloną głową w stronę Dzieciątka oraz jej poziomo wyciągniętą dłoń z długimi i wąskimi palcami – nie zaginęła ukryta przez Ormian katolików w Stanisławowie a później po repatriacyjnej tułaczce w Starych Budkowicach pod Opolem.

Cztery lata po wystawieniu obrazu w ormiańskim kościele Świętej Trójcy w Gliwicach obraz Matki Boskiej Łysieckiej poddany został renowacji. Kult przeniesiony z kresów południowo-wschodnich na dobre rozwinął się w Gliwicach. W święto Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny zachował się wśród pielgrzy-

Silnymi ośrodkami ormiańskimi były przede wszystkim miejscowości, gdzie istniały ich kościoły i parafie, m.in. Kamieniec Podolski, Kutry, Stanisławów, Tarnopol, Horodenska i Łysiec. W okresie repatriacji po zakończeniu II wojny światowej całe społeczności z ormiańskich parafii na kresach południowo-wschodnich przesiedlone zostały na Śląsk.

w jednej z pierwszych grup repatriowanych w 1945 roku na Górny Śląsk.

Zakorzeń się nad Kłodnicą

W swojej nowej małej ojczyźnie, w odmiennych warunkach politycznych ukształtowanych po II wojnie światowej, Kazimierz Roszko – znający ormiańskokatolicką liturgię – postanowił odtworzyć parafialną społeczność Ormian na wzór istniejącej od stuleci w przymusowo opuszczonej Horodence. Starania szybko uwieńczył powodzeniem. Stał się administratorem opuszczonego przez niemieckich starokatolików gliwickiego kościółka Świętej Trójcy, który Starostwo Powiatowe przekazało wspólnocie Ormian 28 września 1945 roku. Darowiznę zaakceptował także 14 października biskup Bolesław Kominek, kościelny administrator na Śląsku Opolskim, co zapoczątkowało zupełnie nowy etap w dziejach wiekowej świątyni.

Szpital i kaplicę Świętej Trójcy, św. Marii i św. Bartłomieja ufundował w Gliwicach w 1409 roku Michał Bynki. Mimo wielu pożarów i zniszczeń szpital przetrwał do XIX wieku. W latach 1836–1838 wzniesiono mury kościoła w stylu klasycystycznym

mistrz Teuchart, przyznając budynek wyznawcom starokatolicyzmu. Dopiero w 1922 roku kaplica przejęta została przez liczniejszych wiernych wyznania rzymskokatolickiego i była filią parafii św. św. Piotra i Pawła w Gliwicach. W 1927 roku przed kościółkiem parafianie ustawili figurę św. Jana Nepomucena wyrzeźbioną przez artystę z Opawy Jana Nitschego. Podczas II wojny światowej ówczesny burmistrz Gliwic w 1941 roku ponownie podarował świątynię starokatolikom, którzy opuścili ją wraz z końcem wojennej zawieruchy.

W tłumie przesiedleńców w czerwcu 1945 roku przybyli nad Kłodnicę wierni z założonej w 1706 roku ormiańskiej parafii w Horodence. Przywieźli ze sobą kościelne wyposażenie, księgi, a nawet obrazy – pochodzący z XVII wieku wizerunek św. Kajetana oraz malowidło Matki Boskiej Częstochowskiej ufundowane przez rodzinę Łukasiewiczów.

Ranga ormiańskiego kościółka w Gliwicach wzrosła w 1950 roku, gdy proboszcz sprowadził słynący cudami obraz – Matki Boskiej Łysieckiej, budując dla malowidła specjalny marmurowy ołtarz. Wizerunek św. Marii z Dzieciątkiem na ręku namalowany został na płótnie rozciągniętym na desce o wymia-

mów zwyczaj składania pisemnych prośb i palenia ich przez kapłana a następnie wnoszenia modłów w intencjach złożonych Matce Boskiej. Miejscowi Ormianie mają nawet swoją modlitwę, którą odmawiają przed malowidłem. Jeden z wersów brzmi: „Pociesz i mnie o Łysiecka Pani”. Znaczenie obrazu docenił



Gliwicy Ormianie idą na mszę św.

w 1987 roku papież Jan Paweł II, poświęcając korony, jakimi dwa lata później ozdobił wizerunek Matki Boskiej Łysieckiej patriarcha Jan Piotr XVIII Kasparian. Tak powstało Sanktuarium Matki Boskiej Łysieckiej w Gliwicach.

Jeszcze za rządów Kazimierza Roszki – który zmuszony został w 1964 roku przez ówczesne władze do emigracji i zmarł w Chicago w 1987 roku – budynek ormiańskiej świątyni w Gliwicach przeszedł w latach 1959–1962 gruntowny remont. W kościółku zbudowano nowy żelbetonowy strop i więźbę dachową oraz szczytową ścianę. Do ważnych

w latach 1985–2004. W otrzymanej od miasta kamienicy stworzył ormiańskie centrum oraz sklep tekstylny, z którego działalności zyski przekazywane były na potrzeby ormiańskiej parafii. Jednak w latach 90. XX wieku Józef Kowalczyk popadł w konflikt z wiernymi, narzucając nabożeństwa odprawiane w rycie libańskim zamiast po polsku w języku staroormiańskim. Ukarany nawet był roczną suspensą. Do prawdziwego skandalu doszło w 2004 roku, gdy proboszcz sprzedał majątek parafii i wyjechał z pieniędzmi i eksponatami. Po zgłoszeniu przez wiernych nadużyć

Ranga ormiańskiego kościółka w Gliwicach wzrosła w 1950 roku, gdy proboszcz sprowadził słynący cudami obraz – Matki Boskiej Łysieckiej, budując dla malowidła specjalny marmurowy ołtarz. Wizerunek św. Marii z Dzieciątkiem na ręku namalowany został na płótnie rozciągniętym na desce o wymiarach 136 cm na 98 cm w XVI wieku przez kapłana Kolumba z Łyśca.

wydarzeń zaliczyć można także konsekrację ołtarza w 1974 roku oraz postawienie w 2011 roku przed kościołem wotywnego krzyża kamiennego ku czci Ormian wymordowanych w 1916 roku przez Turków i umęczonych Polaków.

Pod krzyżem zwanym Chaczkarem zapala regularnie znicz 79-letnia Władysława Filipowicz. Ormianka przybyła do Gliwic w 1946 roku wraz z rodzicami ze Lwowa. Miała wtedy osiem lat.

– Jako mała dziewczynka niewiele zapamiętałam z tamtych czasów, ale od początku chodziłam na msze do ormiańskiego kościółka – zapewnia sędziwa kobieta, uczestniczka urodzinowego nabożeństwa księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Złą sławą – mimo niepodważalnych zasług dla rozwoju ormiańskiej parafii w Gliwicach – pozostawił po sobie ksiądz Józef Kowalczyk, proboszcz

prymas Józef Glemp 12 listopada 2004 roku odwołał go z funkcji proboszcza. Józef Kowalczyk odnaleziony został przez organa ścigania w Świebodzinie, gdzie był rzymskokatolickim księdzem. Za malwersacje sąd skazał go na cztery lata więzienia. Nowym proboszczem w gliwickim kościele Świętej Trójcy został Artur Awdalyan. Zastąpił go w 2009 roku Tadeusz Isakowicz-Zaleski, kiedy to dekretem arcybiskupa Kazimierza Nycza kościół św. Trójcy w Gliwicach stał się siedzibą ormiańskokatolickiej parafii Polski południowej.

Mimo upływu czasu zachowali odrębność

Dzięki ponad siedemdziesięcioletniemu istnieniu w kościele św. Trójcy ormiańskokatolickiej parafii, Gliwice stały się jed-

nym z trzech – poza Gdańskiem i Krakowem – silnym ośrodkiem Ormian w Polsce. Jednak po tylu latach stopniowo wykruszyli się – umierali bądź wyjeżdżali – Polscy Ormianie repatriowani na Górną Śląsk tuż po II wojnie światowej.

– Na msze ormiańskie uczęszcza przeciętnie od 40 do 100 osób, w zależności od ważności liturgicznego święta czy uroczystości – martwi się Anna Olszańska.

Według jej rozeznania w Gliwicach mieszka obecnie od kilkudziesięciu do kilkuset osób o ormiańskich korzeniach. W niektórych rodzinach pamięta się jeszcze o pochodzeniu babci albo dziadka, mimo że nazwiska noszą już zgoła inne, bo zanikają typowo ormiańskie Minasiewicz, Bohosiewicz, Kasprowicz, które w wersji oryginalnej brzmiały Minasjan, Bohosjan, Kasparjan.

Oprócz parafialnej wspólnoty w Gliwicach o umacnianie ormiańskiej tożsamości dbają także członkowie Związku Ormian w Polsce im. ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Organizacja założona w 1995 roku ma siedzibę w gliwickiej kamienicy przy ulicy Wyszyńskiego 7. Z jej inicjatywy organizowane są co roku Dni Kultury Ormiańskiej, w ramach których prezentowane są wystawy zdjęć i obrazów, naukowcy wygłaszają referaty na temat dziejów i obyczajów Ormian. Serwowane są także charakterystyczne ormiańskie potrawy: słodkie ciasta orzechowo-miodowe, marynowane bakłażany i pieczenie z baraniny i jagnięciny. Pamięć o mniejszości ormiańskiej w Gliwicach podtrzymuje Muzeum, zarządzając seminaria i wystawy, wydając foldery. Temat ten często łączy się z problematyką kresową poruszaną przez gliwickich muzealników.

– Stale kontaktujemy się z Ormianami, otrzymujemy od nich czasopisma i wydawnictwa. W grudniu 2016 roku zorganizujemy spotkanie o „Kresowych Mariach i Chrystusach” – mówi Bożena Kubit, kierowniczką Działu Etnografii Muzeum w Gliwicach.

Niekorzystnie dla Ormian przedstawiają się dane statystyczne. W spisie powszechnym z 2011 roku przynależność do Polskich Ormian zadeklarowało jedynie 1684 ankietowanych w całej Polsce. W województwie śląskim do ormiańskiego pochodzenia przyznało się jedynie 167 osób. Jednak statystycy szacują, że w kraju żyje jeszcze około osiem tysięcy Ormian ze starej tuż powojennej wywózki. Natomiast do Polski przybyło prawie 90 tysięcy nowych emigrantów z Armenii, którzy regularnie przyjeżdżali z powodów ekonomicznych do naszego kraju od lat 90. XX wieku. Pomimo takiej liczebności, nowi emigranci, którzy są wyznania apostolskiego, nie integrują się ze starymi repatriantami przynależącymi do obrządku ormiańskokatolickiego. Dlatego Polscy Ormianie w Gliwicach nadal zachowują własną odrębność i pamięć o wypędzeniach.



Tatarskie ślady na Górnym Śląsku

SŁAWOMIR HORDEJUK

Z tatarskim rodowodem

Tatarzy na Górnym Śląsku pojawili się już w I poł. XIII w. Jednak pierwsze kontakty z nimi nie miały pokojowego charakteru. W styczniu 1241 r. tatarskie czambuły dokonały głębokich wypadów

rozpoznawczych z Rusi aż po Racibórz. Przed uderzeniem na Śląsk dokonali kilku akcji zwiadowczych w okolicach Wodzisławia. Po zwycięskiej bitwie pod Legnicą, 9 kwietnia 1241 r., Tatarzy przez Bramę Morawską, Racibórz i Grodziec wkroczyli na Morawy. Natomiast na początku 1291 r. wspólnie z Lwem

(księciem halickim) brali udział w wyprawie na ziemię polskie, docierając pod Racibórz.

W 1474 roku chorągwie tatarskie uczestniczyły w nieudanej wyprawie polskiej na Śląsk. Obecność Tatarów – muzułmanów w wojsku polskim, była wówczas wykorzystywana w propagandzie antypolskiej prowadzonej przez Zakon Krzyżacki w Europie. Jednak Tatarzy wielokrotnie okazali swoją lojalność względem polskiego króla. Tak było na przykład podczas rokосу Lubomirskiego w latach 1665-1666, w którym Tatarzy walczyli przeciwko zbuntowanej szlachcie m.in. w bitwie pod Częstochową.

W 1683 r., chorągwie tatarskie przechodziły przez Śląsk w drodze na Wiedeń. Wtedy Jan III Sobieski zatrzymał się na krótko na zamku w Raciborzu. W wojnie sukcesyjnej austriackiej 1740-1748 oraz wojnie Prus z Saksonią 1756-1763, po stronie saskiej walczyły pułki tatarskie gen. Czymbaja Murzy Rudnickiego i płk. Aleksandra Mustafy Koryckiego. W wojnie siedmioletniej na Śląsku i Saksonii walczył także gen. Józef Bielak (1729-1794), jeden z najwybitniejszych tatarskich dowódców.

Tatarski rodowód miał gen. Łukasz Biegański (1755-1839). W czerwcu 1794 r. (w stopniu majora), brał udział w bitwie pod Szczekocinami, jednej z największych bitew powstania kościuszkowskiego.

Pierwsi przybysze

Pierwsi Tatarzy zaczęli przybywać na tereny obecnego województwa śląskiego w II poł. XIX w. Wiązało się to zarówno z rozwojem przemysłu, jak i stacjonującymi w zaborze rosyjskim garnizonami i oddziałami (m.in. Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, Częstochowa). Jednym z oficerów tatarskich, który służył w jednym z miejscowych garnizonów był Piotr Miśkiewicz. Jego syn, Tadeusz Miśkiewicz urodził się w 1895 r. w Dąbrowie Górniczej. Był zawodowym pilotem wojskowym w stopniu kapitana. Brał udział w I wojnie światowej, jako pilot 7 i 15 Eskadry Myśliwskiej. W okresie międzywojennym służył m.in. w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu. Zatrudniony był również w Centralnych Zakładach Lotniczych w Warszawie. Następnie komendant Parku 5 Pułku Lotniczego w Lidzie. W latach 30. XX w. mieszkał w Katowicach. Brał udział w wojnie obronnej 1939 r. Jeniec niemieckich oflagów II B Arnswalde i II D Gross-Born. Nieznane są jego losy powojenne.

Krótką wzmiankę o Tatarach w Zagłębiu Dąbrowskim na przełomie XIX/XX w. podaje historyk Dariusz Walerjański: *Najlepszym przykładem wielonarodowości w Zagłębiu jest zachowany z drugiej połowy XIX wieku kompleks czterech cmentarzy wyznaniowych – prawosławnego, ewangelickiego, katolickiego i żydowskiego. Również*

Mało znana kwestią jest służba wojskowa Tatarów w jednostkach wojskowych na terenie województwa śląskiego, zarówno przed, jak i po II wojnie światowej. Krótco po zakończeniu działań wojennych, w rozminowywaniu Śląska brał udział płk dypl. inż. Adam Szegidewicz (1924-1995). Można też przypuszczać, że pewna grupa

Obecnie na Górnym Śląsku mieszka kilkadziesiąt rodzin pochodzenia tatarskiego. Niestety, prawdopodobnie nikt już nie kontynuuje tradycji etniczno-religijnych. Tatarzy, którzy osiedlali się na Górnym Śląsku w latach powojennych, najczęściej wchodzili w mieszane związki małżeńskie. Zerwanie więzów ze wspólnotą powodowało, że z czasem zmieniali też wyznanie. Warto nadmienić, że od 2007 r. istnieje w Katowicach Centrum Kultury Islamu, jednak na piątkowych modlitwach nie ma polskich Tatarów-muzułmanów.

oprócz wyżej wymienionych grup etnicznych np. w Zagłębiu można było spotkać zamieszkałych muzułmanów – pracujących w górnictwie Tatarów.

Warto nadmienić, że jednym z uczestników III powstania śląskiego był Włodzimierz Ablamowicz (1891-1974), ps. Tatar, kpt. WP, dr prawa i adwokat. W czasie powstania dowodził 3 dywizjonem pociągów pancernych. Od 1922 r. był czynnie zaangażowany w środowisku byłych powstańców śląskich. W zbiorach rodziny Ablamowiczów z Katowic przechowywany jest maszynopis wspomnień mjr. dr. Włodzimierza Ablamowicza. Pisał w nim: *Rodzina moja pochodzi z Litewskich Tatarów, którzy za czasów Władysława Jagiełły brali udział w bitwie pod Grunwaldem i w spisie rodzin tatarskich figuruje jako „Ablam”, który potem uzyskał końcówkę polsko-litewską. Ród nasz służył wojskowo w chwilach potrzeby Kraju. (...) Dumny jestem z tego, że pochodzę z tych Tatarów Litewskich, o których mówiono, że „są to najwierniejsze psy stojące na straży granic Rzeczypospolitej Polskiej” i dlatego w 1921 roku skoczyłem do Powstania a w 1939 roku przydzielony do dowództwa okręgu V w Krakowie, zgłosiłem się do służby frontowej broni pancernej.*

Niewiele wiadomo również o obecności Tatarów na Górnym Śląsku po I wojnie światowej. Pierwszy powszechny spis ludności z 1921 r. nie objął województwa śląskiego z przyczyn prawno-międzynarodowych. Z kolei powszechny spis ludności z grudnia 1931 r. dla woj. śląskiego nie uwzględnił narodowości, zaś w podziale na wyznania nie figurują wyznawcy islamu („mahometanie”, jak ich błędnie wówczas określano).

Tatarów z byłego Imperium Rosyjskiego, służących w Armii Czerwonej, brała udział w wypieraniu wojsk niemieckich z Katowic w styczniu 1945 r. Na cmentarzu radzieckim w Parku Kościuszki w Katowicach spoczywa Wasilij Murza Afanasjewicz (1922-1945).

Emir Buczacki i inni

Po 1945 r. na Górnym Śląsku osiedliła się nieznaną liczbą osób pochodzenia tatarskiego. Brak jest danych statystycznych, co do ilości Tatarów z Kresów Wschodnich, którzy przybyli tutaj w ramach repatriacji. Wiadomo, że kilkanaście rodzin tatarskich osiedliło się wówczas na Dolnym Śląsku (Wrocław, Oleśnica, Jelenia Góra, Zgorzelec). We Wrocławiu Tatarzy powołali gminę muzułmańską, która istniała do lat 50., po czym społeczność uległa rozproszeniu.

W latach 50. i 60. kilku Tatarów zamieszkało w Katowicach oraz sąsiednich miastach. Byli to m.in. Emir Buczacki (1935-1990), aktor filmowy i teatralny, znany z filmów „Noce i dnie”, „Faraon”, „Perła w koronie”. Od 1963 r. do 1987 r. (z krótkimi przerwami) aktor Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach. W 1960 r. w Katowicach zamieszkał kpt. Jan Jakub Szegidewicz (1906-1983), przedwojenny pilot-instruktor, więzień KL Auschwitz i KL Neuenhammer. Przez kilka lat pracował w Zakładach Produkcji Części Zamiennych „Zremb” w Katowicach. W latach powojennych w Chorzowie mieszkał Józef Tuhan-Murza Baranowski. Jego córka, Aleksandra Kuberska, jest lekarzem-anestezjologiem



Emir Buczacki, 1971 r.



Ppor. obs. Tadeusz Miśkiewicz



Kpt. Włodzimierz Ablamowicz

Foto. z mat. Teatru Śląskiego

Foto. 1919 r. ze zbiorów autora

Foto. ze zbiorów dr. Dominika Ablamowicza



Leon Brunon Abdank-Abakanowicz w okresie służby w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii

w Zespole Szpitali Miejskich w Chorzowie. Obecnie nazwisko Tuhana-Murza Baranowski występuje jedynie w województwie śląskim.

Tatarskie pochodzenie miał Leon Brunon Abdank-Abakanowicz (1911-1988), mieszkający po wojnie w Gliwicach. We wrześniu 1939 wziął udział w wojnie obronnej (w stopniu kaprała). 15 listopada 1939 r. znalazł się w Septfonds (Francja). W maju 1940 r. trafił do polskiej bazy w Blackpool. Po wojnie powrócił do Polski. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Gliwicach przy ul. Kozielskiej.

Kilka osób pochodzenia tatarskiego przybyło na Górny Śląsk z Podlasia. Jedną z nich jest Elżbieta Szahidewicz z Białegostoku, emerytowany pracownik zakładów graficznych w Katowicach-Wielowcu. Z Białegostoku pochodził też prof. Aleksander Abłamowicz, romanista i literaturoznawca, w latach 1973-2002 kierownik Instytutu Filologii Romańskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz dziekan Wydziału Filologicznego tegoż uniwersytetu. Od 1945 r. mieszkał w Bytomiu. W 1969 r. w Rydułtowach zamieszkał Bogumił Pirogowicz (1943-2008), absolwent historii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, wieloletni dyrektor Szkoły Podstawowej nr 3 w Rydułtowach. Pochodził ze Stu-

jest założycielem Stowarzyszenia Historycznego Żydów Miasta Częstochowy. W czasach PRL był opozycjonistą oraz jednym z założycieli Solidarności Rolników Indywidualnych i Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Z Częstochową pod koniec życia związany był Aleksander Achmatowicz (1865-1944), prawnik, prezes Związku Tatarów Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy, a w latach 1928-1930 senator. Tutaj też zmarł 07.03.1944 r. jego syn, dr Leon Achmatowicz (1894-1974), lekarz-chirurg, pod koniec II wojny światowej dyrektorem szpitala w Częstochowie.

Natomiast firma Budimex Dromex S.A., której prezesem zarządu był mgr inż. Stefan Bekir Assanowicz, realizowała na Górnym Śląsku kilka inwestycji, m.in. budowę autostrady A1 (odcinek Pyrzowice-Piekary), czy wielofunkcyjne centrum handlowo-usługowo-mieszkaniowe w Bielsku-Białej. Na marginesie warto dodać, że w miejscowości Jaworze Dolne k. Bielska-Białej od 1982 r. funkcjonuje firma „Łukbis”, która zajmuje się produkcją sportowego i tradycyjnego sprzętu łuczniczego, w tym zdobionych łuków krymsko-tatarskich.

Oprócz tego na śląskich uczelniach wykładało (lub wykłada) kilka osób pochodzenia tatarskiego. Członkiem rady naukowej Górnośląskiej Wyższej



Jan Jakub Szegidewicz

W jednym z przedwojennych przewodników po województwie śląskim, pod hasłem „Mszana” autor zapisał: *Ludność tej wsi zwana „tatarczyki” według tradycji ludowej ma rzekomo pochodzić od Tatarów, którzy rozgromieni pod Wodzisławiem tu się osiedlili*”. Chociaż na poparcie prawdziwości wydarzeń sprzed blisko 800 lat brak pewnych źródeł historycznych, faktem jest, że potomkowie tamtych Tatarów żyją nadal w Mszanie.

dzianki na Płd. Podlasiu. Jego mama wywodziła się z tatarskiego rodu Bajrulewiczów.

Nieliczni Tatarzy pracowali po II wojnie światowej w śląskich kopalniach. Jednym z nich był zmarły kilka lat temu Dżafar Radkiewicz. Pochodził ze Słonimia (dawne woj. nowogrodzkie). Po wojnie mieszkał w Jeleniej Górze. Na początku lat 50. należał do podziemnej organizacji niepodległościowej, za co skierowano go do pracy w kopalni.

Nieliczni Tatarzy zajmują się biznesem. Prezesem spółki Papatia w Częstochowie jest Selim Tuhana-Baranowski. Jego ojciec, Janusz Baranowski, dr chemii Politechniki Łódzkiej, autor kilku patentów, był senator,

Szkoły Pedagogicznej w Mysłowicach jest prof. Józef Półturzycki. W latach 1973-2002 Instytutem Filologii Romańskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach kierował wspomniany prof. Aleksander Abłamowicz. Nieznana liczba Tatarów podejmuje studia na uczelniach wyższych woj. śląskiego. Wśród nich są także Tatarzy z Tatarstanu i Krymu.

Obecnie na Górnym Śląsku mieszka kilkadziesiąt rodzin pochodzenia tatarskiego. Niestety, prawdopodobnie nikt już nie kontynuuje tradycji etniczno-religijnych. Tatarzy, którzy osiedlili się na Górnym Śląsku w latach powojennych, najczęściej wchodzili w mieszane związki małżeńskie. Zerwanie więzów ze wspólnotą powodowało, że

z czasem zmieniali też wyznanie. Warto nadmienić, że od 2007 r. istnieje w Katowicach Centrum Kultury Islamu, jednak na piątkowych modlitwach nie ma polskich Tatarów-muzułmanów.

Nazwy i nazwiska „tatarsko” brzmiące

Wśród legend, przekazów i tradycji Śląska, często pojawiają się nazwy (zarówno miejscowe, jak i topograficzne), których pochodzenie wiąże się z pobytom Tatarów. Problematyka ta poruszana jest w rozprawach monograficznych miast, wsi i regionów, przewodnikach krajoznawczych. O randze problemu świadczą choćby dziesiątki nazw miejscowości i obiektów fizjograficznych, zawierających rdzeń „tatar”, czy „tatarski”.

I tak mamy np. Tatarskie Okopy czy Dolinę Tatarską (gm. Niemcza, pow. dzierżoniowski); Tatarską Górę; Tatarskie Wykopy (pow. trzebnicki); Tatarskie Wzgórza (Niemodlin,); Wieża Mongołów (gm. Grodków, pow. brzeski). W gminie Rajcza (pow. żywiecki) jest miejscowość Tataraki, a w kilku śląskich miastach mamy ulicę Tatarską (Legnica, Wrocław).

Z kolei Chorzów i Katowice-Dąb wprost powołują się na historyczne korzenie z okresu najazdów tatarskich. Nazwę Orzegowa (obecnie dzielnica Rudy Śląskiej) niektórzy tłumaczą jako pochodzącą od wyrażenia „orze głowy”. Według legendy podczas orki pługi wyorywały z pól wiele czaszek ofiar tatarskiego najazdu. Natomiast w miejscowości Góra jest Tatarski Grób, gdzie jeszcze przed stu laty stała kamienna kolumna. Według legendy na kolumnie znajdował się obrazek przypominający okres tatarski. Gdy miejsce to miało zostać zabudowane, w czasie robót, koło kolumny znaleziono mnóstwo kości oraz części metalowych pochodzących z hełmów i mieczy. Według opowieści w okolicy Góry zostali pogrzebani Tatarzy, którzy zginęli w czasie powrotu do Azji. Resztki kości pobierano i pogrzebano pod krzyżem, który stoi w Górze. Miejsce, skąd Tatarzy atakowali Grodzisko, zwie się Tatarskim Polem.

Wśród nazwisk pojawia się wiele „tatarsko” brzmiących nazwisk, jak np. Ablamowicz (Katowice, Bytom); Bajraszewski (Tychy); Bazarewicz (Gliwice); Kryczyński (Katowice, Częstochowa); Murzicz (Zabrze); Rodkiewicz (Chorzów, Bieruń, Łężyca, Częstochowa); Safarewicz (Gliwice, Rybnik, Racibórz, Wodzisław Śl.);

Szczęsnowicz (Chorzów, Tychy); Talkowski (Dąbrowa Górnicza); Tuhan-Murza Baranowski (Chorzów, Częstochowa); Ułan (Tychy, Cieszyn).

Tatarom zawdzięczamy także rodziny tradycji ułańskich. Nazwa tej formacji wojskowej stworzona została w I poł. XVIII w. przez Tatara, płk. Aleksandra Ułana. Wprowadził on do kawalerii m.in. lance z proporczykiem, które szumiąc wywoływały popłoch koni przeciwnika. Podległych mu żołnierzy nazywano ułana-

Polskiej Akademii Umiejętności. Przeprowadzili oni wnikliwe badania wśród członków rodzin Tatarczyków. Wyniki w pełni potwierdziły ich mongolski rodowód i azjatyckie cechy, zachowane mimo upływu siedmiu wieków i związków z ludami słowiańskimi. Zresztą i obecnie w rysach twarzy niejednego męskiego potomka Tatarczyków można jeszcze dostrzec tatarskie rysy, zaś u kobiet swoje cechy urody kobiet Wschodu. Od 2002 r. w Mszanie organizowany

Chorzów i Katowice-Dąb wprost powołują się na historyczne korzenie z okresu najazdów tatarskich. Nazwę Orzegowa (obecnie dzielnica Rudy Śląskiej) niektórzy tłumaczą jako pochodzącą od wyrażenia „orze głowy”. Według legendy podczas orki pługi wyorywały z pól wiele czaszek ofiar tatarskiego najazdu.

mi i nazwa ta pozostała nawet po jego śmierci. Z czasem ułanami zaczęto nazywać żołnierzy wszystkich tatarskich pułków. Ułani stosowali nowe rozwiązania taktyczne, jak np. uderzenie kawalerii lekkiej masą (wzorem dawnej husarii) i łamanie oporu przeciwnika za pomocą brawurowej szarży przy użyciu samych tylko lanc. Od II poł. XVIII w. pułki „ułańskie” zaczęto tworzyć w armiach zachodnich.

Mszana – najbardziej tatarska miejscowość

Z okresu najazdów tatarskich pochodzi wiele legend i historii. W 1241 r. w okolicy dzisiejszego Wodzisławia Śląskiego doszło do bitwy. Ślązacy wciągnęli w zasadzkę tatarski podjazd. Większość najeźdźców zginęła. Wziętych do niewoli miano osadzić w dolinie rzeczki, w okolicy dzisiejszej Mszany. Okazali się potrzebni księżętom raciborskim jako świetni hodowcy koni. Siłą ich ochrzczono, a z biegiem lat wrosli w miejscową społeczność.

W jednym z przedwojennych przewodników po województwie śląskim, pod hasłem „Mszana” autor zapisał: *Ludność tej wsi zwana „tatarscyki” według tradycji ludowej ma rzekomo pochodzić od Tatarów, którzy rozgromieni pod Wodzisławiem tu się osiedlili*. Chociaż na poparcie prawdziwości wydarzeń sprzed blisko 800 lat brak pewnych źródeł historycznych, faktem jest, że potomkowie tamtych Tatarów żyją nadal w Mszanie. Wykazały to badania antropologiczne prowadzone w latach 30. XX w. przez pracowników Wydziału Antropologii

jest Złot Rodu Tatarczyków. Impreza ma charakter festynu, którego ważnym momentem jest przemarsz przez wieś delegacji Tatarczyków z różnych stron Polski i świata. Złot organizowany jest co 5 lat. Poza tym, na Górnym Śląsku oprócz Tatarczyków spotyka się także nazwiska: Tatar, Tatar, Tatarzyn, Tatarski, Tatarczak, itp.

Sławomir Hordejuk – (ur. 1979 r. w Terespolu n/Bugiem). Absolwent Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie, gdzie obronił pracę magisterską nt. *Wpływ Tatarów na kształtowanie krajobrazu kulturowego na wschodnim pograniczu Polski*. Ukończył studia podyplomowe w Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych UW (bibliotekoznawstwo) oraz studia podyplomowe dla nauczycieli wiedzy o kulturze i animatorów kultury w Instytucie Kultury Polskiej UW. Jego zainteresowania obejmują m.in. historię i kulturę Tatarów polsko-litewskich oraz tradycje lotnicze Południowego Podlasia. Współpracuje m.in. z „Rocznikiem Białskopodlaskim”, „Podlaskim Kwartalnikiem Kulturowym”, „Rocznikiem Tatarów Polskich”, „Przeglądem Tatarskim”, „Życiem Tatarskim”. Autor kilkunastu biogramów pilotów do książki „Lotnicy Podlasia. Słownik biograficzny”, oprac. i red. T. Demidowicz (Biała Podlaska 2005). Członek m.in. Towarzystwa Miłośników Podlasia, Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Od 5 lat mieszka w Katowicach. Pracuje w dziale promocji Miejskiej Biblioteki Publicznej w Katowicach.

CZEDĚ DŽINIE ÒGARD

nierôz są wëdôwô
że żëjemë w ùbëtkù
a szczescé rozspiewało są
w mùrach bazyliczi
ë dzes kòl drodżi
abò kòl wòdë
z zamkłima na słuńce òczama
le diòbelsczé skrzëpczi
żëją tim samim
kòl wrotków kròjnë
dze le kąsk òctu
le kùsk
le zdebło trówë
jakbë nigdzie nikògò...

12 strëmiannika 1994, Zabrze

GDY GINIE OGRÓD

nieraz się wydaje
że żyjemy w pokoju
a szczęście rozspiewało się
w murach bazyliki
i gdzieś po drodze
bądź przy wodzie
z zamkniętymi na słońce oczami
ledwie diabelskie skrzypce
żyją tym samym
u wrót krainy
gdzie tylko łyk octu
ledwie kęs
tylko źdźbło trawy
jakby nigdzie nikogo...

12 marca 1994, Zabrze



Rys. Wojtek Lutka

Tytus Kamil Rolski – urodził się w 1970 r. w Gdańsku. Pochodzi z rodziny o wielokulturowej tradycji. Silny związek z rodzinnymi Kaszubami oraz utworami Jana Drzeżdżona wywarł ogromny wpływ na jego twórczość. Od debiutu prasowego w 1986 r. utwory Rolskiego ukazywały się m.in. w: „Kamienie”, „Fołks-Sztyme” (po polsku i w tłumaczeniu Michała Friedmana), „Moim Świecie”, „Okolicach”, „Kresach Literackich”, „Pomeranii”, „Odrodzie”. Debiutanckim arkuszem poetyckim był *NIKT (Medytacje)*, wydany przez Galerię Działań KREKOT w 1989 r. Kolejne opublikowane tomy to: *Miłość* (1990), *Wszystko (Spowiedź szarlatana)* (1992), *Przytułek powieki roniącej* (1993), *Zapiski podpalacza winnic* (1994), *Krużganek w Maulbronn* (1995), *Skrawek brzegu* (1996), *Srebrny ptak* (1996), *...a o sobie milcz* (1997), *Pod morwową gałęzią* (1997). Píše po polsku, angielsku, kaszubsku i śląsku. Jest laureatem wielu konkursów literackich. W 2007 r. wydał tomik w języku kaszubskim *Krëjamczy Drżón*, który został nagrodzony na VIII Kościerskich Targach Książki COSTERINA 2007. Od 1994 r. pracuje jako nauczyciel języka angielskiego, obecnie w szkole podstawowej w Chorzowie. Mieszka w Rogoźniku.



Nie byłbym tak kaszubski

TYTUS KAMIL ROLSKI

Od 1979 roku mieszkam na Śląsku, gdzie przywidły mnie losy kaszubskiej rodziny przybyłej „za szynką” (nie za chlebem), gdzie wychowałem się, dorastałem oraz poznałem moją przyszłą żonę, gdzie też przyszli na świat moi synowie: Kasper i Bruno.

Urodziłem się w rodzinie o korzeniach wieloetnicznych i wielonarodowych, ale fakt ten w żaden sposób mnie nie ograniczył, przeciwnie, wpłynął na większą wrażliwość i wzmoczoną tolerancję, zwłaszcza wobec mówiących, myślących czy wyglądających inaczej.

W rodzinnych stronach do swoich mówiliśmy po kaszubsku, do pozostałych (na Śląsku byśmy powiedzieli: goroli) po polsku. Nie było w tym nic z wywyższania się, przecież przyjezdni, którzy szturmowali Gdańsk z okolicami w sezonie letnim, nie mieli pojęcia o naszym języku. Nie było w zwyczajnym upartym mrukliwego Kaszuby pouczanie reszty świata, nawet, jeśli ta reszta świata była w błędzie. Zupełnie inną postawę zauważyłem jako dziewięcioletnie dziecko w Zabrze, gdzie przyszło mi żyć na skutek decyzji moich rodziców. Gdy wysłany do zabrzańskiego Domu Chleba po bułki nie byłem w stanie ich kupić, bo sprzedawczyni mówiła coś niezrozumiałymi słowami o żymlach, rozplakałem się i dopiero matka żądająca dostępu do *Książki zażaleń i wniosków* wiszącej na obłizniętym sznurku w widocznym miejscu sklepu spowodowała, że ze sklepu wyszliśmy z bułkami. Zrozumiałem wówczas, że miejsce, do którego trafiłem, to zupełnie inna bajka.

Początki w krainie, gdzie co drugi kolega miał rodzinę w Efie i dostęp do nutelli z paczek od ujków z Reichu, nie były łatwe. Każdy dzień jednak sprawiał, że wrastałem w tę ziemię coraz głębiej, korzeniami czepiającymi się tej twardej i z pozoru nieprzyjaznej gleby. Dziś nie widzę dla siebie miejsca poza moją drugą ojczyzną, poza Śląskiem, którego mowę i duszę, upór i zamilowanie do tradycji oraz kult ciężkiej pracy, która powinna być doceniana, uważam za uzupełnienie mojej kaszubskiej natury. Bez Śląska nie byłbym paradoksalnie tak kaszubski, jak obecnie. To tu

uświadomiono mi rolę i znaczenie małej ojczyzny, tego miejsca pod słońcem, które jest ludziom pisane i to nie z wyboru, lecz z dziedzictwa, z tego, co nazywa się zakorzeniem, wrośnięciem w tkankę, odczuwaniem bliźniaczo podobnym do wielu minionych pokoleń. Śląsk dał mi więcej niż wziął. Jestem dumny i wdzięczny, że czuję się częścią tego świata, z pozoru mało atrakcyjnego, źle wyglądającego zza odrapanych ścian naszych familoków, ale to właśnie dogłębne spojrzenie umożliwia prawdziwe pokrewieństwo, dopiero wtedy uczucie wspólnoty z tym światem opiera się na szczerości.

Podczas spisu powszechnego w 2002 r. zostałem zapytany, podobnie jak wielu Ślązaków, o język ojczysty i narodowość. Podobnie jak wielu z nich oparłem się na wyniesionej z domu świadomości i przeświadczeniu o mówieniu tego, z czym się identyfikujemy i co uważamy za słuszne. Podałem język kaszubski jako swój ojczysty oraz narodowość kaszubską jako tę, którą odczuwam jako własną. Mieszkam od kilkunastu lat w Rogoźniku, wiosce za Piekarami Śląskimi, i to właśnie tam dziewczyna dokonująca spisu wpisała moje odpowiedzi we właściwe rubryki. I co? I nic. W „Informatorze Gminnym”, który ukazał się po ogłoszeniu wyników spisu, w gminie Bobrowniki podano, że mieszka w niej 100% Polaków i ich językiem ojczystym jest język polski. Poczuję się jakbym był w zupełnie innej epoce, słusznie minionej. Kto miał interes w tak ohydnej manipulacji i czemu miałaby ona służyć? Do dziś zadaję sobie to pytanie, podobnie jak inne, zawierające w sobie moje niezbyt miłe doświadczenia: ile jest wobec tego nas, nadmorskich kaszubskich potomków rozsianych po miastach i gminach Górnego Śląska?

Sądzę, choć są to tylko moje prywatne przypuszczenia, że może nas być całkiem sporo, zwłaszcza, że większość woli nie uwypuklać swej inności, nie pozostawiać żadnego śladu, żadnej informacji o swych korzeniach. Wtedy tylko nazwiska mogą świadczyć o kaszubskim powinowactwie. Gdy spotykam się z Szultkami,

Stegnami, Stenkami, Bławatami, Borzyszkowskimi, Żmuda-Trzebiatowskimi, Pelplińskimi, Pryczkowskimi etc., wiem od razu, skąd przybyli ich przodkowie i dla mnie te dźwięki brzmią jak słony, nadmorski powiew hulający w olinowaniach starych łajb. Czuję wtedy dreszcz i gardło ściska jakiś specyficzny rodzaj dumy z przynależności do społeczności, której nie dały rady zniweczyć wysiłki germanizatorów, których też na szczęście nie zuinifikowały zakusy polonizacyjne tych, którym się zdawało, że język kaszubski, nasz skarb największy, przejściowe ogniwo pomiędzy wymarłymi językami połabskimi a językiem polskim, to tylko „zepsuta” polszczyzna.

Pielegnuję na swój skromny sposób ów skarb i piszę również w ojczystej mowie, po kaszubsku. W 2007 r. ukazał się mój debiutancki tomik poezji pisanej po kaszubsku *Kręjameczi drżón* (Tajemny cień), który został nagrodzony na Kościerskich Targach Książki Pomorskiej i Kaszubskiej COSTERINA 2007. Przygotowuję również kolejny tom, w którym pragnąłbym zawrzeć najnowsze utwory powstałe oryginalnie w języku kaszubskim. Prócz wątku kaszubskiego w mej twórczości nie brakuje śląskich ech i odniesień – pracuję nad powieścią, której akcja dzieje się w międzywojennym Zabrze, wówczas już Hindenburgu O/S. Jest to dramatyczna historia miłości młodego gimnazjalisty do córki dyrektora zabrzańskiej gazowni, historia o tyle porywająca, co w istocie tragiczna, bo jakże inaczej może się kończyć platoniczne uczucie pochodzącego z zasymilowanej rodziny żydowskiej chłopca do pięknej, lecz niedostępnej dziewczyny ze sfer ówczesnego zabrzańskiego establishmentu? To wszystko, co mnie pochłania w twórczości i życiu, wydaje się być wyborem dla mnie jedynym, wyborem serca i duszy. Jest to mój śląski ślad kaszubskiej obecności, bo tylko będąc tu i teraz widzę, jak bardzo w swej kaszubkości jestem śląski i jak mej śląskiej modle wtórują odległe, a tak w gruncie rzeczy bliskie Kaszuby. Me dwie ojczyzny, połączone nierozzerwalnie we wspólną, bliźniaczo brzmiącą jedność. ■

* * *

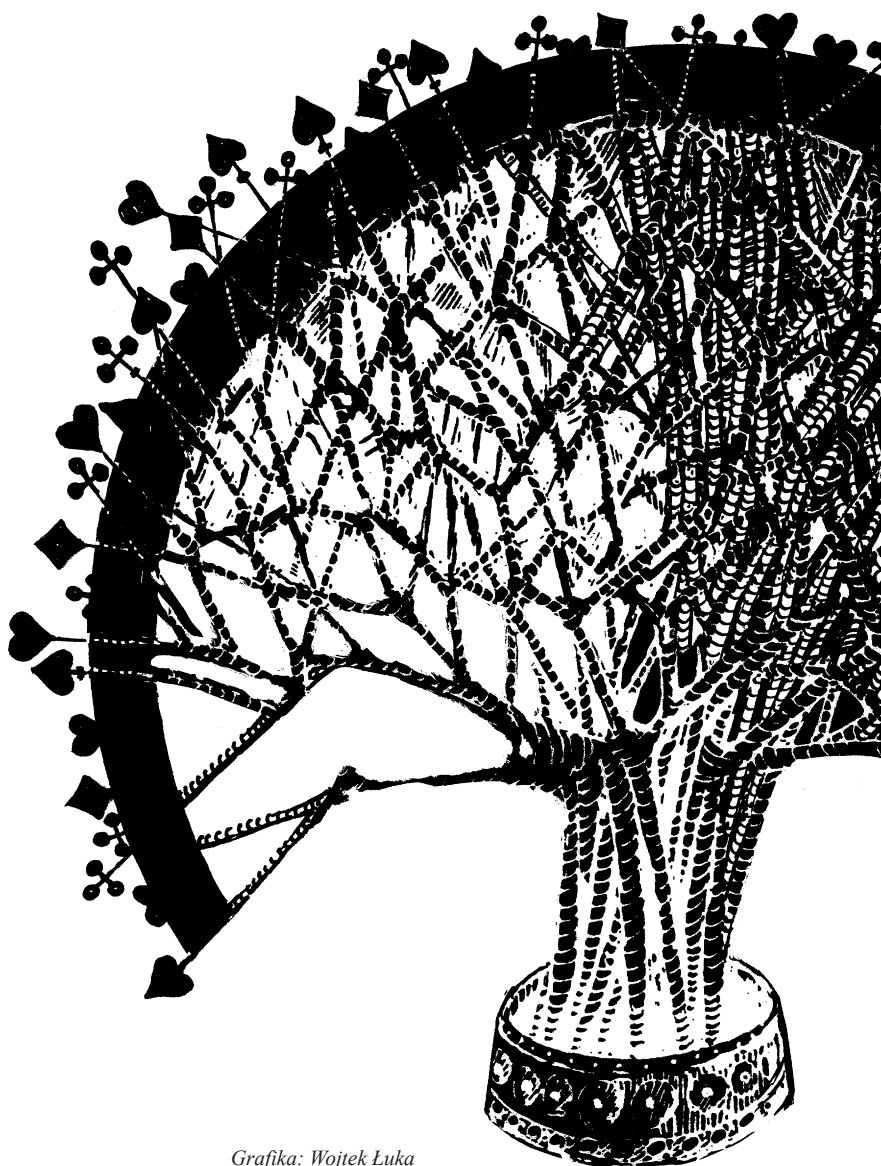
Chciałam Ci ofiarować
swoją maleńki świat
tymczasem się czuję jak
zamknięty w klatce ptak
choć przejeździłam tyle dróg
choć tyle leśnych ścieżek
zarosło mchem
ja żegnam się z życiem
swobodnie
jakby jutro miał nastąpić
następny dzień
uśmiech się kończy
ściska się świat
ja znikam
Ty zostałeś sam

SPOJRZENIE

spojrzeć w twe siwe oczy
dotknąć twych białych włosów
poczuć dotyk twojej ręki
spokojnie mogę odejść
złap chwilę szczęście
miłość ukłona nam składa
do stóp rzuca nam wiosnę
List miłosny wiosna nam układa
zakwitły kwiaty na mej drodze
zniszczy je zima
która się jeszcze nie skończyła

PUCH

Kiedyś powrócę – inaczej
Lepsza albo gorsza będę
Albo wcale nie zdążę wrócić
Zatrzymam się w czasie
Poczekaj
Wyślę Tobie pustą kopertę
myśli biegną – list
pustka
śmiesz się zwyczajnie
Widzę Twe roześmiane oczy
Lekko jak puch zmrużone
I serce, serce moje na dłoni
Rozpadnięte na tysiące
drobnych cząsteczek
Odmień to Życie
Wracaj – tęsknię
Noc za mną płacze
Ty czekasz



Grafika: Wojtek Łuka

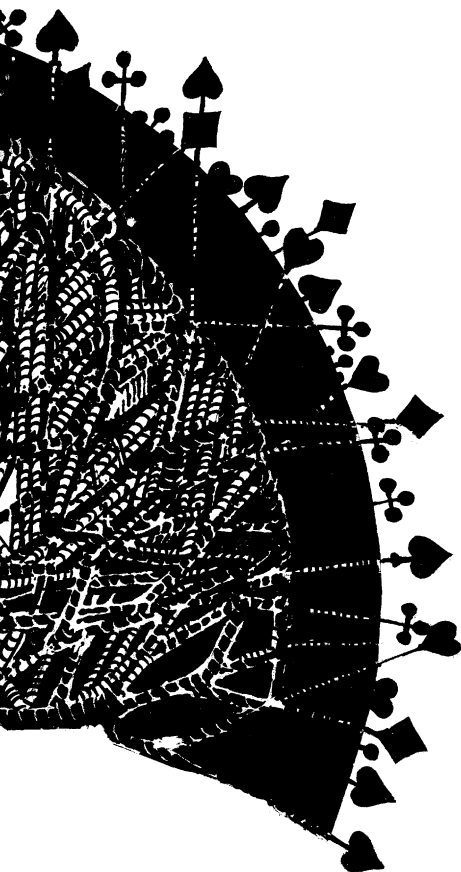
* * *

Nadchodzi wiatr
Rzuca liście z drzew
Dokąd je rzuci
Gdzie powieje
Inne burze świata
Może leśne drogi
I ścieżek Taborów odnajdą ślad
Popędzą liście w daleki świat
Jak kiedyś pędzili konie
Świeci cygański czas
Gdzie jest to życie
Gdzie słońca blask
Który ogrzewał nam stopy
Szczęśliwa byłam
Obok miałam las
Każdy kwiat uśmiechał się do mnie
Drzewa ukłony oddawały nam
Wieczorem wśród gwiazd
Wysoko do nieba ognisk bił blask
Iskry przybierały kształt gwiazd
Ogrzewały nocą las
Jakże pięknie wtedy pachniał czas
Ścieżki i pola zroszone
Ścieżka gwiazd
Która prowadziła do nieba bram nas.

Szpital Godula, 8.12.1993

PRĄD

A kiedy z wiatrem
szłam pod prąd
Zrozumiałam, że ten sen to błąd
Że rzeka i las
to przyjaciel mój i brat
Choć minie wiele lat
Będę miała domek z kart
Z kartą przyjedziesz Ty
z kartami przyjdzie las
Czekałam na Ciebie tyle lat
Król czy dama to mój brat
Walec pik to jest mój swat
Lesie ślub nam dzisiaj daj.



Miri rani kamaw tut

(romskie impresje)

TYTUS KAMIL ROLSKI

Z kulturą i obyczajowością Romów spotykałem się wielokrotnie. Po części z racji sąsiedztwa w miejscu zamieszkania, po części z powodu pracy w placówkach oświatowych Zabrza i Rudy Śląskiej. Jednak najdawniejsze wspomnienie dotyczące Romów łączy się z osobą romskiego chłopca o imieniu Gienek, z którym w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego stulecia chodziłem do Szkoły Podstawowej nr 43 im. Leona Kruczkowskiego w Zabrzu, mieszczącej się przy ulicy Buchenwaldczyków. Osoby z Zabrza zaraz pokiwają głowami ze zrozumieniem: no, tak Buchenwaldczyków, Sienkiewiczza czy Opolska to romskie rewiry. Nic bardziej błędnego. W 1979 r. na tych ulicach nie widziało się Romów, bo ich wówczas zwyczajnie w Zabrzu nie było zbyt wielu. Fale znaczącej migracji przyjdą na początku lat dziewięćdziesiątych, wywołane upadkiem władzy Ceaușescu w 1989 r.

Gienek, który doszedł do naszej klasy, był od nas starszy, bardzo zdolny, lecz – jak to się dzisiaj mówi – niedostosowany społecznie. Generalnie rzecz ujmując, sprawiał problem. A to komuś przylała, a to z racji solidnej budowy ciała i starszego wieku wykorzystywany był do egzekwowania „naleźności”, bądź wszelakich haraczy u młodzieńców z niższych klas. Uderzyło mnie, że mimo swej niesforności i odmienności z nauką, jeśli się nią zajął (czytaj: zainteresował), nie miał większych problemów. Najbardziej jednak zapamiętałem

stosunku młodzieży romskiej do wielu spraw: wydawali się być zanurzeni w tymczasowości, z tym, co obecne, nie wiązali większych nadziei, ich los był przeważnie naznaczony takim bagażem ciężkich doświadczeń, że wystarczyłoby na kilka innych osób. Musieli sobie jednak radzić z często niewyobrażalnie przeludnionych domach, bez kąta do nauki, czasami nawet bez własnego łóżka.

Moi romscy uczniowie z Zabrza i ich rodziny, których uczyłem języka angielskiego i których spotykałem na zajęciach w szkolnej świetlicy, często toczyli heroiczną walkę o przetrwanie, w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Jednak to nie brak drugiego śniadania doskwierał im najdotkliwiej, lecz o wiele częściej brak akceptacji wśród reszty społeczności szkolnej. Ich odmienność, podkreślana przez „jaśniejszych” uczniów na każdym kroku, przy każdej okazji, przypomnienie o ciemniejszej karnacji i często artykułowane podziały: my, Polacy i wy – Romowie, rodziły konflikty i zatargi.

Wielokrotnie można usłyszeć o tym, że nieufni Romowie nie chcieli obcych, których nazywają *gadzio* (‘nie-Rom’), uczyć swego języka, zaznajamiać ze swoją kulturą. Widocznie wzbudziłem więc ich sympatię i swoją postawą, zawsze fair, zawsze piętnującą szkodliwe stereotypy, sprawiłem, że dali mi szansę poznać nieco języka romskiego (ze szczepu Bergitka, bo tych uczyłem),

To nie brak drugiego śniadania doskwierał im najdotkliwiej, lecz o wiele częściej brak akceptacji wśród reszty społeczności szkolnej. Ich odmienność, podkreślana przez „jaśniejszych” uczniów na każdym kroku, przy każdej okazji, przypomnienie o ciemniejszej karnacji i często artykułowane podziały: my, Polacy i wy – Romowie, rodziły konflikty i zatargi.

jego odpowiedź udzieloną na początku wiosny wychowawczyni zatroskanej o tak częste wagarowanie Gienka. Bez namysłu wypalił, że tak cudownie jest wiosną na dworze, jest tyle zieleni, tyle się dzieje, że żal mu siedzieć w szkole i marnować czas na naukę. Nie pojawił się już więcej na lekcjach do końca roku szkolnego i musiał potwarzać klasę, zresztą kolejny raz.

To wtedy pewnie odezwała się w nim cygańska dusza, zamiłowanie do swobody i marzenie o wędrowce. W późniejszych latach często doświadczałem podobnego

a także wniknąć choć odrobinę w zakamarki cygańskiej duszy i tradycji. Częstokroć dla Polaków i innych narodów dziwny wydaje się swoisty kodeks, zbiór tradycji romskich zwany *romanipen*. Zasady dotyczące wszystkich członków społeczności romskiej, ich wzajemnych relacji, zakazy, nakazy i sankcja „nieczystości”, swoistego wykluczenia w przypadku złamania norm uświęconych tradycją – to wszystko może brzmieć bardzo odległe, nie jest już jednak tak restrykcyjnie stosowane przez wszystkie romskie rodziny.

Procesy asymilacyjne następują, może nie tak szybko, jak chcieliby niektórzy, zwłaszcza ci, którym zależy, by cygańskość oznaczała ledwie zamiłowanie do tańca, śpiewu i urokliwych strojów, ale chyba Romom uda się ocalić dziedzictwo pokoleń wyrastających w taborach przemieszczających się z miejsca na miejsce. Gołym okiem widać jednak, że coraz więcej młodzieży romskiej, jeśli się im zapewni w miarę normalne warunki, zachęci do samodoskonalenia i stawiania sobie wyzwań, jest w stanie ukończyć szkoły, kształcić się dalej, zdobyć zawód i podjąć pracę. Na własne oczy widziałem podobne metamorfozy: iluż to moich uczniów miało babcie i dziadków analfabetów, a sami dziś pokończyli szkoły, realizują swe pasje, myślą o założeniu zespołów muzycznych czy osiągnięciu wysokiego poziomu w jakiejś dziedzinie, która może im zapewnić godne, a na pewno godniejsze życie od tego, które wiedli ich bliscy.

Mnóstwo osób w polskiej edycji programu „Mam talent” trzymało kciuki za wspaniałe tańczącego Santiaga Gila, brata mej uczennicy. W brawurowym występie podbił serca nie tylko pani Foremniak z jury, ale milionów widzów przed telewizorami. Jego siostra Ewelina Gil zdobywała trofea w konkursach i festiwalach muzycznych, a jej głębokiego, wibrującego głosu po prostu się nie zapomina. Myślę, że o tym niezwykle utalentowanym rodzeństwie może być głośno w najbliższych latach. W każdym razie mocno ściskam kciuki za rozwój ich kariery.

To tylko kilka przykładów, a jest ich znacznie więcej, ale najbardziej budujące wydaje się to, że młodzi Romowie zachęceni przykładem swych „pionierskich” pobratymców, którzy przetrarli szlak, podążają wciąż nowymi drogami do osiągnięcia coraz to ambitniejszych celów. Ich sukcesy będą cieszyć nie tylko takich jak ja, zaangażowanych emocjonalnie w ich uporczywe stawianie czoła stereotypom, ale powinny także wzbudzić zdrowe i życiwe zainteresowanie wszystkich *gadziów*.

W tomiku będącym pokłosiem trzeciej edycji Konkursu Poezji Romskiej im. Papuszy w Tarnowie w 2015 r. redaktorzy umieścili także mój wiersz zgłoszony do rywalizacji. Jest to moja artystyczna wizja, kwintesencja tego, co gra w duszy wielu mym romskim przyjaciółom:

Miri Rani (moja pani)

Dziewczyna
przy studni
w gorący dzień
ma rozpalone
usta
i smukłe dłonie

Cicho śpiewa
o nocy

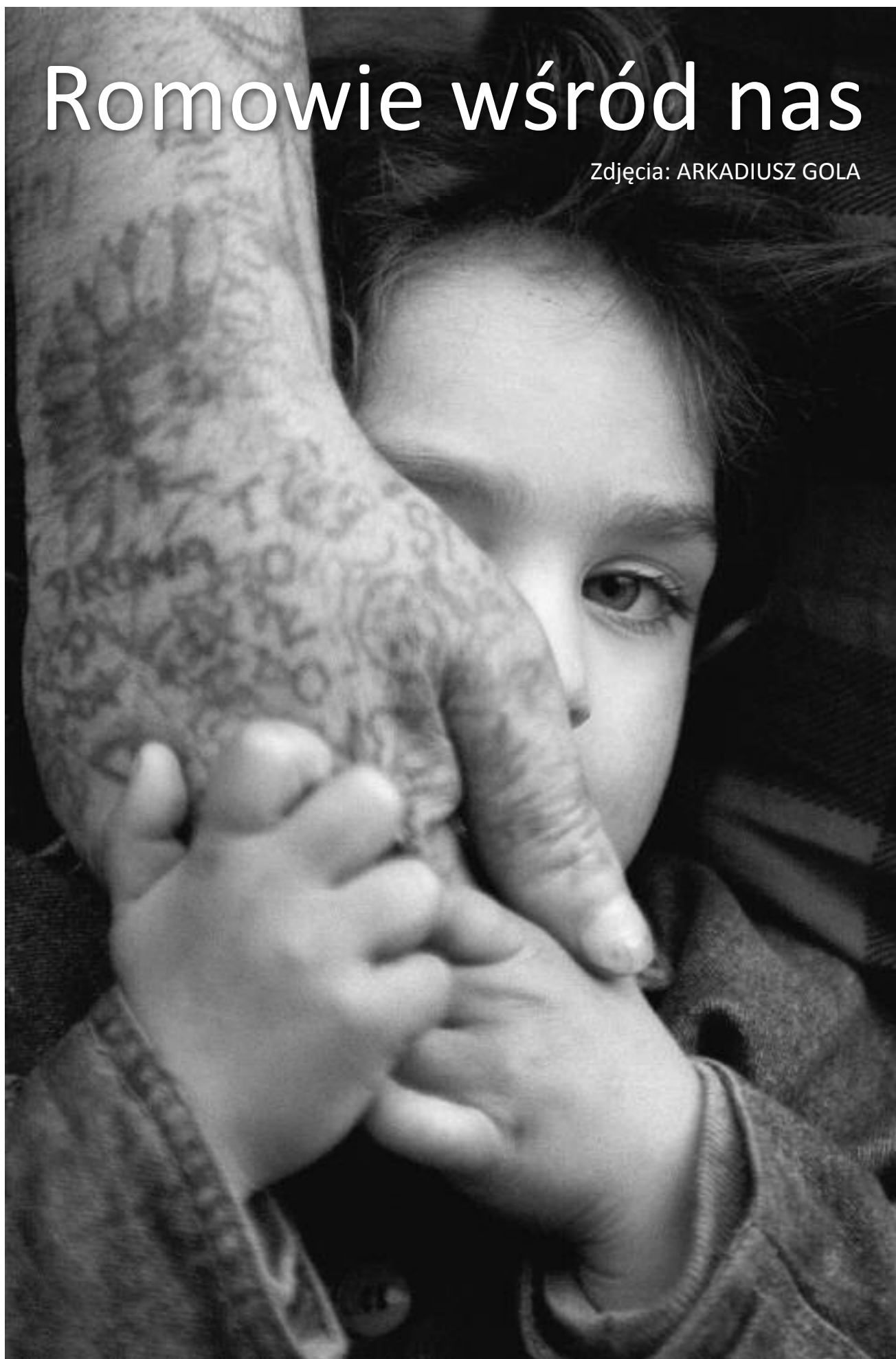
Dotyka kamiennej
cembrowiny
i pieści chłodną wodę

Słońce patrzy na jej
twarz
w lustrze miłości

Dziewczyna
przy studni
czeka w gorący dzień
na następną
noc.

Romowie wśród nas

Zdjęcia: ARKADIUSZ GOLA







Zdjęcia składające się na cykl „Romowie wśród nas” powstają od początku lat 90. XX w. na terenie Zabrze, Rudy Śląskiej, Katowic i Bytomia, czyli w miejscach, gdzie ciągle mieszkają największe skupiska romskich rodzin w śląskiej aglomeracji. Realizując ten cykl chcę pokazać jak najpełniejszy wachlarz ich życia codziennego i zdarzeń, składających się na żywot romskiej rodziny na przełomie wieków.

Główną zaletą tego dokumentu jest jego konsekwentna realizacja od ponad 25 lat. Dzięki temu powstaje niemal kilkupokoleniowa saga opowiadająca o tej hermetycznej społeczności. Cel, jaki od początku mi przyświeca, to bliższe poznanie tej społeczności przez odbiorców moich zdjęć, to łamanie – przy pomocy obrazu – zadawnionych stereotypów, a także społeczna wartość tych obrazów dla następnych pokoleń. Większość z tych zdjęć dotyczy rodziny Kwiek z Rudy Śląskiej – Orzegowa. Te fotografie powstały przede wszystkim dzięki życzliwości Izoldy Kwiek, znanej poetki, założycielki zespołu „Tabor” – można powiedzieć człowieka instytucji w społeczności cygańskiej na Śląsku.



Fot. Agnieszka Gola

ARKADIUSZ GOLA





„Wchodzę w tę rzeczywistość powoli, ale konsekwentnie, a świadomość tego, kim jestem, dojrzewała we mnie przez lata”

Żyd ze Śląska

Największego w Europie cmentarza żydowskiego przy ul. Okopowej w Warszawie strzeże jeden człowiek, Żyd ze Śląska, od najwcześniejszych lat kibic „Ruchu” Chorzów. Jak mówi, praca jego polega na tym, by strzec dziedzictwa i pamięci. Ma pod opieką około 200 tys. nagrobków. To miejsce pochówku rabinów, cadyków, ale też polityków, naukowców i artystów, wybitnych przedstawicieli polskich elit minionych dwóch wieków.

– Jak to się stało, że urodzony na Śląsku, wychowany w Katowicach i Świętochłowicach, studiujący na Uniwersytecie Śląskim (jednakowoż w Sosnowcu) Przemysław Szyszka stał się Przemysławem Isroelem Szpilmanem?

– Urodziłem się na Nikiszowcu w Katowicach. „Nikisz” jest „niebieski” i było to naturalne, że od początku kibicowałem „Ruchowi” Chorzów. Nie zmieniło się to, gdy z tatą i mamą zamieszkaliśmy na katowickiej Koszutce i potem, kiedy ostatecznie przeprowadziłem się do Świętochłowic na Hugoberg [śmiech!].

Ale odpowiadając na Twoje pytanie: gdybym wierzył w przypadki, powiedziałbym, że Szpilmanem stałem się przez przypadek, ale w przypadku nie wierzę. A sprawa wydaje mi się nie aż tak skomplikowana. Do trzynastego roku życia nazywałem się tak jak rodzice – Szyszka. Mama zawsze była Szpilman-Szyszka, od tego czasu każdy

w rodzinie nazywał się inaczej. I to oni zdecydowali, bym zmienił nazwisko na panińskie mamy. Ja na to specjalnie wpływu nie miałem. Dlaczego podjęli taką decyzję? W gruncie rzeczy nie wiem, ale podejrzewam przyczynę. Ród Szyszków miał swoje przedłużenie w innych osobach w rodzinie, natomiast Szpilmanowie na mnie się kończyli. Najpewniej więc byłem jedyną szansą na przedłużenie rodu [śmiech!]. Zniknęło też już wówczas ryzyko, że żydowskie nazwisko mogłoby przysporzyć mi kłopotów. Myślę, że jeżeli rodzice mojego pokolenia ukrywali przed dziećmi przeszłość, korzenie, tradycję, czynili to z obawy, byśmy nie doświadczali ich traum i tego wszystkiego, co kojarzyli z własną młodością, a co znamy z naszej historii. I nie myślę tu o wojnie, wystarczy sięgnąć do doświadczeń roku 1968.

– I to wtedy odkryłeś, że pochodzisz ze Szpilmanów, a więc także swoje żydowskie korzenie?

– Co do Szpilmanów tak, ale co do korzeni, jeszcze nie wtedy. Jakies dwa lata później dowiedziałem się, że mój dziadek stał na czele gminy żydowskiej w Katowicach. No i zacząłem się tym interesować, z wolna zbliżałem się do tradycji przodków ze strony mamy. W Katowicach działała Gmina Wyznaniowa Żydowska. Kontakt z nią otwierał przede mną zupełnie nowe horyzonty.

– A co na to Twoi rodzice?

– Mama właściwie nic nie mówiła, ale myślę, że w gruncie rzeczy była pozytywnie nastawiona do mojej aktywności, której zamysłem było dociec korzeni i źródeł. Natomiast tata, człowiek o głębokiej katolickiej tożsamości, chyba na początku był zaskoczony i pewnie uważał, że to jakaś moja młodzieńcza fanaberia. Z biegiem czasu coraz bardziej się przekonywał do mojego wyboru. Rozumiał, że nie odwracam się od niego i od wartości, ale ku wartościom. Wspierał mnie, a w 2003 roku prowadził

do ślubu i za to będę mu już na zawsze wdzięczny.

– **A jak Przemysław stał się Isroelem?**

– Żydowskie imię nadano mi w roku 1992, podczas obrzezania w USA. Używam go w kontakcie ze społecznością żydowską, w innych sytuacjach pozostaję przy Przemysławie. A dlaczego wybrałem właśnie to imię, nawiązujące od starotestamentalnego Izraela, szczerze powiedziawszy nie wiem [śmiech!]. Podobało mi się? Dobrze brzmiało? Tak czy inaczej nadal mi się podoba, no i niesie z sobą piękną treść. Jakub otrzymał je po walce z aniołem. Stał się wtedy kimś nowym, innym, odrodzonym dla nowej rzeczywistości. Jego nowe imię dało nazwę narodowi, którego częścią jestem i ja. Wiesz, kiedy zrozumiałem, jakie stoi za mną dziedzictwo i jaka odpowiedzialność, pomyślałem, że skoro jestem Żydem, to powinienem nim być w pełni i do końca, na sto procent... W ten sposób wiedziałem już, którędy pójść dalej...

– **Ta historia, w której Jakub staje się Izraelem, to jeden z moich ulubionych fragmentów Pięcioksięgu. Izrael po przeprowadzeniu przez potok Jabok całej rodziny zostaje sam i wtedy spotyka Boga twarzą w twarz... Odkryłeś to w ten sam sposób?**

– Ludzi będących w mojej sytuacji jest więcej. Żydzi polscy z pokolenia, które reprezentuję, z zaciekawieniem odkrywają swoje żydostwo. Właściwie wszyscy przechodzą tę samą drogę. W którymś momencie dowiadują się o swoim pochodzeniu – tak jak było to u mnie. Czasem to odkrycie jest źródłem dylematów i trudności, no bo co tu zrobić z taką nowo odkrytą prawdą o swoim pochodzeniu? Ci ludzie stają

przed wyborem. Ja zdecydowałem się pójść w stronę źródeł, inni pewnie podejmują różne decyzje.

– **No właśnie... Jesteś swoistym paradoksem, bo Żydem z wyboru i z urodzenia... Twój wybór nie był wynikiem impulsu, jednego wydarzenia, to był proces... Musiałeś odbyć pewną drogę...**

– Tak. To nie było jednorazowe oślnienie. To był proces. Na Taglit (wycieczka organizowana przez Jonit Distribution celem zaznajomienia młodych Żydów z Izraelem) pojechałem do Izraela jako osiemnastolatek. Odwiedziłem tam kibuc. Potem była szkoła rabinacka w Stanach Zjednoczonych. Kiedy wróciłem, rodzice stwierdzili, że chyba powinienem pójść w końcu na jakieś studia [śmiech!], więc poszedłem. Wybrałem Kolegium Języka Biznesu Uniwersytetu Śląskiego, gdzie studiowałem w latach 1993-1996. Po paru latach działalności w biznesie, w 2001 roku znalazłem się w Warszawie. Potem była Jesziwa... Jak widzisz, wchodziłem w tę rzeczywistość powoli, ale konsekwentnie, a świadomość tego, kim jestem, dojrzywała we mnie przez lata. Teraz już wiem, że chcę pozostać na tej drodze. Żydowskie święta lubię obchodzić z moimi chasydzkimi przyjaciółmi w Nowym Jorku, gdzie głęboko czuję związek z kulturą i religią żydowską. To moje miejsce.

– **To, co mówisz, uswiadamia mi, że nie ma w Tobie nic neofickiego. Neofita raczej doznaje „oślnienia”, a potem najczęściej radykalnie odcina się od przeszłości.**

– Dla mnie moja przeszłość jest i pozostanie częścią mnie. Ci, którzy byli moimi przyjaciółmi w młodości, nadal nimi są, a chrześcijańska rodzina nadal pozostaje rodziną. Śląsk jest moim

światem, a „Ruch” Chorzów moim klubem... I cieszę się, że nie spotkałem się z odrzuceniem w środowisku, z którego wyszedłem, a zmianę z pewnością każdy zauważył. Kiedyś miałem długie włosy, a teraz mam długą brodę, kiedyś w ręce trzymałem gitarę, a teraz na głowie noszę jarmułkę, choć na gitarze wciąż gram w zespole.

– **W jakim zespole?**

– Wraz z chłopakami z gminy gramy sobie *covery* różnych grup z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Beatelsi, Stonesi, Dire Straits... a także Dżem (ten stary z Ryśkiem Riedlem).

– **Rozumiem, że takiej też muzyki słuchasz...**

– Tak... Słucham najchętniej staroci typu Dżem, The Doors, Iron Maiden, King Diamond, Marcyful Fate.. Stary dobry rock, ale i innej muzyki, tej, która bez względu na gatunek mi się podoba...

– **Jak oceniasz kondycję polskiego społeczeństwa w powszechnie rozpatrywanej dziś kwestii tolerancji, otwartości na Innego...**

– Wiem, co masz na myśli... Lęk związany z masowymi migracjami jest moim zdaniem zrozumiały i nie dziwi mnie, że się pojawia. Zawsze jednak wierzyłem, że my Polacy zrobiliśmy w ostatnich dekadach ogromny postęp w kwestiach tolerancji i współistnienia z innymi. Widzę, jak rośnie zainteresowanie kulturą żydowską, w naturalny sposób rozwija się i pogłębia dialog. Z drugiej strony coraz częściej dają o sobie znać postawy ksenofobiczne, organizuje się marsze nacjonalistyczne, ale mimo wszystko głęboko wierzę, że są to marginalia. Ja nie doświadczałem tych złych postaw osobiście. Ludzie z mojego otoczenia zarów-



Isroel Szpilaman i Estera wzięli ślub w Dynowie, w 2014 roku. Ceremonię prowadził Naczelny Rabin Polski Michael Schudrich (z lewej)



Kiedyś miałem długie włosy, a teraz mam długą brodę, kiedyś w ręce trzymałem gitarę, a teraz na głowie noszę jarmulkę, choć na gitarze wciąż gram w zespole

no tego dawnego, jak i obecnego, ze zrozumieniem podchodzą do moich wyborów. Przynajmniej tak to widzę.

– A nie odnosisz wrażenia, że gdy Polskę odwiedzają Żydzi z Izraela i ograniczają program wizyt jedynie do miejsc związanych z kulturą żydowską, to zamykają się na polską rzeczywistość, bo gactwo kulturowe? Wszak mogliby też zobaczyć jego wielkie wartości...

– Dotykasz ciekawej kwestii. Pewnie, że tak. Powiem więcej – program tych wizyt jest narzucany z góry i nie obejmuje nawet współczesnego życia wspólnot żydowskich w Polsce. Młodzi Żydzi przyjeżdżają i zwiedzają Polskę według ściślejszych dyrektyw. W ten sposób mają wybiórczy obraz polskiej rzeczywistości, widząc głównie – żeby nie powiedzieć wyłącznie – martyrologię i dawną wielkość, która została zniszczona. Przyznasz, że po takiej wizycie ich związek z Izraelem jeszcze bardziej się pogłębia. Bo tam jest wszystko, czego tu nigdy już nie będzie i co w dramatycznych okolicznościach zniszczono.

– To chyba nie buduje dialogu?

– Nie buduje.

– Twój dziadek ze strony matki przewodził żydowskiej gminie w Katowicach, a pradziadek ze strony taty był powstańcem śląskim. Interesujący spłot...

– Myślę, że to takie bardzo śląskie. W wielu miejscach Polski ludzie nie rozumieją śląskiej rzeczywistości, tej kulturowej polifonii. Ze mnie zawsze trochę dowcipkują w warszawskiej gminie, że jestem tym „Żydem ze Śląska”. Nawet w Nowym Jorku mi to żartobliwie wypominają. Stanowią ciekawostkę. W Warszawie należę wszak do zdecydowanej mniejszości (wręcz pojedynczy jestem), a do tego sam wiesz, że nie jest mocną stroną Warszawy wiedza o Śląsku [śmiech!].

– Naprawdę byłem zdziwiony, gdy zobaczyłem na twoim facebooku śląskie barwy, napis Górny Śląsk i „naród śląski”. To Twoja deklaracja?

– Tak. W dużym stopniu tak, ale nie polityczna. Chodziło mi raczej o to, by zamianifestować swoją śląskość. Tu, gdzie żyję i pracuję – w Warszawie – często mówi się, że Ślązacy chcą się oderwać od Polski i przyłączyć do Niemiec. Przecież to bzdura. Jak wspominałem jestem też potomkiem powstańca śląskiego i wiem, o jaki Śląsk walczył

– O jaki?

– Polski i po swojemu odrębny, tzn. dbały o swoją kulturę i tożsamość, ale z Polską złączony: narodowościowo i kulturowo po części też polski, niemiecki, czeski... żydowski... Otwarty i wielojęzyczny, ale i wyrazisty, istniejący w granicach Polski.

– Słyszałem opinię, że w Berlinie nie są gromadzone źródła dotyczące Żydów z części Śląska przed wojną przynależącej do Polski, bo są domeną Polaków, ale z kolei w Warszawie kwestie żydowskie z terenów Śląska traktowane są jako należące do kompetencji historyków i archiwistów niemieckich. No i mamy pat...

– To bardzo możliwe i rzekłbym typowe dla spraw śląskich w naszych czasach.

– Jesteś spokrewniony z urodzonym tuż za śląską miedzą – w Sosnowcu – Władysławem Szpilmanem. Jaki to stopień pokrewieństwa? Czy mama utrzymywała kontakty ze sławnym pianistą? Większość jego rodziny w czasie wojny zginęła.

– Władysław Szpilman zmarł w 2000 r. i nie miałem okazji nigdy go poznać. Zresztą nie byłoby to łatwe. Mój dziadek, Leon Szpilman, twierdził że byli z Władysławem Szpilmanem kuzynami, ale o ile mi wiadomo, nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Rzadko też w domu mojego dziadka padało imię Władysława. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego i pewnie tak już zostanie.

– Jak do tego doszło, że zostałeś opiekunem cmentarza przy Okopowej, jednej z najważniejszych na świecie nekropolii żydowskich?

– To było w roku 2001. Zaproponowano mi tę pracę chyba dlatego, że działałem wcześniej w chewra kadisza, czyli bractwie pogrzebowym. To były święta Paschy, a zmarł wtedy zasłużony członek synagogi i bardzo religijny człowiek, chciano mu zapewnić pełny żydowski pochówek, zgodziłem się, by uczestniczyć w tych obrzędach.

– Co należy do Twoich obowiązków jako strażnika pamięci?

– Przede wszystkim ratowanie dziedzictwa kultury Żydów, pielęgnowanie pamięci, także zwyczajne zapobieganie kradzieżom, płyty z piaskowca po zdrapaniu napisów spokojnie służyć mogą za nowy nagrobek. W praktyce praca, a to żmudna inwentaryzacja, ciągłe poszukiwanie i spisywanie. Groby są mocno zarośnięte gęstwiną, czego nie zmieniamy, bo zgodnie bowiem z religią żydowską nie rusza się ziemi, w której znajdują się szczątki ludzkie. Chodzę z aparatem, fotografuję, spisuję. Mój poprzednik, po konflikcie z gminą, całą swoją pracę zabrał ze sobą i wyjechał. Zaczynałem więc właściwie od początku...

– Wracasz czasem na Śląsk?

– Zawsze chętnie, ale coraz rzadziej. Po śmierci taty, zabrałem mamę do siebie, do Warszawy.

– To też już rzadko pewnie oglądasz mecze „Ruchu”?

– Ale nadal mam kartę „Ruchu”. Na mecz „Legii” – co pewnie rozumiesz – to bym nie poszedł. Mam z pierwszego małżeństwa córkę bliźniaczkę. Niestety jedną mi „popsuto” [śmiech!], no i kibicuje „Legii” (po mamie), ale druga jest za „Ruchem”. Jak jeszcze moja mama mieszkała w Świętochłowicach i pojechałem tam z Dworką, poszliśmy na mecz („Ruch” wtedy zremisował z „Podbeskidziem” 1:1). Dworka świetnie się bawiła w sektorze rodzinnym i z dumą nosiła szalik „Ruchu”.

– Na youtube można zobaczyć blisko sześciominutowy filmik z Twojego ślubu z Ester... Ceremonię prowadził Naczelny Rabin Polski Michael Schudrich, a wszystko we wspaniałej ortodoksyjnej obrzędowości. No i wasza zabawa weselna... prawdziwa eksplozja szczęścia i entuzjazmu...

– Tak, to uroczystość, która miała miejsce 21 grudnia 2014 r. w Centrum Historii Polskich Żydów w podkarpackim (dawniej galicyjskim) Dynowie. To miejscowość o pięknej historii i tradycji żydowskiej w naszym kraju, ale także miejsce zagłady społeczności żydowskiej dokonanej z rąk Niemców hitlerowskich we wrześniu 1939 r. Tak, jak Ci mówiłem, wszystko, co dotyczy mojej wspólnoty, mojej żydowskiej, polskiej i śląskiej tożsamości zawsze jest na sto procent... ■

Zdjęcia prezentujemy za zgodą ich autora oraz Przemysława Israela Szpilmana.



Cafe Jerozolima mieści się przy najbardziej żydowskiej ulicy Będzina – Modrzejowskiej

Do zobaczenia w „Cafe Jerozolima”!

WIESŁAWA KONOPELSKA

**Ulica Modrzejowska
– jak powiadają,
niegdyś
najbardziej żydowska
w całym w Będzinie,
choć przed wojną,
nazywane było
„Jerozolimą Zagłębia”,
bo zamieszkiwała je
niezwykle liczna
społeczność żydowska.**

Dzisiaj czas miniony przypomina miejsce szczególne: powstała zaledwie rok temu kawiarnia pod nazwą „Cafe Jerozolima”. Do jej wnętrza prowadzi wejście z ulicy Modrzejowskiej właśnie. Kamienica – taka sobie, szara, niczym szczególnie się nie wyróżniająca, tylko w zmatowionych witrynach wypaskowano siedmioramienne menory i umocowano napis nad drzwiami – nic więcej. Prosta, bez zdobień bryła kamienicy, jakich wiele w tym zakątku miasta. Na przeciw niej stoi opustoszała pokazna kamienica z czerwonej cegły. W znajdujące się na parterze puste okna wstawiono zdjęcia Rutki Laskier – dziewczynki, którą pochłonął Holo-

caust. Zostawiła po sobie pamiętnik. Ale to zupełnie odrębna historia, którą przed kilku laty żył Będzin, całe Zagłębie i niegdysiejsi mieszkańcy Będzina, od lat będący obywatelami Izraela.

Stworzyć miejsce wyjątkowe

„Cafe Jerozolima” zaledwie w ciągu roku stała się miejscem szczególnym, magicznym, w którym czas z jednej strony zatrzymał się, a z drugiej biegnie nowym torem – współczesnego życia tych, którzy cenią ten, jakże istotny, fragment historii tego miasta oraz tych, którzy zjeżdżają tu spe-



Adam Szydłowski: – Chciałem stworzyć miejsce magiczne, miejsce powrotów, spotkań, bez Holocaustu, ale z historią w tle.

cialnie, by pobyć, odetchnąć przeszłością i pozostawić swój ślad – ślad nowego, trzeciego pokolenia w mieście swych ojców i dziadków.

Na pomysł utworzenia swoistego „domu przeszłości i dnia dzisiejszego” wpadł Adam Szydłowski, od lat zabiegający o zachowanie pamięci o społeczności żydowskiej w Będzinie.

Siedzimy przy niewielkim, okrągłym stoliku, jakich niegdyś było wiele w prywatnych domach, otoczeni licznymi sprzętami – szafami, kredensami, krzesłami, naczyniami kuchennymi i takimi wprost z niekoniecznie zamożnego salonu., zdjęciami, świecami w lampionach, makatkami, figurkami, drobiazgami osobistymi, nad którymi góruje fragment autentycznej Tory oprawionej w ramach jak najcenniejszy obraz, a ze zdjęć spoglądają na nas przeróżne oso-

by, a każda z nich zapewne potrafiłaby opowiedzieć przejmującą swoją historię. Są też złote hebrajskie litery układające się w niemożliwe dla mnie do rozszyfrowania teksty. Siedzimy wśród zapachu różnych kaw i ciast... Cóż to za miejsce?

Zabrakło, niestety, kawy z izraelskim kardamonem. – Niedługo polecę do Izraela – mówi Szydłowski – to znów przywiozę... Jak tu ludzie wchodzi, to od progu mówią, że nie spodziewali się, że tu jest zupełnie inny świat, i nie chcą stąd wychodzić – zaczyna opowieść właściciel „Cafe Jeruzolima”.

I, jak się szybko okazuje, niezwykłość nie polega na *specialité de la maison* w stylu żydowskim, lecz na autentyzmie. – Chciałem stworzyć miejsce, w którym spotykają się trzy pokolenia – pierwsze sprzed czasu wojny,

drugie – to ich potomkowie i trzecie – najmłodszy, którzy wyruszają w poszukiwaniu swoich korzeni. To miejsce po części żydowskie i polskie. Bo jeśli mówimy o Żydach, to trzeba pamiętać, że to byli Polacy – dodaje.

Nieprzypadkowo zostało wybrane miejsce na kawiarnię – to kamienica Lemelów, która i przed wojną, i po niej, należała do tej rodziny. To była znacząca rodzina dla Będzina – kamienicznicy, właściciele nieruchomości i sklepu z nabiałem – dziś tę przestrzeń zajmuje „Cafe Jeruzolima”. Zresztą u wejścia widnieje stara fotografia przedwojennego sklepu Lemelów. No i ulica Modrzewska – najbardziej żydowska w Będzinie. – Dlatego mój wybór był oczywisty – dopowiada Szydłowski. Nazwę kawiarni zasugerował Beni Lemel, bo sam mieszka w Jeruzolimie., walczył o nią będąc już na emigracji, dlatego to bliskie mu miejsce. No i oczywiście Będzin – Jeruzolima Zagłębia! Więc to miejsce żyje!

Wnętrze kawiarni wypełniają fotografie – też nieprzypadkowe, zakupione na bazarze czy w antykwaracie – to postaci znane, mające swoje imiona i nazwiska, często podarowane przez najbliższą rodzinę, by powróciły do najdroższego im miejsca na ziemi. To symboliczne powroty. Wśród portretów i zdjęć rodzinnych są twarze tych, którzy mieszkali w tym domu, albo w pobliżu. Zdjęcia przywołują dzieci lub wnukiowie – niech w taki sposób powrócą do domu, bo inaczej nie mogli.

– Goście, którzy tu zaglądają podpowiadają: zrób pierożki, takie jak robiła moja babcia... Przyjeżdżają z całej Europy i całego świata – nie specjalnie do „Cafe Jeruzolima”, chociaż już wielu wie o tym miejscu. – kontynuują swoją opowieść Szydłowski. Wybierają się w objazd po Zagłębiu i trafiają do Będzina oraz do okolicznych miast: Czestochowa i Sosnowca. Ale Będzin przyciąga nadzwyczajnie. Są Żydami, znają historię rodzinne i pragną poznać swoją przeszłość, zrozumieć ją. Nie muszą pochodzić stąd, ale z Ukrainy, Białorusi, Serbii, Argentyny. W Będzinie odnajdują swoją tożsamość, zapach i atmosferę domu – znanego już coraz częściej wyłącznie z opowieści i starych zdjęć, strzeżonych często jak najcenniejsze relikwie.

Ta prawdziwa Jeruzolima to miejsce wielu kultur, miejsce magiczne. Ta będzińska, polska, chce być tylko jej mikrocząsteczką, ale równie ważną.

– Nie przemawia przez mnie pycha, ale to odrobinę taki krakowski Kazimierz, tylko w mikroskali. Ale spotkałem takich, którzy powiedzieli mi, że tu jest autentycznie. O to mi chodziło...

Tu nie ma wojny

Przez dziesiątki lat Żydom przyjazd do Zagłębia, kojarzył się głównie z odwiedzaniem miejsc pochówku – kir-



Fragment wystroju – część kuchenna

kutami w Będzinie czy Czeladzi, spotkaniami pod obeliskami i odmawianiem kadiszu za zmarłych, z odwiedzinami w Auschwitz i Marszami Żywych. Będzińska „Cafe Jerozolima” stała się jedynym miejscem na mapie tych powrotów, gdzie rozmawia się o dniu dzisiejszym, gdzie się wspomina historie rodzinne, radosne, opowiada o dniu dzisiejszym, gdzie słychać śmiech dzieci i nawoływanie ich matek i ojców, gdzie przesiaduje się przy stoliku, albo wpada na chwilę, by odetchnąć tym niezwykłym klimatem, zostawić ślad w prowadzonej przez właściciela kronice, zrobić zdjęcie – i zostawić, na pamiątkę.

– Świadomie wprowadziłem cezurę czasową w tym wnętrzu – to 39 rok. Nie ma tu czasu wojny i okrucieństwa, jakie dotknęło będzińskich i zagłębiowskich Żydów. Miejsce Holocaustu jest dużo – nawet w pobliżu są obeliski i pomniki upamiętniające dziejące się wtedy zło. Tu mamy się radować ze spotkania, Cieszyć się sobą, rozmawiać i podtrzymywać rozmaite kontakty. Ostatnim akcentem z 1939 roku jest obwieszczenie o meczu piłki nożnej rozgrywanym w sierpniu pomiędzy drużyną żydowską a Czarnymi Sosnowiec.

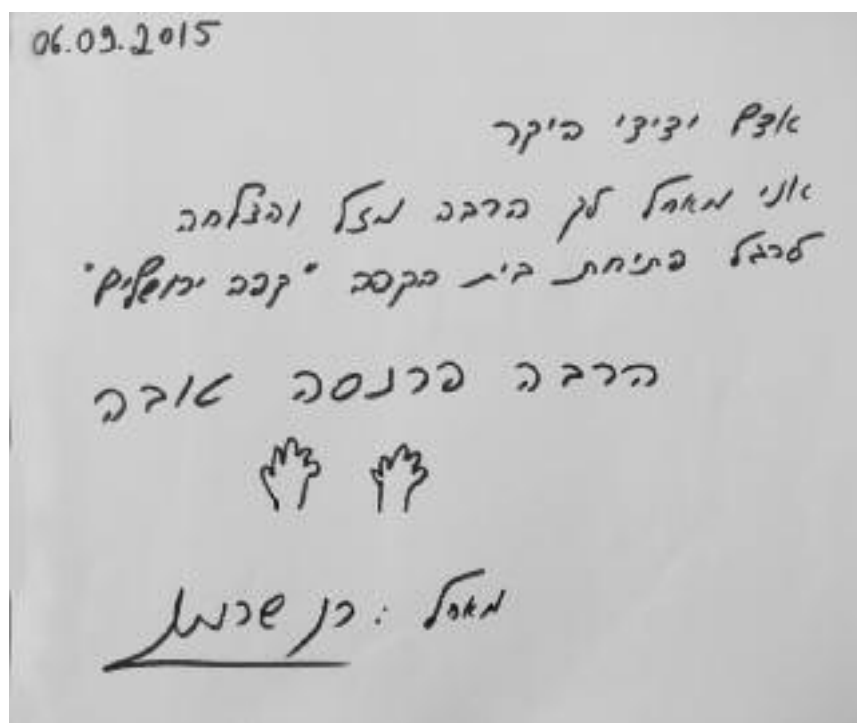
„Cafe Jerozolima” dla Adama Szydłowskiego to tylko przystanek w jego wieloletnich działaniach. – Kolejnym krokiem było utworzenie Fundacji Rutki Laskier, której głównym zadaniem będzie powołanie muzeum jej poświęcone, a co za tym idzie Muzeum Żydów Będzina, bo temu miasto się to należy. Dziś najwięcej judaików zgromadzonych jest w „Cafe Jerozolima”. I jeszcze na tym nie koniec. Chcę powołać teatr żydowski. Na początek może być amatorski – zdradza swoje plany Szydłowski.

Pamięć

Czy w Będzinie mieszkają jeszcze Żydzi? – Niewielu, zaledwie kilka rodzin. Oczywiście, często pod zmienionymi nazwiskami – bo taki był żydowski los.

Na upamiętnianie społeczności żydowskiej Adam Szydłowski poświęcił już wiele lat – z różnym skutkiem, ale nie zrezygnował. Dlaczego? – Moje zainteresowanie tą społecznością zawdzięczam babci, która mieszkała na Środuli – dziś dzielnicy Sosnowca, skąd była eksmitowana, bo w tym miejscu Niemcy założyli getto. Wychowywałem się na tzw. Starej Środuli. O Żydach mówiono w domu, wszędzie, bo tam żyli.

Od zawsze wiedział, że musi coś zrobić, by zachować pamięć o będzińskich Żydach – bo tu zamieszkał. W wiele przedsięwzięć udało mu się wciągnąć władze miasta. I tak m.in. powstał pomnik na Placu Bohaterów, odrestaurowano bramę cmentarną na Wzgórzu Zamkowym, ufundowano tablicę pamięci. Potem przyszedł czas na pokazanie historii – rekonstrukcje zdarzeń, organizowane są Dni Kultury Żydowskiej. Naj-



Jeden z wpisów do książki pamiątkowej

głośniej było o odnalezionych trzech domach modlitwy – na ulicy Potockiego, w Bramie Cukermana i na ulicy Modrzejowskiej. Jest jeszcze na ulicy Kołłątaja, ale bardzo zniszczony. Według wspomnień Menachema Liwera (Liora), będzinianina, którzy przewodniczy Światowemu Związki Żydów Zagłębia Dąbrowskiego, mającego swą siedzibę w Tel Avivie, takich domów było dziesięć. Odzyskiwanie ich nie jest łatwe – dodaje Adam Szydłowski, bo to najczęściej są dawno zagospodarowane czyjeś piwnice, komórki, których nie bardzo się chcą pozbywać dzisiejsi właściciele. A że tam były domy modlitwy?... Jest czasem strach, że przyjadą, zabiorą, albo będą przyjeżdżać jakieś tłumy ludzi, a każdy chce żyć spokojnie. Czasem się udaje, no i jest satysfakcja, że to w „mojej” piwnicy odkryto takie niezwykłe miejsce. Nie znam drugiego miasta, w którym byłyby trzy domy modlitwy – wyznaje Szydłowski. Czy marzy o szlaku kultury żydowskiej w Zagłębiu? – Oczywiście, bo zostało jeszcze trochę do odkrycia, i to nie tylko judaica będzińska ale w okolicznych miastach.

Pytam mojego rozmówcę, czy zna hebrajski? – Mówiony po części – śmieje się. – W „Cafe Jerozolima” można się nauczyć, bo prowadzimy kursy zarówno hebrajskiego biblijnego, jak też mówionego. Można tu też posłuchać muzyki klezmerów, czy wziąć udział w różnorodnych spotkaniach, nie zawsze związanych z kulturą żydowską. To jest żywe miejsce.

Jedna ze ścian „Cafe Jerozolima” poświęcona jest pamięci rodziny Lemel, ale swoje miejsce mają tu córka Wygodzkiego, zdjęcia rodziny Kiwkowicz, Rutka, rodzina Werner i Herszkiewicz, i wielu

innych – oprowadza mnie po swojej „Jerozolimie”. – O, tu wisi zdjęcie znalezione w getcie w domu Rutki – stamtąd też pochodzi radio – wskazuje kolejne fotografie i sprzęty. – Są fragmenty posadzeki i zdobione gzymsy z pieca kaflowego, z komórek na Modrzejowskiej, drobiazgi domowe, cenne pudełka po gwoździach, ogłoszenia, zdjęcia z odręcznie napisanymi notkami biograficznymi i dedykacjami. A w ogóle – jedna z sal jest nakierowana na mizrach – czyli wschód, stąd obrazy Kotela. Nad drzwiami wiszą zdjęcia córki będzińskiego fabrykanta, właściciela fabryki lin i powrozów, który żyje w Izraelu. A tu rachunki będzińskich kupców ze składu metali. W drugiej części – butelki po piwie produkowanym w browarze przedwojennym, papierosnica z getta z gwiazdą Dawida. Część eksponatów kiedyś wyjechała z Będzina – a po latach wróciła. Jest też opaska na rękę – „zagrała” w „Liście Schindlera” Spielberga – przyniosła ją pani, która była tam statystką. Wszelobecne stare reklamy, napisy, kafle z pieców – pięknie zdobione w symbolikę religii żydowskiej, tabliczki, krzesła – z żydowskiej fabryki mebli giętych, maszyna do szycia, wyciskarki do owoców – w Izraelu to obowiązkowe wyposażenie kuchni do dzisiaj, zrekonstruowany napis ze spalonej będzińskiej synagogi – teraz jest u nas, zapisany złotymi zgłoskami –

Adam Szydłowski judaica zbiera prawie od 30 lat. Są wśród tych eksponatów też stare książki, fragment Tory... gdyby ktoś chciał przeczytać... Książki świeckie i związane z kultem, codzienne i odświętne, wykwinne i zwyczajne. Jak życie...

Goodej do mnie po naszymu

– Dziółcha, godej do mie po naszymu – mówi do mnie Mauga, moja przyjaciółka malarka, gdy rozpoczynam z nią rozmowę „czysto po polsku”.

Mauga i ja mieszkamy w Krefeld, niemieckim mieście oddalonym jakieś 1000 km od Katowic, z których obie pochodzimy.

Należymy do tej grupy Ślązaków, która niedługo po zakończeniu stanu wojennego opuściła Polskę. Rozczarowanie sytuacją w kraju, mężowie i żony czekające od dwóch lat w Niemczech, bo tam zastał ich stan wojenny, ich strach przed powrotem i tego konsekwencjami, wreszcie niejasna przyszłość tych, którzy tak jak ja, działali w Solidarności – to tylko niektóre przyczyny naszego wyjazdu z kraju.

Z moimi śląskimi korzeniami, wykształceniem polonistki, nigdy nie przyszło mi wcześniej do głowy, że też kiedyś będę pakować walizkę i wsiadać do pociągu na dworcu w Kędzierzynie, z biletem do Duisburga w kieszeni. W tej samej kieszeni miałam kartkę z jednym zdaniem napisanym przez moją mamę po niemiecku, bo tyle była jeszcze w stanie sobie przypomnieć: „Ich möchte in Duisburg aussteigen”. Moja znajomość niemieckiego ograniczała się wtedy do słowa Aschenbecher, które zapamiętałam z pobytów u teściowej mieszkającej na wsi koło Koźła. Widząc, że zapalam papierosa, stawiała mi przed nosem popielniczkę i mówiła: „Dziółcha, tu mosz Aschenbecher”.

Jechałam do męża, którego nie widziałam dwa lata. Miałam paszport z wizą na kilka tygodni i tydzień urlopu ze szkoły. Ten tydzień miał zdecydować o moim dalszym życiu.

I zdecydował.

Rozczarowania ostatnich 15 lat oraz „dobra rada” funkcjonariusza SB udzielona w rozmowie przed wydaniem mi paszportu były na tyle skuteczne, że ułatwiły mi podjęcie decyzji o pozostaniu w Niemczech. „Nielegalnym” – jak się wtedy mówiło.

Kiedy w 1968 rozpoczęły się rozruchy studenckie, byłam na drugim roku polonistyki w Opolu. Wraz z innymi brałam udział w demonstracjach, strajku okupacyjnym uczelni, pracowicie pisałam i roznosiłam ulotki z hasłami o zniesieniu cenzury i wprowadzeniu prawdziwej demokracji. Do końca życia nie zapomnę momentu, gdy jak zbite psy, w wyniku postawionego nam ultimatum, opuszczaliśmy uczelnię po strajku okupacyjnym. Teren uczelni otoczony był przez milicję i ZOMO, w bezpośrednim starciu z nimi nie mieliśmy żadnych szans, w dodatku kilku kolegów i moja przyjaciółka Magda siedzieli już w milicyjnym areszcie lub opolskim więzieniu. Gdy ich sądzono potem z paragrafu o chuligaństwo, sędzia chciał usunąć nas z sali sądowej, bo głośno protestowaliśmy przeciwko takiemu zakwalifikowaniu sprawy. My byliśmy chuliganami? To było nie jak policzek, to był potężny kopniak. Dopiero po latach zrozumiałam, że nasi koledzy mieli szczęście, że byli „chuliganami”, a nie „politycznymi”. Pojęłam, że byliśmy tylko pionkami wykorzystanymi do rozgrywek „na górze”. Myśleliśmy, że gramy główne role, a byliśmy tylko statystami. Kurtyna zapadła, przedstawienie się skończyło.

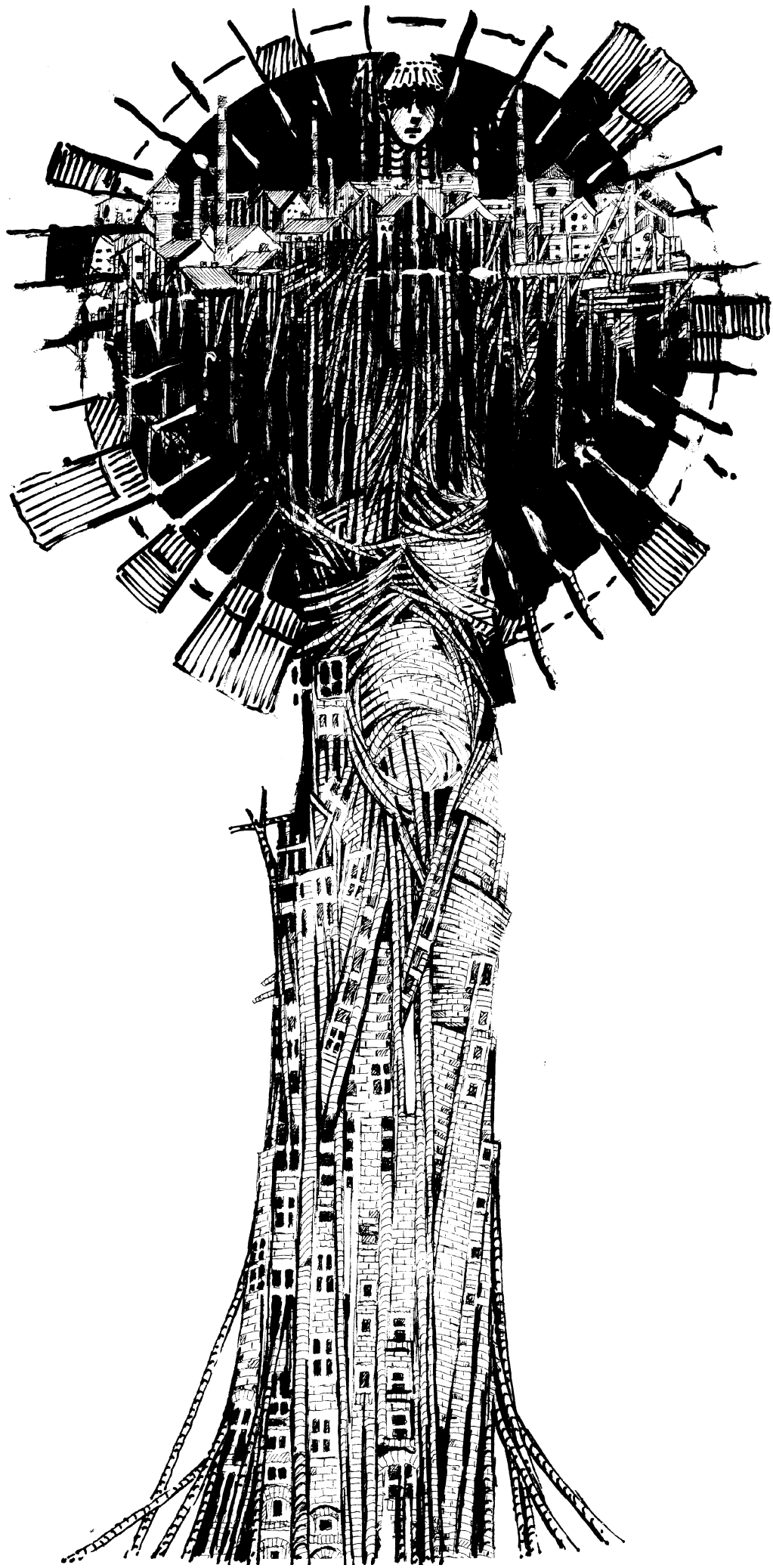
I tylko się potem dziwiliśmy, że nagle z uczelni zniknęło kilku wykładowców, po kątach szeptano coś o Izraelu, a niektóre miernoty zajęły wyższe stanowiska.

Tematem mojej pracy magisterskiej był folklor śląski. Zbierałam do niej materiały w opolskich wsiach. Moi narratorzy mówili gwara, pielęgnowali swoje tradycje i cieszyli się, że my młodzi chcemy słuchać, „jak to piyrwyj bywało”. Przebywając z nimi rozumiałam, że nie muszę się wstydzić moich śląskich korzeni, mojej gwary, mojego śląskiego akcentu, który i tak był rozpoznawalny, chociaż wtedy jeszcze bardzo starałam się go pozbyć.

To były lata, które ugruntowały moją tożsamość, uświadomiły mi moje pochodzenie, nauczyły być Ślązaczką. To, że uczelnia nie zgodziła się na mój doktorat z folklorystyki, bo podobno nie było takiego zapotrzebowania społecznego, jeszcze bardziej te uczucia umocniły. Jakby na przekór, zaczęło mnie wszystko, co śląskie interesować, ale jak też wkrótce mogłam się przekonać, poza oficjalną wersją z podręcznika niewiele więcej można było się dowiedzieć. Pozostały ustne przekazy żyjących jeszcze świadków historii, chociaż wielu z nich nie chciało mówić. Dlaczego – tego powoli dowiadujemy się dopiero dzisiaj.

Jestem wstrząśnięta fragmentem książki „Piąta strona świata” Kazimierza Kutza o „ślubowaniu wierności Polsce”:

„Ci, których do ślubowania nie zapraszano, albo im prawa do niego odmawiano, szykowali się do wyjazdu. Ale w wielu przypadkach lądowali w poniemieckich lagrach – w Mysłowicach, Siemianowicach lub w Świętochłowicach – tracili w nich życie bez poszanowania praw, jakie należą się istotom ludzkim. Mam nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy wolno będzie mówić o polskim Auschwitz dla Ślązaków.”



Gdy 27 lat temu opuszczaliśmy Śląsk, ta część historii była skrętnie ukrywana także przez samych Ślązaków; strach przed represjami był większy, niż rozpowszechnianie prawdy. Ci, którzy wiele lat po zakończeniu wojny wsiadali do pociągu jadącego w stronę zachodniej granicy nie robili tego dlatego, że czuli się Niemcami, nie, oni byli dalej Ślązakami – oszukany, poniżany i wykorzystany w powojennej ojczyźnie. Czy o taki polski Śląsk walczyli i ginęli nasi dziadkowie w powstaniach?

Ten fragment książki Kutza czytałam w Krefeld moim starszym znajomym z Katowic, Chorzowa, Bytomia. Nikt z nich nie był tym zaskoczony. Wszyscy z nich mogli wymienić kogoś z rodziny lub sąsiadów, który w takim obozie się znalazł i z niego nie wrócił. My, urodzeni po wojnie, historię Śląska znamy tylko we fragmentach, pięknie skrojonych według potrzeb polityków z Warszawy, którzy po Niemczech pokazują Ślązakom, gdzie ich miejsce.

Tym bardziej więc pocieszającym jest fakt, że Ślązacy byli w stanie zachować swoją tożsamość, pomimo tłamszenia, „udupiania” – jak mówi Kutz – „... wyprostowali plecy”. Mowa tu o 173 tysiącach Ślązaków, którzy w czasie spisu powszechnego w 2003 roku wpisali w ankiecie narodowość śląską.

Od 27 lat obserwuję w Niemczech swoich rodaków. Zachowanie własnej tożsamości na obczyźnie jest trudniejsze niż by się wydawało: łatwo wtopić się w tutejszą wielonarodowościową społeczność, zapomnieć o własnych tradycjach, mówić i czytać tylko po niemiecku. Wśród moich znajomych nie ma takiej osoby, a przynajmniej ja takiej nie znam. Mówimy śląską gwarą i po polsku, bo mamy też przyjaciół „goroli”, spotykamy się na śląskich imprezach, czytamy polskie książki i gazety, w domach mamy polską telewizję i radio, dzieci uczą się w szkole języka polskiego, a z domu znają gwarę. Niby to takie proste i oczywiste, racja, ale dla tych, którzy mieszkają w Polsce. Tutaj trzeba tego chcieć, samemu trzeba się o to postarać. Nic z tego też nie dostaliśmy od Niemców w prezencie.

Decydując się wtedy na „nielegalne” pozostanie w Niemczech wiedziałam, że na długo, a może na zawsze zamykam sobie drogę do Polski. Na Śląsku pozostała rodzina, przyjaciele, urządzone mieszkanie. Co naprawdę oznaczała ta decyzja przekonaliśmy się z mężem po raz pierwszy, gdy zmarł jego ojciec, potem jeszcze inni krewni, a my nie mogliśmy pojechać na ich pogrzeby.

Wiedziałam, że osoby osiedlające się w Niemczech legalnie, które przyjeżdżały w ramach łączenia rodzin, a nie zrzęły się przed wyjazdem polskiego obywatelstwa, wymieniają w ambasadzie polskiej swoje paszporty na konsularne. Dla „uciekierów” takiej możliwości nie było. Rozpowszechniane plotki, że kto z takich jak my przekroczy teren ambasady, jest wsadzany do samochodu i odwożony na lotnisko, a stamtąd odlatuje prosto do Polski, skutecznie odstraszały od osobistych tam odwiedzin. Zaczęłam więc z ambasadą korespondować. Wiedziałam, że nie istnieje oficjalnie w polskim prawie paragraf, który by karał polskiego obywatela za osiedlenie się w innym kraju. To był mój główny argument. W odpowiedzi na mój pierwszy list polscy urzędnicy poradzili mi zrzec się polskiego obywatelstwa i postarać się o niemiecki paszport. O niemiecki paszport nie musiałam się starać, bo go już miałam, z racji urodzenia w dawnym powiecie pszczyńskim, należącym do 1945 roku do księcia von Pless.

W następnych listach pisałam o swoich prawach jako obywatel polski, udawiałam dalej brak przepisów i oficjalnego uregulowania statusu „uciekierów” w świetle prawa, powoływałam się na prawa człowieka, tłumaczyłam, że za-

mieszkanie w innym kraju nie oznacza zdrady i nie jest przestępstwem.

I stał się cud!

Po trzech latach korespondencji nadeszła ta tak długo upragniona odpowiedź.

Polecono mi załatwienie tak zwanej „obiegówki” w ostatnim miejscu zamieszkania w Polsce. Chodziło o zaświadczenia z miejsca pracy, spółdzielni mieszkaniowej i banku, że nigdzie z niczym nie zalegamy. Te zaświadczenia zdobyła dla nas rodzina. Wysłałam je do ambasady, a po roku, dokładnie 8 października 1987, stałam się posiadaczką paszportu konsularnego.

Byłam pierwszą w Niemczech „uciekierką” z takim paszportem i w ten sposób otworzyłam drogę innym. Następnym był mój mąż, bo nawet on nie wierzył, że mi się to uda i czekał na zakończenie moich wysiłków, pukając się w czoło.

Wtedy jeszcze nawet nie byliśmy w stanie sobie wyobrazić, że już za kilka lat wszystko się zmieni, że przestanie istnieć socjalizm, że runie berliński mur, znikną granice, a nasze tak gorąco pożądane konsularne paszporty staną się tylko pamiątką po tamtych nie najlepszych czasach.

Co oznaczało to dla nas „uciekierów”?

Dla wielu, którzy przedtem mieli dość sporadyczny kontakt z krajem, była to możliwość nawiązania zerwanych więzi, odnowienia przyjaźni, w dziwny sposób te 1000 kilometrów od rodzinnego domu stało się nagle krótsze. Niektórzy jechali do Polski po raz pierwszy od wielu lat, nawet ci, którzy przedtem zarzekali się, że tego nie zrobią, rozgoryczeni i zniechęceni trudnościami przy wyrabianiu wiz wjazdowych.

Przed laty, gdy zdecydowałam się tutaj pozostać, często zastanawiałam się nad tym, jaka będę ja sama za lat dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Jakim językiem będę się posługiwać, w jakim języku myśleć, jakie książki czytać?

Zrezygnowałam z zawodu nauczycielki, zdobyłam inny, który daje mi wiele zadowolenia i satysfakcji. W pracy mówię po niemiecku, w domu gwarą śląską, z przyjaciółmi Ślązakami po śląsku, z przyjaciółmi „gorolami” po polsku. Czytam książki po niemiecku i po polsku, tych po polsku jednak więcej. Z każdej podróży do Polski przywożę ich sporo, zamawiam też w księgarniach wysyłkowych, jestem na bieżąco z nowościami. Ostatnio polecałam mojej znajomej mieszkającej w Katowicach książkę Kutza, co mnie samą rozbawiło. Książki powoli nie mieszczą się na półkach, stoją „podwójnie”, część powędrowała już do miejskiej biblioteki na półkę z polskimi książkami.

Po tych 27 latach wiem jedno. Człowiek pozostanie do śmierci tym, kim się urodził. Urodziłam się Ślązaczka i Ślązaczka pozostanę. Nie zmieni tego fakt, że nie mieszkam na Śląsku, bo miejsce zamieszkania nie ma z tym nic wspólnego. To jest to coś, co tkwi w świadomości człowieka i każe mu tęsknić za miejscem urodzenia, każe do tego miejsca wracać i o nim myśleć.

No bo jak wytłumaczyć fakt, że ludzie w podeszłym wieku podejmują uciążliwą podróż, żeby po raz ostatni zobaczyć rodzinny dom, lub to, co z niego zostało? Co skłania młodych, tutaj urodzonych, do odwiedzania rodzinnych stron rodziców, do uczęszczania na kursy języka polskiego? Dlaczego moja znajoma, amerykańska poetka Linda Nemecek-Foster, po upływie niemalże wieku od wyjazdu jej dziadków do Ameryki, przyjeżdża do Polski i szuka śladów po rodzinnym gnieździe, szuka krewnych, uczy się historii rodziny i Polski? Oto jak pisze o niej Marta Fox w książce „Święta Rito od rzeczy niemożliwych”:

„Linda – dziewczynka uwielbia z rana truskawki ze śmietaną, dwa talerze krupniku na obiad oraz «tyskie». Także długie

nocne rozmowy – jak hanyś z jankesem.” Tu mowa o spotkaniu w Katowicach. „Linda – marzycielka tęskni za Poską jak szalona, wielbi Szymborską i Zagajewskiego, ruskie pierogi i śląskie kluski, a jej marzeniem jest cichy kąciec z widokiem na Wawel i praca z polskimi studentami.

Ponad wszystko jest jednak podróżnikiem w czasie. Jako pierwsza i jedyna powraca po dziewięćdziesięciu latach do miejsc, z których wyruszyli jej dziadkowie po swe amerykańskie marzenie. Ona urzeczywistnia ich i swoje marzenie o powrocie do Domu.”

Ten powrót Lindy do Domu – to powrót do korzeni.

I tu nie chodzi o to, czy musieliśmy albo nie musieliśmy wyjeżdżać. Wolność polega na tym, że człowiek sam decyduje o tym, kiedy i dokąd chce pójść, sama tłukłam to moim uczniom do głów omawiając – nomen omen – „Niemców” Kruczkowskiego. Zdradza dopiero wtedy, gdy wyrzeka się samego siebie, odcina się od tych właśnie korzeni. I to było to, co usiłowałam wytłumaczyć urzędnikom polskiej ambasady, gdy walczyłam o paszport konsularny, a oni doradzali mi zrzeczenie się polskiego obywatelstwa.

Wśród moich znajomych przeważają Ślązacy. Wiem, że nie czują się Niemcami, ale nie czują się też tak naprawdę Polakami. Inaczej nie istniałby dalej ten podział na hanyśów i goroli. Nawet tutaj. Pomimo, że ci z Pomorza czy innych stron Polski wyemigrowali na tych samych prawach. Słowo gorol u Ślązaków ma wydźwięk pejoratywny, jest słowem obraźliwym i używa się go tutaj w takim samym znaczeniu jak na Śląsku. Chociaż udało mi się też usłyszeć to określenie w sytuacji bardzo komicznej. Otóż mąż sąsiadki Ślązaczki jest Irańczykiem. Małżeństwem są już od wielu lat, więc siłą rzeczy nauczył się mówić trochę po śląsku. Kiedyśjechałam z nim i z jego irańskim kolegą windą i gdy winda stanęła, a kolega guzdrał się przy wychodzeniu, nagle usłyszałam jak Irańczyk mówi do Irańczyka po śląsku: „Wylaż wreszcie, gorolu!”

Ale nie tylko mówiąc gwara, świadomie określamy naszą przynależność. Ślązacy w Niemczech są bardzo czynni, prowadzą różnego rodzaju działalność z pożytkiem dla wszystkich.

Wtedy, gdy nie mieliśmy jeszcze takiego powszechnego dostępu do polskiej prasy, pierwszą gazetę w języku polskim zaczął wydawać Ślązak.

Rodzice dzieci w wieku szkolnym wystąpili do ministra szkolnictwa z prośbą o nauczanie w szkole języka polskiego. Irena Zejmo, polonistka i poetka, uczy w Krefeld języka polskiego już od dziesięciu lat. W wierszu „Emigracja” z tomiku „Nasionko dmuchawca” tak pisze o sobie:

W całym upadku
świata najbardziej
żał mi
dzbanuszka z utłuczonym
dziobkiem
i zaczytanej książki
o Nemecku

Wspomniana na początku Mauga to Mauga Houba-Hausherr, malarka pochodząca z Katowic, potem związana z Opolem. Od ćwierć wieku mieszka w Krefeld, ale

od kiedy zniknęły granice, swoje życie dzieli pomiędzy Krefeld i opolski Biestrzynnik. Maluje w Niemczech i na Śląsku. Powstają cykle obrazów ze śląskimi pejzażami, obrazy przedstawiające ludzi, scenki rodzajowe, cykl poświęcony wiejskim kapliczkom. Można je oglądać na licznych wystawach w wielu niemieckich miastach, a od 2008 roku również i na Śląsku.

Mauga – uznana i ceniona w Niemczech malarka, nigdy nie zapomniała swoich korzeni, podkreśla to zawsze w czasie wernisaży, a jej obrazy ze śląskimi motywami wiszą nie tylko w prywatnych domach, ale również w państwowych instytucjach.

O tym, jak bardzo to poczucie śląskości jest w nas zakorzenione, mówi też inne zjawisko, które obserwuję od kilku lat. Od kiedy dostęp do internetu stał się codziennością, jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać w Niemczech śląskie internetowe rozgłośnie radiowe. Prowadzący audycje mieszkają w różnych miejscowościach, nadają z własnych mieszkań, zsynchronizowanie programu przez szefa redakcji wymaga nie lada sztuki i wysiłku. A programy są nadawane codziennie. Do tych najbardziej popularnych należą Radio Bercik, Śląskie Radio i Radio Wesołe Ślonzoki.

Na swojej stronie internetowej tak promuje się Śląskie Radio:

„Kochani Słuchacze!

Serdecznie witamy na stronie Śląskiego Radia. Stworzyliśmy radio, kere mo łączyć wszystkich Słuchaczy poprzez śląsko kultura, godka i muzyka. Bydymy Wom przypominać Wasze rodzinne strony – pielyngnować wspomnienia, ale tyż podować świeże nowiny. Zaproszomy Vos do słuchanio naszego radyjka.”

Jeden z redaktorów pokusił się nawet do napisania „Ody do śląskiej gwary”, która zaczyna się słowami:

„Gwaro nasza, śląsko gwaro,
zabić Cie nie idzie.

Kto tu rządził, to próbował
i zawsze plajtował.”

Dodać należy, że audycje cieszą się bardzo dużą popularnością. Działalność redakcji radiowych nie ogranicza się wyłącznie do audycji, organizują również różnego rodzaju spotkania, festyny lub koncerty, na które zapraszają zespoły z Polski.

Kim więc właściwie jesteśmy, tutaj, na niemieckiej ziemi, oddaleni setki kilometrów od miejsca urodzenia, od naszej małej Ojczyzny, naszego Heimatu?

Nasza sytuacja przypomina trochę tę ze Śląska. Dla Ślązaków przyjezdni byli gorolami – takimi „gorolami” jesteśmy teraz my dla Niemców. Żyjemy wśród nich, ale tak naprawdę obok nich. Mówimy innym językiem, mamy inne tradycje, inne problemy. I nawet ćwierć wieku nie było w stanie wiele zmienić. I dalej w wigilię jemy karpia i makówki zamiast Würstchen mit Kartoffelsalat, w kościele przyjmujemy komunię „na język” zamiast „do ręki”, a przed świętami stoimy w długiej kolejce po szynkę u śląskiego rzeźnika.

I może to właśnie o to chodzi?

Marzec 2010

Joanna Kern – autorka esejów zamieszczonych w książce pt. „Hajer Blues i inne historie” (Mamiko 2012); publikowała także w miesięcznikach: „Śląsk”, „Indeks” i „Strony.” Jej miasta to: Katowice, w których się urodziła i do których wraca; Opole, w którym studiowała polonistykę pod pieczę prof. Doroty Simonides; Racibórz, gdzie pracowała jako nauczycielka języka polskiego i Krefeld (Płn. Nadrenia-Westfalia), gdzie mieszka od 1983 roku, pracuje, pisze i działa w środowisku artystycznym jako organizatorka wystaw, reżyserka spektakli teatralnych, autorka tekstów i fotoreportaży.

Opowieść o księdzu profesorze **ANDRZEJU HANICHU**
– proboszczu w Prószkowie i Przysięczy na Śląsku Opolskim



Ksiądz Andrzej Hanich, 11 maja 2014 roku

Niemożliwie nadzwyczajny ksiądz, uczony, społecznik

JAN COFAŁKA

W dniu 18 maja 2015 roku obchodził 40-lecie kapłaństwa, zaś w 2016 roku 65-lecie urodzin, ks. prałat prof. dr hab. Andrzej Hanich, jeden z niezwykłych, wieloletnich, współpracowników arcybiskupa Alfonsa Nossola. W wydanej z tej okazji, małej, zaledwie dwudziestostronicowej pamiątkowej broszurce, przytoczona została sentencja św. Franciszka z Asyżu, jak być skutecznym w działaniu: **Najpierw róbcie to, co konieczne, a potem to, co możliwe. Aż się okaże, że wyszło to, co było niemożliwe!**

I ta sentencja sprawdza się w przypadku ks. Andrzeja Hanicha, bo tego „niemożliwego” w jego życiu jest wiele, aż trudno uwierzyć, iż to dzieło jednego człowieka.

Pierwsze zaskoczenie

W styczniu 2010 roku w czasie promocji jednej z moich książek o pogmatwanych dziejach Śląska i losach Ślązaków w Muzeum Śląska Opolskiego, nieznaną mi osobą przekazała mi podarunek od księdza Andrzeja Hanicha, dwie jego książki: rozprawę habilitacyjną *Czas przełomu. Kościół katolicki na Śląsku Opolskim w latach 1945-1946* (Opole 2008) oraz *Martyrologium duchowieństwa na Śląsku Opolskim w latach II wojny światowej* (Opole 2009).

Okazało się bowiem, że z ks. Andrzejem Hanichem miałem, w dość szczególnych okolicznościach, okazję się zetknąć w 1968 roku. Był wówczas uczniem maturalnej klasy II LO w Opolu, ja zaś starszy od niego 11 lat, przewodziłem jednej z ówczesnych wojewódzkich organizacji młodzieżowych na Opolszczyźnie, które organizowały co roku Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym, z eliminacjami w szkołach, powiatach, województwach, i finałem w Telewizji Polskiej.

Jednym z uczniów, którzy przebili się wysoko w eliminacjach tej olimpiady był właśnie Andrzej Hanich. Wówczas jednak ktoś, pragnąc wymusić na nim wstąpienie do któregoś ze związków młodzieży (na co Andrzej Hanich nie miał najmniejszej ochoty) oświadczył mu, że nie będzie mógł, jako *niezorganizowany element*, uczestniczyć w kolejnym etapie tej olimpiady. Przyszedł więc do mnie z pytaniem, czy rzeczywiście brak przynależności do organizacji może stanowić taką przeszkodę. Ponoć wytłumaczyłem komu należało, że wspomniana olimpiada jest organizowana dla młodzieży, a nie dla członków organizacji młodzieżowych. Potem w 1970 roku wywiało mnie z Opola do stolicy, zaś Andrzej Hanich poszedł za swoim powołaniem.

W dniu 18 maja 1975 roku przyjął w Opolu święcenia kapłańskie i po dwóch latach bycia wikarym w Strzelcach Opolskich, kiedy biskupem

diecezjalnym diecezji opolskiej mianowano ks. prof. Alfonsa Nossola, został notariuszem opolskiej Kurii Diecezjalnej i sekretarzem biskupa, którym był do 1999 roku, a więc 22 lata.

Kolejne zaskoczenie

Byłem przekonany, że ks. Andrzej Hanich, na co by wskazywało jego nazwisko, jest Ślązakiem z dziada pradziada, tymczasem on, co prawda urodził się 12 maja 1951 roku w Opolu, ale jego rodzice przybyli tu po drugiej wojnie światowej z wielką rzeszą repatriantów z dawnych wschodnich Kresów Rzeczypospolitej, z Potoku Żłotego k. Buczacza. Tym bardziej więc zaskakującą, lecz z pewnością przemyślaną, była decyzja zatrudnienia go w Kurii Biskupiej, gdyż w pewnym sensie otwierała jego przełożonemu kontakt z licznym na Opolszczyźnie środowiskiem Kresowiaków.

W rodzinne strony rodziców trafił ks. Andrzej Hanich dopiero po latach, przychodząc z pomocą proboszczowi ks. Ludwikowi Rutynie i dekanatowi w Buczaczu w podnoszeniu z ruin tamtejszych polskich kościołów katolickich. Osobiście zawiązał tam, do wyremontowanego kościoła w Żłotym Potoku, replikę zażytkowego obrazu Matki Boskiej Żłopotockiej, wywiezionego w czasie powojennej repatriacji na Dolny Śląsk.

W 2010 r. wydał też książkę *Pamięć o kresowych korzeniach tożsamości*. Sam zaś coraz głębiej zanurza się w dzieje tej ziemi, gdzie się urodził, nasiąkając jej niełatwymi problemami.

Trylogia historyczna

Korzystając z dostępu do źródeł archiwalnych Kurii Biskupiej przygotował monumentalną trylogię historyczną poświęconą wojennym i bezpośrednio powojennym dziejom Kościoła katolickiego na Śląsku Opolskim, na którą złożyły się, oprócz dwóch powyżej wymienionych ofiarowanych mi monografii: *Czas przełomu...* i *Martyrologium duchowieństwa Śląska Opolskiego...* jeszcze trzecia książka: *Dekanaty parafie Administracji Śląska Opolskiego w latach 1945-1946*, którą po jej wydaniu w 2009 roku, gratisowo przekazał do wszystkich parafii, instytucji diecezjalnych i zakonnych i bibliotek na terenie diecezji opolskiej i nowo powstałej gliwickiej.

Szczególnego wysiłku wymagało zwłaszcza opracowanie *Martyrologium...* opisujące okoliczności śmierci śląskich duchownych zamordowanych: w okresie II wojny światowej; przy zdobywaniu Śląska Opolskiego przez Armię Czerwoną; księży Ślązaków ofiary powojennej represji wobec Niemców po 1945 roku i opolskich księży werbiistów zamordowanych przez żołnierzy japońskich na Dalekim Wschodzie.

Nieco wcześniej, w związku z Rokiem 2000-lecia chrześcijaństwa, opra-

cował i ofiarował wszystkim parafiom diecezji, wydaną własnym sumptem ścienną mapę diecezji opolskiej.

Fascynacja Górą św. Anny

W 1991 roku ks. Andrzej Hanich uzyskał na KUL w Lublinie tytuł doktora nauk teologicznych na podstawie dysertacji pt. *Ruch pielgrzymkowy na Górze św. Anny w latach 1945-1985*. Wcześniej, w 1985 roku, jeszcze przed doktoratem, apisał tekst do ilustrowanego albumu: *Góra św. Anny – sanktuarium diecezji opolskiej*, którego trzy wydania polskie i jedno w wersji niemieckojęzycznej, rozeszły się szybko w łącznym nakładzie 70 tys. egzemplarzy.

Potem jako przedstawiciel Kurii Diecezjalnej do bieżących kontaktów z władzami państwowymi na szczeblu województwa i rzecznik prasowy Kurii, brał udział w organizacji pielgrzymki papieża Jana Pawła II na Górze św. Anny 21 czerwca 1983 roku, a później także Mszy Pojednania polsko-niemieckiego w Krzyżowej 12 listopada 1989 r.

Doskonale więc pamięta, ile zachodu arcybiskupa Alfonsa Nossola wymagało żeby ta, pierwotnie w ogóle nie planowana na Górze św. Anny papieska wizyta, mogła dojść do skutku. Musiało przede wszystkim dotrzeć do Jana Pawła II ewentualne rozgoryczenie wiernych na Opolszczyźnie, gdyby mieli zostać pominięci w papieskim pielgrzymowaniu z Dolnego Śląska na Górny Śląsk z pominięciem Opolszczyzny. W końcu, za przyzwoleniem papieża, udało się skrócić o dwie godziny jego wizytę we Wrocławiu i o godzinę w Katowicach, dzięki cze-

mu mógł odprawić pamiętne niezapomniane na Górze św. Anny z udziałem milionowej rzeszy pielgrzymów.

Jan Paweł II był i jest na Górze św. Anny

Po tych papieskich niesporach Góra św. Anny nadal pozostała w kręgu zainteresowań księdza Andrzeja Hanicha i to w dwojnasób. W 1999 roku wydał monografię historyczno-pastoralną pt. *Góra św. Anny – centrum pielgrzymkowe Śląska Opolskiego – 1945-1999*, potem stał się pomysłodawcą i inicjatorem budowy pierwszego na Śląsku Opolskim pomnika papieża Jana Pawła II odsłoniętego 25 czerwca 2000 roku, jako votum Opolszczyzny za jego ówczesny pobyt.

Pomnik ten uchodzi za jeden z najbardziej udanych. Jest on posadowiony na specjalnie wybudowanym kopcu, w samym centrum miejscowości. Autorem rzeźby jest prof. Gustaw Zemła, zaś projekt architektoniczny pomnika jest dziełem Krystyny i Jacka Kucharzewskich.

Pomnik papieża, dziś już świętego, jest artystycznym wyrazem teologii papieża, z czytelną aluzją do słów Jezusa Chrystusa, skierowanych do apostoła św. Piotra: *Ty jesteś Piotr – Opoka* (imię Piotr pochodzi od greckiego i łacińskiego słowa – skała, opoka) i na tej Opoce *zbuduję mój Kościół*. Stąd Jan Paweł II, w szatach pontyfikalnych z pastorałem w lewej dłoni i z prawą ręką uniesioną wysoko w geście pozdrowienia, wyłania się ze skały, która z postacią papieża stanowi logicznie obmyśloną całość.

Kiedy w 2007 roku ks. Andrzej Hanich zostanie proboszczem w Prószkowie i w Przysięczy, filialny kościół



Kościół parafialny św. Jerzego w Prószkowie k. Opola



Ks. prof. Andrzej Hanich z Platynowym Laurem Umiejętności i Kompetencji za 2014 r. Zabrze, Dom Muzyki i Tańca, 17 stycznia 2015 r.

w tej drugiej miejscowości, chyba jako pierwszy na Opolszczyźnie od dnia beatyfikacji Jana Pawła II (1 maja 2011 r.) stał się lokalnym sanktuarium Świętego Papieża, z jego wizerunkiem w głównym ołtarzu świątyni i pięknymi oprawionymi relikwiami. Odprawiane są tu każdego miesiąca, przy licznych udziałach wiernych, nabożeństwa ku czci Jana Pawła II, jako patrona małżeństw i dzieciństwa rodzin. W związku z tymi nabożeństwami i Jubileuszowym Rokiem Miłosierdzia w 2016 roku ks. Andrzej Hanich zredagował i wydał własnym sumptem kilkudziesięciostroonicowy kieszonkowy modlitewnik *Mój Jezus, miłosierdzia!* będący zbiorem prywatnych modlitw Jana Pawła II. Modlitewnik ten trafił, bezpłatnie, do wszystkich parafian.

„Wojna pomnikowa” na Opolszczyźnie po 1989 roku

Ks. Andrzej Hanich był przedstawicielem Kurii Diecezjalnej do bieżących kontaktów z władzami państwowymi szczebla wojewódzkiego, a działał się wówczas bardzo wiele, szczególnie po ujawnieniu się w 1989 roku, na masową skalę, mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim, kiedy ona coraz bardziej zdecydowanie zaczęła domagać się dla siebie praw publicznych, włącznie z prawem upamiętniania bliskich poległych jako żołnierzy niemieckich na frontach I i II wojny światowej, co od-

bijało się mocnym echem w kraju, do Sejmu włącznie.

Także w parafii, którą przyszło później objąć ks. Andrzejowi Hanichowi, w podopolskim Prószkowie mniejszość niemiecka postawiła w samym centrum, przy głównej szosie, spory pomnik wojenny z dwujęzyczną inskrypcją „Naszemu poległym”, na dole pomnika umieszczając sporej wielkości sylwetkę poległego żołnierza Wehrmachtu. Wkrótce pomnik ten został podpalony przez nieznanych sprawców.

W innych śląskich miejscowościach na pomnikach umieszczano Krzyże Żelazne, będące niemieckim symbolem wyróżnienia w walce, co również wywoływało liczne polskie protesty.

W rezultacie tej „pomnikowej wojny” opolskie władze wojewódzkie powołały tzw. komisję pomnikową w której uczestniczył ks. Andrzej Hanich. Miała ona na celu nadanie powstałym kilkudziesięciu pomnikom, które wywoływały emocje w Polsce, bardziej stonowanej, chrześcijańskiej wymowy, by nie raziły polskiej pamięci historycznej, przez akcentowanie symboli kojarzących się z krzywdami doznanyymi od Niemców podczas wojny, której w końcu ofiarami, a nie bohaterami, byli także zwykli niemieccy żołnierze często o śląskim rodowodem.

Niebagatelną pomoc w prowadzeniu dialogu z mniejszością, z wypracowaniem niezbędnego kompromisu, odegrała opolska Kuria Biskupia, która wyraziła publicznie pogląd, iż na po-

mnikach tych należy umieścić zrozumiałe dla wszystkich, dwujęzyczne napisy, a ich charakter powinien być jednoznacznie chrześcijański, bez niemieckich symboli wojskowych, gdyż pomniki nie mają drażnić a skłaniać wszystkich do modlitwy za ofiary wojny i stanowić przestrozę przed jej powtórzeniem.

W rezultacie tego stanowiska, prowadzonego dialogu oraz trudnych negocjacji, często bardzo gorące animozje, mocno nagłaśniane przez polskie środowiska „narodowe”, udało się jakoś okiełznać i w końcu uporządkować – w interesie ładu etnicznego na Opolszczyźnie.

Twórca i dyrektor radia diecezjalnego

Ks. Andrzej Hanich był też założycielem oraz w latach 1993-2003, pierwszym dyrektorem opolskiego radia diecezjalnego. Dla tego radia udało mu się stworzyć nowoczesną bazę techniczną oraz siedzibę w zaadaptowanych dla jego potrzeb, zgodnie z wymogami konserwatorskimi, w dwóch zabytkowych kamienicach mieszczańskich w samym centrum opolskiej starówki. Jako organizator i redaktor naczelny radia wypracował również jego koncepcję programową, z zapewnieniem mu finansowych podstaw. W końcu temu radiu przekazał w darze swoją bogatą, liczącą kilka tysięcy woluminów, prywatną bibliotekę.

Profesorskie książki

Od 1 kwietnia 2009 roku ks. Andrzej Hanich jest pracownikiem naukowym w Instytucie Śląskim w Opolu, najpierw jako docent, potem profesor nadzwyczajny i wreszcie profesor zwyczajny. Tytuł profesora zwyczajnego nauk humanistycznych w zakresie historii ks. Andrzej Hanich otrzymał w 2014 r. za całokształt dorobku naukowego, z największym po habilitacji osiągnięciem, dwutomową „profesorską książką” wydaną w 2012 roku, o opolskim okresie życia i działalności jednej z najznakomitszych postaci powojennego Kościoła w Polsce, syna ziemi śląskiej, kardynała Bolesława Kominka. Pierwszy tom to monografia pt. *Książki infułat Bolesław Kominek, pierwszy administrator apostolski Śląska Opolskiego (1945-1951)*, drugi to edycja omówionych w pierwszym tomie enuncjacji pastoralnych z jego opolskiego okresu. Ten mądry, koncyliacyjny pasterz, szanujący „inność” Ślązaków i polskich Kresowian, został w 1951 roku zmuszony przez władze PRL do opuszczenia diecezji. Niemcy uważali go za polskiego nacjonalistę, a polskie władze napiętnowały go za rzekomy antypolonizm.

Ks. Bolesław Kominek stał się później, inicjatorem i autorem ogłoszonego w 1965 roku *Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim*, ze słynnymi słowami „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, które uznane zostały przez wielu, wręcz za akt zdrady narodowej.

Parafia w Prószkowie i Przysieczy

W połowie 2003 roku. ks. Andrzej Hanich wyróżniony został przez Stolicę Apostolską, na wniosek arcybiskupa Alfonsa Nossola, papieskim tytułem Kapelana Jego Świątobliwości, to jest godnością prałata przyznawaną za „pracę i zasługi duszpasterskie w Kościele lokalnym”, po czym od dnia 18 marca 2007 r. obejmuje jako proboszcz podopolską parafię św. Jerzego w Prószkowie, z filialnym kościołem w Przysieczy. Czeką go tu mnóstwo pracy zważywszy na konieczność ratowania, przy pomocy gruntownych kosztownych remontów obu kościołów, szczególnie zabytkowego parafialnego w Prószkowie z 1687 roku, który jest perłą architektury sakralnej śląskiego baroku a także kościoła filialnego w Przysieczy z 1925 roku. W kilka lat później, w 2014 roku, musiano koniecznie przeprowadzić niezwykle trudny remont wzmocnienia skarpy i najbardziej uszkodzonej i zagrożonej części muru oporowego wokół zabytkowego kościoła w Prószkowie, poprzez wykonanie tzw. „płaszczki” żelbetonowej na który zużyto 200 ton betonu.

Coraz trudniej było zdobyć na te niezbędne prace potrzebne środki finanso-

we, tym bardziej że aby odsłonić całe piękno zabytkowej barokowej świątyni postanowiono wymienić nawierzchnię na całym placu przykościelnym i otworzyć go na rynek miejski.

Ugotuj z księdzem profesorem

Wtedy ujawnił się jeszcze inny talent księdza profesora – talent kucharski. Okazało się, że lubi w wolnej chwili wpaść do kuchni, aby coś upiec i także zbierać, gdzie się dało, przepisy kulinarne, które rychło wypełniły mu kilkadziesiąt kajetów. Kiedy więc zaczęło brakować pieniędzy na dokończenie koniecznych remontów, postanawia się dołożyć, przeznaczając na ten cel dochód ze sprzedaży, wydanej przy pomocy Urzędu Marszałkowskiego, pierwszej książki kucharskiej pt. *Opolszczyzna w wielu smakach. Skarby dziedzictwa kulinarnego. 2200 wypróbowanych i polecanych przepisów na przysmaki kuchni domowej* (Opole 2012), która błyskawicznie się rozeszła. Ogromne powodzenie pierwszej – jak ją nazwano – „parafialnej książki kucharskiej”, w której krok po kroku przejrzysz tak aby nikt nie miał kłopotu z przygotowaniem danej potrawy czy deseru, opisane są sposoby ich przyrządzania, wszystkie zaś pochodzą z kuchni opolskiej, zachęciło autora do przygotowania kolejnej, poszerzonej o trzysta dodatkowych, nieznanych mu wcześniej, przepisów przysyłanych mu głównie przez odbiorców pierwszej, ale tym razem już z całego kraju.

Druga księga pt. *Smaki polskie i opolskie. Skarby dziedzictwa kulinarnego. 2500 wypróbowanych i polecanych przepisów na przysmaki kuchni domowej* (Opole 2014), nazywana najgrubszą i najcięższą (waży ponad 2,5 kg), książką kucharską, okazała się także bestsellerem i trzeba

było zdecydować się na jej dodruk. Wspomniany remont muru oporowego został pomyślnie zakończony, ale przecież czekają parafię dalsze remonty zabytkowej świątyni na które dochód z kolejnej, trzeciej, przygotowywanej do druku książki kucharskiej *Opolszczyzna w wielu smakach*, która ukaże się w listopadzie 2016 r., na pewno się przyda.

Niestety, ramy tego artykułu nie pozwalają na zaprezentowanie wielu innych dokonań ks. prof. Andrzeja Hanicha np.: wspomagania materialnego domów dla samotnych matek, dzieci niepełnosprawnych, schronisk dla bezdomnych lub domów starców uszkodzonych przez powódź stulecia w 1997 roku; wymienienia sprawowanych różnych innych funkcji społecznych i naukowych; przypomnienia, że był kilka lat kapelanem Państwowych Straży Pożarnych na Opolszczyźnie, oraz wyliczenia wszystkich otrzymanych wyróżnień.

Muszę poprzestać na wymienieniu kilku zaledwie: za opiekę nad zabytkami, za zasługi dla Województwa Opolskiego, Złotego Lauru Umiejętności i Kompetencji przyznanego przez Katowicką i Opolską Izbę Gospodarczą, nagrodę im. Karola Miarki, czy też – co sobie bardzo ceni – Platynowego Lauru Umiejętności i Kompetencji za wkład w naukę i kulturę Śląska, wręczony mu podczas uroczystej gali w Sali Muzyki i Tańca w Zabrzu 17 stycznia 2015 roku.

Kiedy powstawał ten artykuł ks. Andrzej Hanich miał za sobą 40 lat kapłaństwa i 65 lat życia, myślę jednak, że jeszcze niejednym dokonaniem w służbie: ludziom, Kościołowi i nauce, może nas zaskoczyć, czego należy jemu i nam życzyć.



To tylko wyimek z bogatego dorobku ks. prof. Andrzeja Hanicha



Przywracanie pamięci

WITOLD KOCIŃSKI

Na Zamku Sieleckim w Sosnowcu na niedużej, ale bardzo ciekawie zaaranżowanej wystawie, wskrzeszono życie żydowskiej społeczności sprzed II wojny światowej. Kurator wystawy Monika Kempara powiedziała: „Chcemy przywrócić pamięć tamtych miast i tamtych czasów”. Ja z satysfakcją stwierdzam, że to się udało. Na małej przestrzeni umieszczono wiele wspaniałych pamiątek – niemych świadków przeszłości, jak choćby nadpalona Tora wyniesiona z będzińskiej synagogi. Ważnym elementem ekspozycji są liczne fotografie i dokumenty. Przywołano pamięć o wybitnych Zagłębiakach żydowskiego pochodzenia: Władysławie Szpilmanie, Maksymilianie Lubelskim i najważniejszej postaci sosnowieckiej wystawy Rutce Laskier, której pamiętnik stał się światowym bestsellerem (jego obcojęzyczne wydania prezentowane są w szklanej gablotce).

Pełny tytuł wystawy w Sosnowieckim Centrum Sztuki Zamku Sielecki brzmi „Różne światy – jedna historia. Dzieje ludności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim”. Tytuł jest jedynym mocnym sygnałem, gdyby ambitne założenia twórców wystawy chciały zrealizować, należałoby przeznaczyć na prezentację znacznie większą powierzchnię. Uważam jednak, że autorom ekspozycji należą się słowa najwyższego uznania. Przypomnienie dobrej, wspólnej historii jest koniecznością, nie wolno o niej zapominać, w przeciwnym wypadku całkowicie z władną nami złe mity.

Dzisiaj w Zagłębiu Dąbrowskim pozostało już niewiele Żydów. Wystawa przywraca pamięć o ich życiu przede wszystkim w Będzinie i Sosnowcu. Zgromadzone judaika pochodzą z Muzeum w Sosnowcu, ze zbiorów znanego kolekcjonera żydowskich pamiątek Adama Szydłowskiego, są tu również zdjęcia z Narodowego Archiwum Cyfrowego i z rodzinnego archiwum Szpilmanów (dzięki uprzejmości Haliny Szpilaman, wdowy po wielkim kompozytorze).

Uwagę przyciągają balsaminki – ozdobne pojemniki na wonne zioła lub korzenie używane zarówno w domu, jak i synagodze na zakończenie szabatu, szczególnie ta w kształcie rybki. Obok mezuza – mały, podłużny pojemnik wykonany najczęściej z metalu lub drewna, zawierający zwinięty w rulonik pergamin (klaf), na którym zapisane są ręcznie dwa fragmenty z Tory i dwa z Księgi Powtórzonego Prawa. Jest i mod-

litewnik żydowski (selichot), obowiązkowo jarmułka (kipa) – małe okrągłe nakrycie głowy dla mężczyzn używane podczas modlitwy, na co dzień była skromna, czarna a od święta okazała, często aksamitna, ozdobiona haftem. Trudno nie poświęcić dłuższej uwagi naczyniu na etrog (w hebrajskim znaczy tyle, co owoc cytrusowy), służyło ono do przenoszenia owocu do synagogi w święto Sukkot, najczęściej przybierając kształt owocu, czasami formę szkatułki.

Niezwykłą historyczno-sentymentalną wartość przedstawia wspomniany już nadpalony dziewiętnastowieczny zwój Tory z jagnięcej skóry wyniesiony ze zgliszcz bądź z płonącej będzińskiej synagogi. Potężna bryła tej żydowskiej świątyni usytuowana u stóp zamku widoczna jest na fotografiach. Jest i jad, czyli wskaźnik w kształcie ręki z wyciągniętym palcem wskazującym, używany podczas publicznego czytania Tory. Talmud Babiloński leży obok Księgi pamięci osoby zmarłej (Szymson Kuperman, 1922 r.) – oba cymelia, jak i wiele innych przedmiotów, pochodzą ze wspaniałej kolekcji Adama Szydłowskiego. Przykładem doskonałości żydowskich artystów-rzemieślników są lampy chanukowe, zwłaszcza ta z przełomu XVIII i XIX w. ze zbiorów Muzeum w Sosnowcu. *Lampa chanukowa (chanukija) o ośmiu zbiorniczkach na oliwę (zapalano także świece) umieszczonych na prostokątnej podstawie z ozdobną ścianką tylną i ściankami bocznymi. Po bokach tylnej ścianki znajdują się dodatkowe zbiorniczki, zwane szames. Palone są w domach na święto Chanuki (przez osiem dni) a także w bóżnicach. Jest także zwyczaj palenia w sobotni wieczór dwóch świeczek w bocznych lichtarzykach przy tylnej ściance.*

Warto na dłużej zatrzymać się przy ścianie poświęconej wybitnemu sosnowiczanie Władysławowi Szpilmanowi. Rozsławił go na cały świat swoim genialnym filmem „Pianista” Roman Polański. Szpilman urodził się w Sosnowcu w 1911 r. w żydowskiej rodzinie, jako najstarsze dziecko Samuela Szpilmana i Edwary z domu Rappaport, miał troje rodzeństwa. Niezwykle utalentowany muzycznie studiował w Warszawie, Wiedniu i Berlinie. Był uznanym w świecie pianistą i kompozytorem, pozostawił ponad 500 popularnych piosenek, w tym takie nieśmiertelne przeboje jak „Tych lat nie odda nikt”, „Trzej przyjaciele z boiska”, „W małym kinie”, „Przyjdzie na to czas”, „Jutro będzie dobry dzień” i wiele, wiele innych. Postać niezwykle barwna i przez to kontrowersyjna. Władysław Szpilman zmarł w Warszawie w 2000 roku. Kolejną postacią, której winniśmy dobrą pamięć jest Maksymilian Lubelski, jeden z najstarszych obywateli Sosnowca, znany przedsiębiorca budowlany. Wzniósł wiele kompleksów mieszkalnych i reprezentacyjnych gmachów będących ozdobą miasta. Pełnił funkcję prezesa Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, był radnym miejskim, społecznikiem wspomagającym instytucje o charakterze socjalnym. Zasłynął w czasie wojny polsko-bolszewickiej patriotyczną postawą, co zjednało mu uznanie i szacunek mieszkańców miasta. Jego sylwetkę zamieścił w 1934 r. wychodzący w Warszawie „Nasz Przegląd”.

Kolejną bohaterką sosnowieckiej wystawy jest będzinianka urodzona w Gdańsku Rutka Laskier. Losy młodziutkiej dziewczyny i jej pamiętnik to temat na osobny artykuł. Rutka ukryła zielony, 60-kartkowy zeszyt pod schodami domu, w którym mieszkała w Będzinie w getcie na Warpiu przy ul. 1 Maja (Kasernestrasse) 13. Stanisława Sapińska, która po likwidacji getta w 1943 roku i powrocie do mieszkania odnalazła pamiętnik ujawniła go światu dopiero po 63 latach. Z pomocą wspomnianego już Adama Szydłowskiego, prezesa Zagłębiowskiego Centrum Kultury Żydowskiej, przekazała go do druku. Książka wydana nakładem Dziennika Zachodniego szybko stała się sensacją. W Polsce dziennik Rutki miał już kilka wydań. Został przetłumaczony także na: angielski, hiszpański, włoski, hebrajski, portugalski, holenderski i francuski. Losy dziennika budzą nadal emocje – czy Stanisława Sapińska, która go upubliczniła miała prawo wywieźć go do Izraela? Na wystawie w Zamku Sieleckim podjęto ciekawą próbę odtworzenia mieszkania Laskierów.

Jednym zdaniem: to wystawa godna polecenia. W mieście, które latami szczyciło się tym, że jest tworem czterech kultur trzeba możliwie najczęściej przypominać te, które odchodzą w niepamięć!

Różne światy – jedna historia

SCS – ZAMEK SIELECKI



Sosnowiec, ul. Modrzejowska, lata 20. ubiegłego wieku



Talmud Babiloński 1886 r. (1), ze zbiorów Adama Szydłowskiego; Lampa chanukowa, przełom XIX/XX w. (2), ze zbiorów Muzeum w Sosnowcu; Księga pamięci osoby zmarłej. Szyszmon Kuperman (3), ze zbiorów Adama Szydłowskiego



Obcojęzyczne wydania Pamiętnika Rutki Laskier



Wspomnienie o rodzinie Laskierów

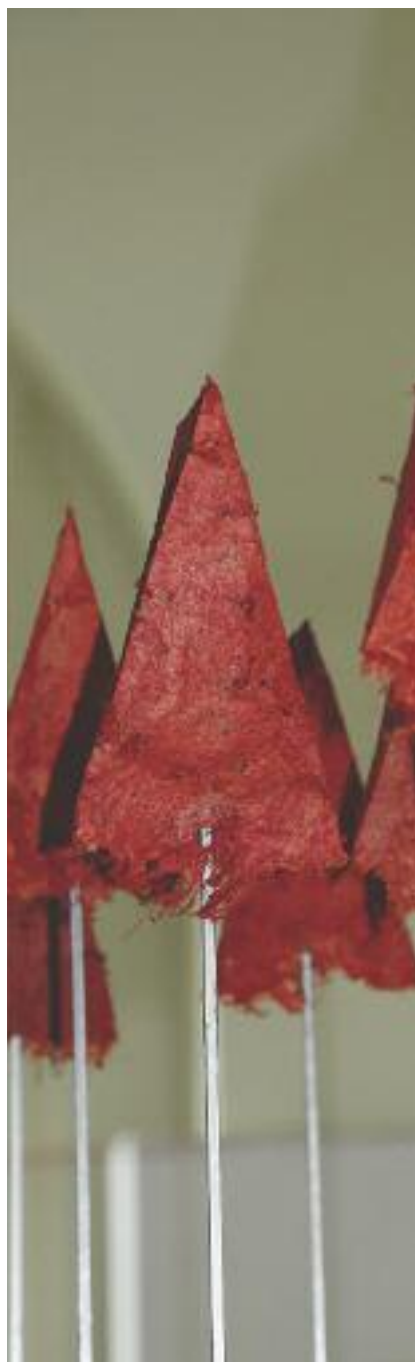


Pamiętki z mieszkania żydowskiego

Zdjęcia: Witold Kociński



Kolumna, papier wypreparowany z włókien roślinnych, 2016



Kierunki, papier wypreparowany z włókien roślinnych, 2016



Koło, papier wypreparowany z włókien roślinnych, nici bawełniane, 2016

MARIA
MATYJA-ROZPARA

Impuls

GALERIA
SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
„ELEKTROWNIA”
CZELADŹ



Pierwotne tkanki, papier wypreparowany z włókien roślinnych, 2016



Korona, instalacja, 2016

Dawno nie widziałam w śląskich galeriach wystawy, która tak znakomicie wpisywałaby się we wnętrze, w którym zaistniała, jak „Impuls” Marii Matyi-Rozpary. Na pierwszy rzut oka tej ekspozycji prawie... nie widać! Nie jest to dziełem przypadku, bowiem artystka ukończyła architekturę wnętrz, zatem inaczej postrzega przestrzeń. Zazwyczaj do prezentacji dzieła malarzkiego czy graficznego, ale też różnego rodzaju instalacji, najbardziej nadają się wnętrza neutralne – wybielone ściany z wyrafinowanym oświetleniem. Maria Matyja-Rozpara dla potrzeb tej wystawy wybrała obiekt poindustrialny, jakim jest Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeldzi na terenie dawnej kopalni „Saturm”. Do zatłoczonego wnętrza, w którym zostały zachowane gigantyczne maszyny, z zabytkową podłogą pokrytą w geometryczne wzory płytkami, wprowadziła, a raczej rozprowadziła w rozlicznych miejscach subtelne obiekty wykonane z papieru pozyskanego z włókien roślinnych. Większość brył została nanizana na rozciągające się we wszystkich kierunkach sznurki, co niektóre zadziergnięte są na metalowe pale i sterczą jak włócznie, inne spadają (ledwo podtrzymywane przez cienkie linki) z wysoka, jak krople krwi. Czym są owe bryłki – ostrościany, rozwieszane w różnych kierunkach, krzyżujące się, podążające jedne za drugimi, opadające z wysokości do kręgu światła... Zdają się współgrać z rozłożoną na podłodze instalacją, układającą się w obiekt nazwany *Koroną*, albo z niewielkich rozmiarów *Kołem* z wpisanym w jego środek trójkątem. To zaledwie płątana nitek bawełnianych ułożonych na białym podłożu, usytuowana nieco z boku, na jednej ze ścian tego niezwykłego wnętrza. O czym opowiadają? Co przekazują nam wykonane z włókniny i z betonu miseczki – wyznaczające drogę od jednej instalacji do drugiej? A po drodze ulokowano nagranie video, przedstawiające odbijające się od brzegu morskie fale, a przestrzeń wypełnia ich szum i przetworzone elektronicznie dźwięki. Co takiego Maria Matyja – Rozpara chce przekazać wędrującym od obiektu do obiektu, starającym się poskładać je w jakąś opowieść (o czym?), odczytać przesłanie.

Jak mówi artystka, czasem wystarczy impuls, by przy pomocy własnej wrażliwości i wyobraźni rozwinąć ledwie zasignalizowany problem.

Tym impulsem są ceglano-czerwone obiekty i szaro-białe muszlo-kamienie. Ogarniając wszystkie te elementy szybko można odgadnąć, że tematem przewodnim wystawy są rozmyślenia nad istotą wiary, bardzo intymne, niedopowiedziane, niedookreślone, przekazane w niewiarygodnie subtelny sposób. Bo cóż może skrywać krąg

Czasem wystarczy impuls

WIESŁAWA KONOPELSKA



Foto. Wiesława Konopelska

krzyżujących się ze sobą czarnych patyków, czerwone nitki *Kola* czy papierowe krople: czyż nie kojarzą się wprost z koroną cierniową, głową Ukrzyżowanego, drogą na Gólgotę i morzem – Jeziorem Genezaret, które było świadkiem cudów Chrystusa, wątpliwości jego uczniów, źródłem wiary? Czyż sterzące włócznie zatytułowane *Kierunki* nie mają inspirować naszych myśli o transcendencji, zdążając myślami ku nieogarniętym prawdom, do bardzo osobistych refleksji o sobie samym.

Wystawa „Impuls” Marii Matyi-Rozpary to – moim zdaniem – bodaj najciekawsza realizacja tematu sakralnego w sztuce w minionych latach. Jeśli zderzyć „Impuls” z miejscem – elektrownią, która na przestrzeni wieku, od początku industrializacji tego miasta, była miejscem pracy dziesiątek ludzi, którzy pracowali tu w pocie czo-

ła, którzy – zwyczajem górniczym – witali się słowami „Szczęść, Boże”, którzy wykuwali tu swoje drogi krzyżowe dnia codziennego, trudno o wspanialszą metaforę, niż tą, zaproponowaną przez Matyję-Rozparę.

Artystka wystawę zaprojektowała specjalnie do tego wnętrza. Poprowadzona we wszystkich kierunkach sieć sznurkowych linii ma – niczym przewodnik – kierować naszą uwagę na kolejne obiekty, powodować odkrywanie kolejnych elementów, zaskakujących swą niebywałą, wyrafinowaną prostotą. To niezwykła lekcja wyobraźni, zbudowana z cząstek elementarnych, będących źródłem życia i śmierci, prowadzących dyskurs teologiczny między sobą i z nami samymi. Warto podążać śladem rozrysowanym przez Marię Matyję-Rozparę, by spotkać na tej drodze siebie samego.

Maria Matyja-Rozpara – studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Architektury Wnętrz, a następnie na Wydziale Malarstwa (studia podyplomowe w tej samej uczelni). Prowadzi działalność artystyczną w zakresie malarstwa, rysunku i projektowania. Tworzy obiekty z papieru unikatowego oraz prowadzi działalność dydaktyczną. Jest członkiem Stowarzyszenia Pastelistów Polskich i Związku Polskich Artystów Plastyków.

Z profesorem **WŁADYSŁAWEM SZYMAŃSKIM**,
rektorem Akademii Muzycznej w Katowicach
rozmawia MAREK LYSZCZYNA



Wpisać naszą akademię w europejską świadomość

– Najpierw chciałem bardzo podziękować, że znalazł pan czas na rozmowę w takim napiętym momencie, bo właśnie trwa kolejna edycja konkursu organowego.

– Ja również chciałem się podzielić radością, że mogę się wypowiedzieć dla tego znakomitego, tak silnie osadzonego w naszym regionie pisma. Bardzo sobie cenimy możliwości kontaktu ze spo-

czeństwem naszego regionu poprzez to pismo.

Rzeczywiście, trwa właśnie konkurs organowy, który odbywa się nie tylko w naszej Akademii Muzycznej, ale również w kilku innych miejscach w Katowicach. Dotychczas nie było w Katowicach takiego konkursu organowego. Wiązało się to z trudnościami logistycznymi, ponieważ w Katowicach

mamy bardzo dużo znakomitych instrumentów, natomiast przesłuchania konkursowe rodzą pewne trudności natury organizacyjnej. Obecnie, kiedy mamy wspaniały, nowy instrument w auli im. Bolesława Szabelskiego, możemy stać się centrum tych działań konkursowych. Mamy nadzieję, że ten konkurs będzie się rozrastać, jak wiele innych konkursów wykonawczych, w tym także organowych.

– **Zaczęliśmy naszą rozmowę od konkursu organowego nie przypadkowo, bowiem ten instrument jest panu bardzo bliski.**

– Tak, przede wszystkim jestem związany z organami – tak naprawdę od dziecka, ojciec był organistą w Bielsku, ale także z pokrewnymi dziedzinami muzycznymi: teorię czy kompozycję osadzam w odniesieniu do tego instrumentu. Uważam, że taka spoiwość działań artystycznych wspartych teorią, badaniami naukowymi, kompozycją, daje mi lepszą podstawę do wiarygodnej interpretacji dzieł organowych. I rzeczywiście jest to najbliższa mojemu sercu działalność, także i przez to, że działam jako organista bazyliki św. Wojciecha w Mikołowie od wielu lat. Znajduje się tam znakomity instrument z epoki wczesnoromantycznej, jeden z najlepszych w tej skali, nie tylko w Polsce, ale w całej Europie. Widziałem wiele zabytkowych instrumentów z pierwszej połowy XIX wieku w Niemczech, we Włoszech, w Szwajcarii i w Skandynawii – i naprawdę, porównując je z tymi w Mikołowie, uważam, że jest to jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa organowego. Tym bardziej że jest to zabytek zbudowany przez znakomitego organmistrza śląskiego, Johanna Hassa, który miał swój warsztat w Głubczycach.

– **Od wielu lat angażuje się pan w wielodniowy cykl znakomitych koncertów Mikołowskich Dni Muzyki. Czy po objęciu urzędu rektora będzie pan kontynuować tę działalność?**

– Byłem jednym z inicjatorów Mikołowskich Dni Muzyki, które istnieją od 1991 roku. W dalszym ciągu będę sprawował funkcję dyrektora festiwalu, który w 2017 roku odbędzie się już po raz 27.

– **O tym, że Śląsk to wyjątkowe miejsce na organowej mapie świata, możemy się przekonać schodząc do piwnicy Akademii Muzycznej, do Muzeum Organów Śląskich, które niedawno, bo w 2014 r. obchodziło swoje 10-lecie. Czy istnieje szansa na znalezienie nowej, większej siedziby dla tego wyjątkowego muzeum?**

– Trzeba rozróżnić dwie rzeczy – stan dzisiejszy i przyszłość w działalności Muzeum Organów Śląskich, którego szefem jest prof. Julian Gembalski. Muzeum, które powstało z jego inicjatywy, jak i zgromadzone przez niego eksponaty, to jest wielkie osiągnięcie, na skalę nie tylko polską, ale także europejską. To muzeum istnieje w Akademii Muzycznej i korzysta z jej bazy lokalowej,

i bardzo dobrze, ale rodzi się pytanie o przyszłość: co dalej, bo liczba eksponatów bardzo szybko rośnie, a wśród eksponatów są instrumenty o niezwyklej wartości. Prowadzimy rozmowy z prof. Gembalskim o przyszłości muzeum i dołożymy wszelkich starań, żeby ta placówka rozwijała się dynamicznie, i żeby znalazła także godną siedzibę lokalową dla tak ważnych dla naszej kultury muzycznej zbiorów. Na Śląsku, od XIII wieku organy były jednym, z najważniejszych instrumentów, związanych nie tylko z kulturą życia codziennego, religijnego, ale z całą przestrzenią kulturalną Śląska.

– Niedawno został pan profesorem rektorem katowickiej Akademii Muzycznej. Jaka będzie ta uczelnia pod pana zwierzchnictwem?

– Trudno w tej chwili o jakieś deklaracje. Na pewno są dwa ważne elementy, dwa filary istnienia: korzystanie z tradycji tego miejsca, tworzonej, kształtowanej przez tak znakomite grono twórców, profesorów, wykonawców – to jest olbrzymia lista ludzi wysokiej klasy, którzy niemal od 90. lat tworzą to miejsce. Zatem po pierwsze, to osadzenie naszej działalności w tradycji. Zachowanie tego wszystkiego, czego dokonali poprzedni rektorzy od samego początku, od pierwszego rektora Witolda Friemanna, poprzez kolejne lata, aż po dorobek, który jest dziełem bezpośrednich moich poprzedników. Mam na myśli procesy rozbudowy i renowacji, które miały miejsce w ostatnich latach. Wszystko to sprawia, że osiągnięcia rektorów, ale także całej kadry dydaktycznej i artystycznej, są znakomite. Istotą działalności uczelni są badania naukowe, artystyczne oraz działalność dydaktyczna, i w tej przestrzeni szczytujemy się wielkimi osiągnięciami. To wszystko chcemy ochraniać i prezentować światu.

Z drugiej strony, jako nowe kierownictwo uczelni, chcielibyśmy dołożyć własne pomysły, które będą się kształtować i krystalizować. Jednym z nich jest zapewnienie bardziej intensywnej i świadomej obecności uczelni w przestrzeni europejskiej. To, że jest to uczelnia znakomita, w Polsce powszechnie wiadomo, ale chciałbym, aby ta świadomość była szersza. Chciałbym, aby ludzie działający w Europie wiedzieli, że tu, w Katowicach, istnieje uczelnia na tak wysokim poziomie, że jest to uczelnia, która nie odbiega od znakomitych akademii europejskich, a wiele z nich nawet przewyższa poziomem nauczania i kształcenia. Chcielibyśmy, żeby to odczuć w świadomości europejskiej było jeszcze silniejsze.

– A czy owa europejska świadomość nie jest częścią szerszego problemu, bo Katowice, mimo wspaniałej i bogatej tradycji muzycznej, wciąż nie są postrzegane przez przyzmat dokonani muzycznych.

– To jest wynik istniejących wciąż stereotypów i schematów w świadomości,

według których Śląsk to czarna ziemia, która przede wszystkim była siedzibą przemysłu, natomiast mniej nagałniano sferę kultury, która tutaj jest przecież znakomicie rozwinięta. Przekształcenia Katowic i regionu w ostatnich kilkunastu latach nastrajają bardzo optymistycznie. Mam na myśli dynamiczną działalność władz miasta, która doprowadziła do sięgnięcia po tytuł Miasta Kreatywnego Muzyki UNESCO. Co bardzo istotne, powstały nowe inwestycje kulturalne, sale koncertowe, prowadzone są remonty obiektów już istniejących. To wszystko stworzyło znakomitą bazę, i rzeczywiście trzeba zintegrowanej postawy, nie tyle władz centralnych w Warszawie, bo na to chyba raczej nie możemy liczyć, ale jeszcze większej integracji i konsolidacji wszystkich sił regionu, po to, aby pokazać się w Europie jako region o niezwykle bogatych tradycjach kulturalnych.

Warto dodać, że nasze tradycje i bogaty dorobek jest także dziełem części społeczności innych narodów. To jest bogactwo tego regionu. Nie można tej, czasem trudnej historii traktować jako obciążenia – przeciwnie, szukajmy jasnych i dobrych punktów – traktujmy je jako bogactwo. Z punktu widzenia analizy rzeczowej wielokulturowość wpływów niemieckich, czeskich, żydowskich, polskich a nawet rosyjskich jest naszym wielkim bogactwem, które możemy pokazać światu.

– To nie będzie łatwe. Obserwując dzisiejszą sytuację w Europie, trudno o jakieś optymistyczne perspektywy.

– To jest dobre pytanie i bardzo słuszna refleksja. Zawsze powinniśmy się zastanawiać, co dalej – także w skali makro. Natomiast niewątpliwie dzisiaj są takie możliwości, że silny ośrodek regionalny jest w stanie oddziaływać – także na inne regiony – nie tylko kraju, ale i całej Europy. Dzięki możliwościom komunikacyjnym i promocyjnym, jest to realne. Abstrahując od sporów dotyczących przyszłości Europy w kwestii struktury czy organizacji politycznej, będąc poza sporami natury systemowej, możemy tworzyć wizerunek naszego regionu jako regionu dynamicznego. To wydaje mi się całkowicie realne..

– Wspomnieliśmy o jubileuszu Muzeum Organów. A przed nami kolejny, wielki jubileusz, dziewięćdziesięciolecie istnienia Akademii Muzycznej.

– Tak. 2019 rok będzie rokiem obchodów dziewięćdziesięciolecia istnienia Akademii Muzycznej, która rozpoczęła działalność jako Śląskie Konserwatorium Muzyczne, przekształcone w Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną, a następnie, w 1979 roku, w Akademię Muzyczną. Przez wszystkie lata zachowana została ciągłość działalności struktury uczelni, działalności artystycznej i twórczej w oparciu o katedry, klasy pedagogów, którzy z pokolenia na pokolenie przekazują wiedzę i umiejętności. Oczywiście, przygotowujemy się do tego jubileuszu już teraz. Chcielibyśmy,

aby w ramach przygotowań do obchodów, wykorzystać bardzo dynamiczną promocję tej zasłużonej uczelni, aby ją jeszcze szerzej pokazać w Europie. Oczywiście promocja prowadzona jest przez cały czas, bowiem przyjeżdżają do nas studenci z innych krajów i jest ich coraz więcej, a to jest dla nas bardzo pozytywne zjawisko. Przy tym mamy świadomość, że to jest projekt wieloletni i długoterminowy.

– Podstawową działalnością każdej uczelni jest działalność naukowa i badawcza.

– Działalność naukową w przypadku dyscyplin artystycznych rozumiemy także jako szeroko pojętą działalność twórczą. Oczywiście, każda przestrzeń czasowa niesie nowe wyzwania. Cały czas musimy myśleć o tym, aby nasza uczelnia była atrakcyjna dla przyszłych pokoleń, które tu będą pracowały artystycznie, naukowo i będą kształciły kolejne pokolenia – miejmy nadzieję – wybitnych artystów. W ślad za tym powstają wizje nowych kierunków. Myślimy, aby dostosować ofertę do oczekiwanych profili kształcenia i wymogów formalnych. Będziemy się starali odnaleźć takie przestrzenie muzyki, które nie były do tej pory zagospodarowane od strony naukowo – badawczo – dydaktycznej. Takim obszarem jest na przykład, dotąd niezagospodarowana przestrzeń, jaką jest muzyka ludowa i folkowa. Dotychczas była badana jedynie jako zjawisko historyczne, w sposób wyłącznie muzykologiczny. Ale widzimy, jak wielkie jest zainteresowanie tą muzyką wśród kompozytorów a także odbiorców. Jest to przestrzeń, nad którą się trzeba będzie poważnie zastanowić. Można czerpać na przykład z doświadczeń węgierskich czy ukraińskich, gdzie kształcenie na instrumentach ludowych odbywa się w sposób usystematyzowany.

– Pewnie przełoży się to również na praktykę koncertową w Akademii Muzycznej.

– Nie wiem, czy w tym roku, ale musimy poważnie zastanowić się nad sposobami włączenia tej dziedziny w działalność naukową i artystyczną naszej uczelni.

– Na koniec pozwolę sobie wrócić do pana osobistej drogi artystycznej, która jak dotąd najsilniej związana jest z organami. W pana życiu pojawiły się też... orkiestry dęte.

– W pewnym momencie zainteresowałem się orkiestrami dętymi, ukończyłem podyplomowe studium dla kapelmistrzów, które kiedyś istniało przy naszej uczelni i miało bardzo duże zasługi dla kształcenia kadr dla orkiestr dętych. W ostatnich latach rozwinęła się bardzo dynamicznie swoją działalność nasza Akademicka Orkiestra Dęta, która na koncertach osiąga wielką liczbę wykonawców – to pewnego rodzaju ewenement na skalę krajową. Chodzi także o to, aby orkiestra dęta nie kojarzyła się tylko z graniem na festynach. To jest znakomita i bogata tradycja, którą można rozwinąć poprzez

bardziej koncertowe opracowania wielu utworów i wykonywanie ich przez wielką orkiestrę dętą, wykształconą i złożoną z profesjonalnych muzyków.

Natomiast w kulturze naszego regionu orkiestry dęte zawsze były bardzo silne i do tego zjawiska nawiązujemy, chociażby poprzez to, że dyrygenci czy kompozytorzy tworzą opracowania i aranżacje przeznaczone na wielką orkiestrę dętą. Chcielibyśmy, żeby taki zespół na stałe działał przy naszej uczelni, podobnie jak nasza wielka, akademicka orkiestra symfoniczna. To przejaw nawiązania do bardzo bogatej tradycji tego regionu.

– Podsumowując: muzyczność Katowic i Śląska ma wiele wymiarów – od muzyki organowej po orkiestry dęte. A czy pana zdaniem, istnieje swego rodzaju *genius loci* Katowic, które powoduje, że tytuł przyznany przez UNESCO jest faktycznie uzasadniony?

– Z pewnością, jeśli sięgniemy pamięcią do historii – znajdziemy znakomitą Filharmonię Śląską z wieloma wielkimi nazwiskami, wśród których Karol Stryja to największa osobowość poważanego na świecie człowieka, wizjonera, który pielęgnował to miejsce, dyrektora, ale i człowieka, który sam dla siebie był instytucją, którego możemy porównać chyba tylko do Herberta von Karajana w Berlinie. To był człowiek wielkiego formatu! A w Filharmonii działało przecież również wielu innych, wybitnych dyrygentów. Mamy w Katowicach NOSPR, przed laty znany jako WOSPRI-TV, niezwykle zasłużoną dla polskiej kultury muzycznej, a dziś postrzeganą jako jedna z najważniejszych orkiestr w Europie. Nieopodal Katowic – w Bytomiu jest Opera Śląska ze znakomitymi zespołami artystycznymi. W świątyniach znajduje się sporo bardzo dobrych organów, a koncerty muzyki kościelnej prezentują relatywnie wysoki poziom. W ciągu roku odbywa się niezliczona ilość koncertów w trzech salach – NOSPR, Filharmonii Śląskiej i Akademii Muzycznej. Liczna obecność melomanów na tych wszystkich koncertach jest fenomenem na skalę światową. Zawsze się zastanawialiśmy, czy przy tak bogatej ofercie, uda nam się przyciągnąć do Akademii ludzi na koncerty. Inni zastanawiali się, czy Filharmonia po renowacji będzie w stanie przyciągnąć ludzi, czy NOSPR będzie w stanie wypełnić wielką salę... Okazuje się, że tak, i wszystkie te instytucje znakomicie prosperują i uzupełniają nawzajem swoją ofertą koncertową. Dodając do tego wielką ilość koncertów organizowanych przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki SILESIA czy przez katowickie parafie, to rzeczywiście możemy powiedzieć, że żyjemy w miejscu, które jest fenomenem muzycznym. Przyznanie tytułu Miasta Muzyki Katowicom, a w symbolicznym sensie całemu regionowi, to znakomite ukoronowanie tych wszystkich działań.

– Dziękuję bardzo za rozmowę.

Cudzoziemcy w Częstochowie

W czasach ożywionej dyskusji o emigracji na arenie międzynarodowej, zwłaszcza europejskiej, rzadko zauważamy fakt, że Polska stała się schronieniem dla wielu Ukraińców, przyjazdy te szczególnie nasiliły się po wybuchu konfliktu zbrojnego na wschodzie Ukrainy w 2014 r. Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców od tego czasu liczba legalnie mieszkających w Polsce obcokrajowców zwiększyła się o 50 tysięcy, z czego ponad połowę stanowią Ukraińcy. A jak jest w Częstochowie?

Tutaj jest mój drugi dom

ELŻBIETA PISARCZYK

Emigranci nad Wartą

Obecnie w Częstochowie mieszka około tysiąca obcokrajowców zameldowanych na pobyt stały lub czasowy. Najliczniejszą grupę stanowią obywatele Ukrainy, spośród których 98 posiada stałe zameldowanie i aż 625 meldunek na pobyt czasowy.

Taką statystyką Częstochowa nie odbiega od trendów krajowych i wojewódzkich. Bo wśród cudzoziemców przebywających w Polsce największy odsetek to właśnie obywatele Ukrainy. Wystarczy spojrzeć na dane dotyczące obcokrajowców, którzy chcą pracować w Polsce. Okresowe raporty przygotowuje resort pracy i polityki społecznej. Można się z nich dowiedzieć m.in., ile osób, jakiej narodowości, w jakich województwach i sektorach gospodarki stara się o zezwolenia na pracę.

Zezwolenie na pracę

Te dane nie dają jednak pełnego obrazu. Powodów jest kilka. Jednym z nich jest fakt, że nie wszyscy muszą posiadać zezwolenie. Nie jest ono wymagane np. od tych, którzy mają status członka rodziny obywatela Unii Europejskiej, czy pobyt stały w Polsce, a wyjątków jest więcej. Po drugie, obywatele sześciu państw: Ukrainy, Rosji, Białorusi, Gruzji, Armenii i Mołdawii mogą pracować w Polsce przez pół roku bez zezwolenia. Wystarczy umowa i oświadczenie pracodawcy zarejestrowane w miejscowym urzędzie pracy. Resort wprowadzaje publikuje statystykę takich oświadczeń, ale uprzedza, że ich liczba nie musi być tożsama z liczbą cudzoziemców.

Jednak z danych resortowych można „narysować” pewien obraz. Dla przykładu – w pierwszym półroczu 2015 r. w Polsce wydano obcokrajowcom ponad 27 tysięcy zezwoleń na pracę, w tym po-

nad 20 tysięcy dla obywateli Ukrainy. Na terenie województwa śląskiego udzielono 710 zezwoleń, w tym aż 534 dla obywateli ukraińskich. Najwięcej z nich znalazło zatrudnienie w branży transportowej, budownictwie, handlu, rolnictwie. Kilku w nauce. Liczba zarejestrowanych oświadczeń obywateli Ukrainy rozpoczynających pracę w Polsce, jest jeszcze wyższa. W pierwszym półroczu 2015 r. na około 410 tysięcy oświadczeń obywateli sześciu wspomnianych państw, ponad 402 tysiące stanowiły oświadczenia ukraińskie. W naszym województwie w tym samym okresie na wszystkie oświadczenia przypadło około 13,5 tys. dokumentów ukraińskich.

Ukraińcy są też odnotowywani przez pośredniaki. Z danych Powiatowego Urzędu Pracy w Częstochowie wynika, że mamy zarejestrowanych 11 bezrobotnych obywateli Ukrainy.

Czym zajmują się cudzoziemcy w Częstochowie?

Pracują w instytucjach kultury, zakładach przemysłowych, jako pomoce domowe. Niewielu, bo zaledwie kilkunastu znalazło zatrudnienie w ISD Hucie Częstochowa, którą 10 lat temu kupił ukraiński Donbas. Liczba pracujących tu obywateli Ukrainy nigdy nie przekroczyła 30 osób, zatrudnieni są oni głównie na kierowniczych stanowiskach. Obywateli Ukrainy nie brakuje także wśród studentów częstochowskich uczelni państwowych. Na Akademii im. Jana Długosza uczy się 56 cudzoziemców. Najwięcej właśnie z Ukrainy, ale są też studenci z Białorusi, Rosji i Kazachstanu. Podobnie jest na Politechnice Częstochowskiej, gdzie w tym roku akademickim będzie studiować ponad 100 obcokrajowców, w tym wielu Ukraińców. Są oni też w grupie odwiedzających uczelnię w ramach wymiany. W marcu 2015 r. przyjechało na politechnikę 21 ukraińskich stu-

dentów, którzy uczestniczyli w rocznym programie stypendialnym „Polski Erasmus dla Ukrainy”.

Co pod Jasną Górą robią Włosi i Meksykanin?

Kto jeszcze, oprócz Ukraińców, zabiega o pracę w Polsce? W województwie śląskim odnotowano podobne tendencje jak w całym kraju. Z danych resortu pracy wynika, że w ostatnim półroczu wiele zezwoleń na pracę wydano m.in. obywatelom Chin, Indii, Uzbekistanu i Wietnamu.

Nieco inaczej przedstawia się sytuacja z oświadczeniami obywateli sześciu uprzywilejowanych państw. O ile w skali kraju, poza Ukraińcami, najwięcej oświadczeń zostało zarejestrowanych od obywateli Mołdawii, to w naszym województwie wyprzedzają ich obywatele Białorusi. Widać to także w Częstochowie, gdzie na pobyt czasowy zameldowało się 20 Białorusinów.

Taki meldunek ma też w Częstochowie aż 34 obywatele Włoch, chociaż w statystykach resortu pracy, mieszkańców Italii można szukać ze świecą. Skąd więc taka liczba w Częstochowie? Można przypuszczać, że ma to związek z firmami włoskimi, które działają na naszym rynku. To zarówno duże fabryki branży motoryzacyjnej takie jak CF Gomma i Brembo, jak i małe zakłady produkujące np. damskie torebki czy akcesoria do butów, jak również branża gastronomiczna.

Nieco mniej jest Rosjan: 11 z pobytom stałym i 11 z czasowym. Pobyt stały w Częstochowie ma także 13 obywateli Armenii. A czasowy 17 obywateli Turcji, 11 Wietnamu, 10 Niemiec.

Pozostali cudzoziemcy w Częstochowie to nieliczni przedstawiciele różnych państw. Są to obywatele: Albanii, Algierii, Austrii, Australii, Bangladeszu, Belgii, Brazylii, Bułgarii, Chin, Chorwacji, Czech, Danii, Egiptu, Ekwadoru, Estonii, Filipin, Francji, Ghany, Grecji, Gruzji, Hiszpanii, Holandii, Indii, Iraku, Iranu, Irlandii, Jordanu, Kamerunu, Kanady, Kazachstanu, Kolumbii, Korei Południowej, Korei Północnej, Kuby, Litwy, Łotwy, Maroka, Meksyku, Mołdawii, Nigerii, Norwegii, Pakistanu, Portugalii, Rumunii, Senegal, Serbii, Słowacji, USA, Syrii, Szwecji, Szwajcarii, Tajlandii, Tunezji, Turkmenistanu, Uzbekistanu, Węgier i Wielkiej Brytanii.

Cudzoziemców widać w biznesie, nauce, sporcie. W częstochowskim Rakowie gra dwóch Brazylijczyków i Słowak, w AZS podobnie – dwóch Brazylijczyków (w tym jeden z obywatelstwem francuskim) i Słowak. Na Akademii im. Jana Długosza jednym z doktorantów jest Meksykanin.

Walenty Brezicki

Mieszka w Polsce od około 10 lat. Na studia do Krakowa przyjechał z Ukrainy z okolic Żytomierza. Politologię na „Ignatianum” rozpoczął w 2007 r. Był rocznikiem eksperymentalnym, bo wtedy po raz pierwszy zaczęto przyjmować cudzoziemców. „Dobrze było na studiach. Wszyscy katolicy. A ja nie miałem większych problemów z językiem, bo je-



Walenty Brezicki

zyka polskiego uczyłem się w szkole podstawowej, gdzie organizowano nawet konkursy w języku polskim a laureaci wyjeżdżali w nagrodę do Polski”. Po ukończeniu studiów został w Polsce. Zamieszkał w Częstochowie, gdzie w 2011 r. znalazł pracę. Zaangażowanie w życie Duszpasterstwa Akademickiego czy chóru katedralnego, gdzie znalazł wielu przyjaciół pomaga mu przetrwać nostalgię za ojczyzną i rodziną. Na ulicach Częstochowy spotyka wielu swoich rodaków, zwłaszcza studentów.

Ludmiła Teslenko

Pochodzi z południa Ukrainy, z okolic Nikolaiewa. Ukończyła Zarządzanie na uniwersytecie w Odessie. Do Polski przyjechała 15 lat temu w poszukiwaniu pracy. Razem z koleżanką – pomimo ukończenia studiów – nie mogły znaleźć zatrudnienia w ojczyźnie (jak dodaje p. Ludmiła, już wtedy w 2001 r., na długo przed wybuchem wojny, na Ukrainie była wielka bieda) – postanowiły więc szukać szczęścia u swoich zachodnich sąsiadów. Wybrały się do Sieradza, ale przyjechały do Łodzi. Tam p. Ludmiła poznała swojego przyszłego męża, który pochodzi z Częstochowy. Po poślubieniu Polaka, nie od razu jednak otrzymała kartę pobytu. Na to przyszło jej czekać kilka lat. W tym czasie razem z małym synkiem musiała wyjechać na Ukrainę. Po otrzymaniu obywatelstwa polskiego wróciła do męża. W Częstochowie podejmowała różne prace. Od dziewięciu lat jest zatrudniona w Muzeum Częstochowskim.

Dobrze czuje się w Polsce. Ma tutaj, oprócz rodziny, znajomych, przyjaciół, koleżanki... „Polacy nie dają mi odczuć, że jestem Ukrainką. Nie spotykają mnie z tego powodu żadne przykrości, przeciwnie doznają życzliwości i pomocy” – mówi p. Ludmiła. „Polacy wyjeżdżają do pracy na Zachód, a ja mówię – zobaczcie jaka bieda jest na Ukrainie”.

Julia Wysoczańska

Jest absolwentką Politechniki Częstochowskiej. Do Polski przyjechała przed sześcioma laty po ukończeniu

Fot. archiwum Walentego

szkoły w rodzinnym Monastyrze koło Drohobycza. Wcześniej odwiedziła wujka w Częstochowie, który zaproponował jej studia na politechnice. „Potem przywiózł mnie ojciec, pobłogosławił i został” – mówi Julia. W tym roku ukończyła Zarządzanie Kadrami na Politechnice Częstochowskiej. Szukając zatrudnienia podejmując różne prace. Obecnie jestem nianią 3-letniej Marysi. W ciągu tych sześciu lat doświadczyłam od Polaków wiele życzliwości, dobrze mnie przyjmują. Tutaj jest mój drugi dom. Tutaj dojrzewałam, ponieważ gdy wyjechałam z Ukrainy miałam 17 lat. Pomaga mi w tym wspólnota „Ruchu Światło-Życie”, do której należę. We wspólnocie przeżywam wszystkie ważne chwile, takie, jak imieniny czy urodziny.

Mam nadzieję, że znajdę pracę w swoim zawodzie.



Julia Wysoczańska

Sergio Poliss

Przyjechałem do Polski i Częstochowy, ponieważ wcześniej studiowałem w seminarium, chciałem być księdzem (później zmieniłem zdanie) i wówczas mój Biskup z diecezji Odessko-Symferopolskiej na Ukrainie zdecydował, abym przez parę lat studiował w Polsce. Nie zabiegałem wtedy o polskie obywatelstwo, w tym czasie nie było to moim celem. Teraz, po zmianie decyzji, będę się o nie ubiegał. Zobaczmy, jak to się skończy.

Obecnie pracuję w Agencji Pracy Tymczasowej. Zatrudniamy na Ukrainie pracowników do pracy w różnych przedsiębiorstwach w Częstochowie i Krakowie. Stosunki z Polakami układają się całkiem dobrze.

Mam bardzo dobre relacje zarówno z kolegami, których mam z seminarium, jak i ze wszystkimi innymi ludźmi, których spotykam na co dzień. Szczególnie chciałbym podkreślić nastawienie i sposób zachowania się sprzedawców w sklepach. W porównaniu z Ukrainą są rzeczywiście bardzo uprzejmi. Chociaż nie należę do żadnych organizacji wiele mnie łączy z Katolickim Stowarzyszeniem Młodzieży. Rozpaczam starania o pobyt stały w Polsce.

Fot. archiwum Julii

Uchwałą Senatu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie rok 2016 jest Rokiem Konstantego Laszczki (1865–1956), rzeźbiarza, ceramika, medaliera, malarza, grafika, pedagoga i rektora Uczelni. Artystycznie zafascynowany, co tak wyraźne, czytelne, Augustem Rodinem, symbolizmem, sztuką ludową i mitami pozostawił znaczący ślad w sztuce młodopolskiego Krakowa, ale też dał się poznać jako oddany dydaktyk, bo pedagogiem był w niemiejszym stopniu niż twórcą. Wykaz jego uczniów obejmuje 193 nazwiska. Są wśród nich m. in. Xawery Dunikowski i chorzowski rzeźbiarz Reinhold Tomasz Domin – autor kilku pomników w mieście (np. Juliusza Ligonia, Adama Mickiewicza i Fryderyka Chopina). Z okazji Roku Laszczki w specjalnie wydanej przez krakowską ASP publikacji wznowiono niektóre z tekstów artysty, a wśród nich *Gawędy z uczniami*, które po raz pierwszy ukazały się w roku 1927 nakładem Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej. Ich treść to raptem niespełna czterdzieści stron, ale nawet teraz, po blisko stu latach, zdumiewa aktualnością w dzisiejszym bezideowym czasie traconych wartości, niszczonej zawiścią, a także biurokracją rozpanoszoną i rozrosłą na wyższych uczelniach do bizantyjskich rozmiarów, w dotkliwej pustce po mistrzach, których nie potrafią zastąpić nowe pokolenia, w pędzie do twórczości (choć tworzenie, którego pochodnym słowem jest przecież twórczość, wydaje się w tym kontekście sporym nadużyciem) coraz wymyślniejszych, nowych kierunków studiowania, służących czasem tylko rozpaczliwemu wabieniu studentów. Nieważne, co będą potem robili, i nieważne, czy potrafimy ich nauczyć tego, co im obiecujemy. Wszak gotowi jesteśmy znaleźć pomysły na zaliczenie przedmiotu nawet dla studenta, który ani raz nie był na zajęciach (tu dwa cytaty, student: „nie zauważyłem ich na planie”, profesor: „nie możemy dopuścić do tego, że nam się wykruszą”). Trzeba zrobić wszystko, by studentów nie stracić, no bo co to będzie, jak zabraknie godzin dla pracowników. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak wiele ważnych z punktu widzenia dobra uczelni, studenta, założeń buduje się, rozpoczynając od dymu z komina. I to nie w ujęciu Mistrza Staffa.

Nielatwo dziś znaleźć odwagę, by pamiętać słowa Laszczki: „Bez prawdziwego umiłowania jeszcze nikt niczego nie dopiął. Chcąc cokolwiek począć, trzeba pokochać szczerze, a wtedy pokona się wszystko, prześcignie się tych, którzy skarbu miłości nie posiadają. Miłość jest podstawą wszelkiej cnoty, czyni człowieka silniejszym i wytrwalszym nawet w znoszeniu trudów cielesnych, szlachetniejszym i odporniejszym”. To słowa i do profesorów, i do uczniów. „Bez serca, bez ducha – pisał Laszczka – bez marzeń i złudzeń, przesyleni nudą, wieczni grabarze radości, burzyciele wszystkiego, co zdrowe i piękne. Każde wzniósłe uczucie staje

Gawędy z uczniami... niemal wiek później (kilka myśli na początek roku akademickiego)



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

im na zawadzie, wszystko ich śmieszy i napawa szyderstwem. Zgraja ta przebiega z krańca na kraniec z krzykiem i hałasem, od czasu do czasu ukazując gminowi strzępy cudzych zdobyczy, podając ją za swoją, lecz tak okaleczoną przez handlarzy, że nikt prawie nie może jej pochodzenia”.

Uogólniam? Oczywiście, że tak! Wszak nie piszę o wszystkich... Ale obawiam się, że niestety teraz już o większości, wszak trudno liczyć tych, którzy pozostają niemi. Choroba – postępuje... Sprzyjają jej wiernopoddańcze zachowania w sprawie naukowych i dydaktycznych rozliczeń z dyrektywami płynącymi niepoohamowanym strumieniem z samej góry. Wymarzona przestrzeń dla technokratów nie potrafiących ocenić rzeczywistych wartości, indywidualności, ale zdolnych do tego, by z długopisem w rękę trzymać się najbardziej nonsensownych nawet wytycznych. Panie i panowie naukowego życia i śmierci. Urzędnicy „odtąd dotąd” odwróceniu od szerokiego horyzontu. Bezkarni (bronieni przez procedury) recenzenci. Z jaką precyzją mówi o tym wszystkim ks. prof. Michał Heller: „Wszyscy widzą nonsens dziejący się pod tym względem na naszych uniwersytetach i w instytucjach badawczych. I wszyscy pozwalają się wciągnąć w ten wysysający lej. Nie da się procesu nauczania i badania zamienić na klikanie w odpowiednie rubryki na ekranie komputera” (por. *Śmierć uniwersytetów. Rozum i siła inercji*. „Tygodnik Powszechny” 2012, nr 28, s. 16–17). Rzeczywistość to: sięgające absurdu zasady rozliczeń naukowego dorobku, patologiczne wręcz zbieranie punktów do awansów i arbitralne sądy coraz mniej kompetentnych i coraz śmielszych recenzentów, dokonywane w gruncie rzeczy bez jakiegokolwiek odpowiedzialności. To w ostatecznym rozrachunku także zwyczajny brak przy-

zwoitości. Rezultaty takich działań nie dadzą – obym się mylił – długo na siebie czekać. Będą przynosiły powolny zanik elit. Pamiętamy, do czego doprowadziła ich drastyczna i błyskawiczna likwidacja...

I jeszcze raz Laszczka: „Szkola ma obowiązek rozwijać zdolności każdego znajdującego się w niej osobnika i uspołecznic go, aby nie był ciężarem dla siebie samego, swoich bliźnich i całej ojczyzny”. I dalej, już na końcu *Gawęd...* pisanych wprawdzie o szkołach artystycznych, ale przecież trudno nie dostrzec, że odnieść można albo też raczej trzeba słowa te do wszelkich innych: „Nieraz nasuwa się pytanie, po co u diabła otwiera się u nas szkoły sztuk pięknych, skoro nikt nie interesuje się ludźmi, co się tam uczyli, ani ich pracą! Czyżby nie lepiej było mieć odwagę powiedzieć publicznie, szkoły pozamykać, bo tym sposobem uniknie się wielu przykrych nieporozumień społecznych? Jeżeli nas nie stać na krzewienie ducha, to musimy powiedzieć wyraźnie wszystkim tym, którzy się u nas rodzą z talentem, że dla nich miejsca nie mamy; inaczej bowiem bierzemy odpowiedzialność przed całym światem”. Dobrze jest uczyć się na mądrości autorytetów. Na własnych błędach boleśniej... Najgorzej jednak, gdy poranieni uczyć się już nie chcemy, gdy wygrywają lęk i rezygnacja, a w końcu obojętność.

Sprawę niestety ułatwia przesąd, że w przestrzeni nauki nie ma miejsca dla uczuć. Jednak rzecz nie tylko w bezduszności i zarozumiałstwie, skrętnie i często wykorzystywanym alibi kryteriów oraz rubryk, ale przede wszystkim w braku dbałości o prawdę, wartość słowa, uczciwość i troskę o innych, a także o wolność, bez której ani nauka, ani edukacja nie są możliwe.

Wybitny flecista Grzegorz Olkiewicz, związany niegdyś z Katowicami (absolwent tutejszej Akademii Muzycznej) wydał nakładem znakomitej firmy DUX dwie płyty CD zawierające wybór wybitnych utworów fletowych kompozytorów śląskich. Tak właśnie brzmi tytuł publikacji. Nagrane utwory, skomponowane przez przedstawicieli trzech pokoleń twórców (licząc według koncepcji Alfreda Lorentza, czyli biorąc po 30 lat na jedno pokolenie), zostały zestawione ze sobą na zasadzie kontrastu, stąd chronologiczne i stylistyczne zamieszanie. Gdyby jednak ułożyć je w kolejności powstawania, złożyłyby się na logiczny ciąg ilustrujący typowe fazy rozwoju polskiej muzyki XX wieku. W tym układzie na początku wysłuchalibyśmy dwóch niemal bliźniaczych utworów napisanych przez Bolesława Woytowicza (*Sonata*, 1952) i jego studenta Wojciecha Kilara (*Sonatina*, 1951). Obie (wykonuje je Grzegorz Olkiewicz z towarzyszeniem Teresy Baczewskiej) reprezentują „naiwną” odmianę neoklasycyzmu: są silnie osadzone w dziewiętnastowiecznym języku muzycznym i wypracowanych w tym stuleciu zasadach konstrukcji. *Sonata* Woytowicza wabi ucho „pastoralnymi”, słodkimi i nieco banalnymi melodiami, z których część jest oparta na ludowych rytmach tanecznych (echa kujawiaka w części pierwszej, zadzierzasty krakowiak na finał). Jej zaletą jest świetne opanowanie warsztatu kompozytorskiego – roi się tu od pomysłów konstrukcyjnych i fakturalnych, niemałą rolę odgrywa najbardziej profesjonalna z technik – polifonia. Znać też, że utwór pisał świetny pianista. *Sonatina* Kilara jest miejscami bardziej „niegrzeczna”. Część pierwsza ma charakter żartobliwy, w fakturze jest sporo efektów popisowych. Środek zajmuje ulubiona przez polskich neoklasyków kołysanka, finał zaś jest motoryczny, oparty na rytmie krakowiakowym, podobnie jak u Woytowicza. Partia fortepianu jest przez Kilara traktowana raczej podrzędnie, przez co utwór brzmi bardziej „cienko” niż *Sonata* jego pedagoga.

Pokolenie średnie, które rozpoczęło działalność u progu lat 60. XX wieku, reprezentowane jest na płycie przez Henryka Mikołaja Góreckiego, Witolda Szalonka i nieco młodszych od nich: Ryszarda Gabrysia i Aleksandra Glinkowskiego. Jak przystało na dekady podwilżowe, głównym wyzwaniem stało się dla przedstawicieli tego pokolenia przyswojenie estetyki i środków awangardowych. Trudno obserwować dzieje recepcji awangardy na przykładzie prezentowanych na płycie utworów fletowych wymienionych czterech twórców, gdyż powstawały

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

Utwory fletowe śląskich kompozytorów

one na przestrzeni ponad trzech dekad. Z początkowego etapu awangardowego przebudzenia muzyki polskiej pochodzą 3 *diagramy* Henryka Mikołaja Góreckiego. Młody twórca wypróbował tu Cage’owski pomysł formy otwartej, a narrację zapełnił mikroskopijnymi „zdarzeniami muzycznymi” à la Webern, rozplanowanymi w czasie na zasadzie kontrastu.

Witolda Szalonka *Głowa Meduzy* z roku 1992 to klasyk Szalonkowego sonoryzmu w jego wersji późniejszej, kiedy kompozytora zaczęły silnie interesować archaiczne brzmienia beskidzkich instrumentów ludowych. Znajdujemy się w kręgu ludowości pasterskiej, u źródła muzyki rodzącej się z tajemnego związku z przyrodą. Jest to najlepszy utwór z fletowej śląskiej kolekcji, oryginalny, imponujący czystością inwencji, genialnie zaprojektowany od strony dramaturgicznej.

Napisana specjalnie dla Grzegorza Olkiewicza *Syrinx Parku Starowiejskiego* Ryszarda Gabrysia (1986) czerpie inspirację, podobnie jak utwór Witolda Szalonka, z sonoryzmu. Wykorzystane zostały nietypowe sposoby wydobywania dźwięku, a także efekty wokalne. Dużą rolę pełni tu improwizacja.

Aleksander Glinkowski jest na płycie reprezentowany dwukrotnie: *Intermezem* na flet i orkiestrę kameralną (1983, partię orkiestrową wykonuje Orkiestra Kameralna Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Jana Wincentego Hawela) oraz *Dialogos II* na flet, wiolonczelę i fortepian (1986, na wiolonczeli

towarzyszy soliście Mirosław Makowski, na fortepianie gra Eugeniusz Knapik). Oba utwory należą już stylistycznie do innej epoki – odzywają w nich klimaty romantyczne, narracja jest spowolniona, quasi-medytacyjna, powraca zaufanie do „normalnego” brzmienia fletu i klasycznych faktur fletowych. Gdzieś tam słychać wyrażone echa muzyki Góreckiego.

Płytę wieńczą dwa młodzieńcze utwory Eugeniusza Knapika: *Sonata na flet solo* z 1972 roku oraz *Corale, Interludio e Aria na flet i orkiestrę kameralną* (1978 – na płycie wykorzystano nagranie z Orkiestrą Kameralną „Amadeus” pod dyrekcją Agnieszki Duczmal). *Sonata*, stanowiąca 8 pozycję płytowej kolekcji, jest nie lada wyzwaniem dla znużonego ucha. Jest to utwór szkolny, pozbawiony jakichś indywidualnych pomysłów i jakiegoś osobistego klimatu, stanowiący wszakże świadectwo intensywnej pracy młodego twórcy nad warszatem. W *Corale, Interludio e Aria* dostrzegamy już zarys indywidualnego stylu: pojawia się tu charakterystyczny dla muzyki Knapika dramatyzm, uzyskiwany tradycyjnymi środkami retoryki muzycznej.

Młodzieżowa orkiestra LYO

Na zakończenie festiwalu „Sierpień talentów”, zorganizowanego przez Instytucję „Silesia”, w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej wystąpiła (31 sierpnia) Lutosławski Youth Orchestra – zespół złożony z uczniów polskich szkół muzycznych, wybranych w drodze konkursu. Działa on od 2013 roku i corocznie realizuje trasy koncertowe, poprzedzone specjalnymi zajęciami, warsztatami itp. Tegoroczna trasa wiodła przez miasta śląskie i zakończyła się właśnie w Katowicach, a program występów obejmował *Koncert wiolonczelowy h-moll* Dwořáka (solistą był wybitny młody muzyk Bartosz Koziak), *V Symfonię Beethovena* oraz kompozycję zbiorową członków orkiestry utrzymaną w stylu popularnym. Dyrygował Adrián Varela – kapelmistrz pochodzenia urugwajskiego, wykształcony w Stanach Zjednoczonych. Gdybyśmy mieli do czynienia z orkiestrą profesjonalną, należałoby „powybrzydząć” na niewłaściwe proporcje brzmienia, a przede wszystkim brak płynności, który spowodował, że gry słuchało się jako ciągu oderwanych zdarzeń muzycznych, a nie dźwiękowej opowieści. Jednak w przypadku, kiedy uczniowie nie pracują ze sobą na co dzień, lecz zbierają się krótko przed trasą, osiągnięte wyniki należy uznać za dość dobre.



Wspomnienie o profesor Alinie Kowalskiej

(u źródeł przeszłości językowej Śląska)

BOŻENA CZĄSTKA-SZYMON, HELENA SYNOWIEC

W styczniu br. minęła 15. rocznica śmierci śp. profesor Aliny Kowalskiej – uczonej, która wniosła poważny wkład w badania śląskoznawcze, bez reszty oddanej służbie nauce i regionowi, wychowawczyni kilku pokoleń polonistów, wspaniałego człowieka.

Pamięć o Pani Profesor żywa jest nadal w śląskim środowisku polonistycznym (głównie językoznawczym) wśród starszego i średniego pokolenia. Do Jej dorobku naukowego odwołują się historycy języka, dialektolodzy i studenci, podejmujący w pracach dyplomowych zagadnienia przeszłości językowej, w tym gwary śląskiej. Katowiccy językoznawcy i ich współpracownicy z innych ośrodków poświęcili prof. Kowalskiej kilka tekstów wspomnieniowych oraz publikację monograficzną. Z dokonaniem tej Uczonej warto wszakże zaznajamiać szersze, nie tylko polonistyczne, grono odbiorców, po to, by uświadomić mu wagę badań historycznojęzykowych – opartych na rzetelnych i uczciwych analizach archiwalnych – dla zrozumienia współczesnego kulturowo-językowego zróżnicowania regionu śląskiego oraz dla przeciwdziałania, dość często upowszechnianym nieuzasadnionym, pochopnym opiniom o niepolskim rodowodzie śląskich gwar. Właśnie temu celowi ma służyć nasz artykuł, dedykowany pamięci profesor Aliny Kowalskiej. Czujemy się bowiem Jej uczennicami – to Ona wprowadzała nas podczas studiów filologicznych (wówczas w budynku Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego przy ul. Wita Stwosza w Katowicach) w tajniki gramatyki historycznej, dialektologii, także historii języka polskiego. Była też później krytyczną, lecz życzliwą konsultantką oraz recenzentką naszych artykułów oraz opracowań o dialekcie śląskim i słowniku gwary Górnego Śląska. Do dziś mamy w pamięci Jej rady i sugestie, a zwłaszcza zachętę do kontynuowania prac dialektologicznych. Spotkania wokół spraw śląskich i na pół prywatne rozmowy z prof. A. Kowalską sprawiły, że zaczęliśmy inaczej niż w latach studenckich postrzegać Jej osobę. Będąc studentkami, podziwialiśmy Jej wiedzę, uważaliśmy – tak jak inni koledzy i koleżanki – że jest osobą zasadniczą i powściągliwą w okazywaniu emocji. Wszyscy studenci darzyli Ją wielkim szacunkiem, niektórzy nawet czuli przed nią respekt. Była powszechnie ceniona głównie za profesjonalizm, rzeczowe i komunikatywne przekazywanie trudnej wiedzy historycznojęzykowej na wykładach (pewnie dlatego żartobliwie nazywaliśmy Ją *Komputerkiem*, choć częściej określaliśmy Ją familiarnie *Alinką*) oraz za sprawiedliwe, obiektywne ocenianie przy egzaminie.

Będąc już pracownikami Instytutu Języka Polskiego (którym później Pani Profesor również przez wiele lat kierowała), a następnie Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej, poznawaliśmy Ją w różnych, także nieoficjal-

nych kontaktach. Rozmawiała wówczas o codziennych sprawach, w sytuacjach trudnych starała się wspierać dobrym słowem, zawsze zachowywała dyskrecję, okazywała serdeczność i życzliwość. Bywało, że – jakby mimochodem – wspominała o swoich troskach i radościach, opowiadała o podróżach po Polsce i Europie (a odbyła ich wiele, była wytrawną turystką!).

Przeważały, oczywiście, naukowe i formalne kontakty z Panią Profesor (udział w zebraniach, konferencjach, dyskusjach). Pozwalały one „podpatrywać” Jej warsztat badawczy, który odzwierciedlał się wyraźnie w dorobku publikacyjnym. Znaczną część spośród prawie 100 prac poświęciła Ona dziejom języka polskiego na Śląsku. Fakt ten może zaskakiwać, ponieważ korzenie rodowe Prof. Kowalskiej nie były śląskie, lecz zagłębiowskie – urodziła się w Czeladzi, szkołę średnią ukończyła w Sosnowcu, po studiach w Uniwersytecie Jagiellońskim powróciła do rodzinnego miasta i na stałe tam zamieszkała. Zawodowo jednak związała się ze śląską uczelnią: najpierw Wyższą Szkołą Pedagogiczną, a od roku 1968 – Uniwersytetem Śląskim w Katowicach. Śląskowi służyła, prowadząc badania naukowe i kształcąc studentów. Jej rozprawa doktorska, przygotowana pod kierunkiem prof. Witolda Taszyckiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, dotyczyła problematyki śląskoznawczej – języka polskiego w księgach miejskich Tarnowskich Gór z 2. połowy XVI wieku. Zauważmy, że problematyka ta – ujmowana na tle języka ogólnego i w kontekście językowym innych regionów – interesowała w latach 60. i 70. głównie badaczy ze środowiska wrocławskiego (S. Rosponda i S. Bąka), a ponadto opolskiego (H. Borka) i krakowskiego (A. Zarebę). Warto nadmienić, że narzecza śląskie były w II poł. XIX w. podstawą pierwszych na terenie Polski zainteresowań gwaroznawczych (prace Lucjana Malinowskiego i Jana Bystronia). W 1909 roku ukazała się – dotąd jedyna – pełna monografia gwar śląskich autorstwa Kazimierza Nitscha. Pod koniec XIX i I połowie XX wieku gwarami śląskimi badawczo interesowali się autochtoni, głównie księża, m.in. M. Przywara, E. Nickel, P. Gołąb.

Zarówno rozprawa doktorska, jak i kolejne prace prof. A. Kowalskiej dowodzą, jak wielką wagę przywiązywała Ona w swoich badaniach do penetracji źródeł archiwalnych, dokumentów historii i językowych świadectw przeszłości utrwalonej w tekstach. Nie ograniczała się do podkreślenia, że to właśnie na Śląsku powstało pierwsze

polskie zdanie, wydano psalterz, pojawiły się pierwsze polskie modlitwy, ale podjęła gruntowne badania śladów polszczyzny w innych źródłach, docierała do materiałów sprzed kilku wieków – jako pierwsza ich czytelniczka. Niewykluczone, że wynikało to – jak zauważa w swoim szkicu Aleksandra Janowska – z wewnętrznej potrzeby studiowania „zagadek tkwiących w starych zapisach”. Dlatego prowadziła żmudne i czasochłonne poszukiwania w archiwach państwowych i parafialnych. Ekskercowanie materiału wymagało wielkiego wysiłku, a nawet ofiarności, m.in. „odszyfrowywanie” rękopiśmiennych źródeł i zapisów w księgach cechowych, parafialnych – miejskich i wiejskich, nie zawsze w dogodnych warunkach, zwłaszcza w zimie (w nieogrzewanych pomieszczeniach). Trzeba było niezwykłej siły woli, motywacji, odporności (także fizycznej), by przeprowadzić tego typu kwerendy w kilkunastu oddalonych znacznie od miejsca zamieszkania miejscowościach. Dzięki temu Badaczka odkryła dla środowiska śląskich językoznawców cenne dokumenty od XVI do XVIII i I połowy XIX wieku. Zgromadziła bogaty materiał językowy, który następnie opisała i zinterpretowała. Przedmiotem Jej penetracji były między innymi księgi cechowe w Toszku, Sośnicowicach, Gliwicach, XVII-wieczne rękopiśmienne akta miejskie w Bytomiu, akta miejskie i księgi sądowe w Tarnowskich Górach, a ponadto akta miejskie z lat 1674-1747 w Bieruniu, archiwalia pszczyńskie w języku polskim (od XVII do I połowy XIX wieku), Protokolarz albo tzw. czerwona księga miejska Mysłowic; ponadto archiwalia parafialne Bogucic, Chorzowa, Katowic, Lipin, Mysłowic, Piekar (księgi metrykalne, wśród których były akta sporządzone po polsku), protokoły posiedzeń zarządu stowarzyszeń, teksty ogłoszeń i zapowiedzi przedślubnych, inwentarze i umowy). Skrzętnie odnotowywała lokalizację badanych dokumentów i występujących w nich zjawisk językowych. Stały się one nie tylko podstawą analiz, opublikowanych przez Nią w licznych rozprawach, ale i skarbcem językowo-kulturowej przeszłości, z którego mogą korzystać badacze kolejnego pokolenia. Trzeba zaznaczyć, że charakterystykę górnośląskich archiwaliów w języku polskim oraz archiwaliów parafialnych Badaczka szczegółowo przedstawiła w oddzielnych artykułach. Opracowała też i przygotowała do druku obszerny (268 stron) zbiór pt. „Akta miejskie Tarnowskich Gór od końca XVI wieku do roku 1740”, zawierający cenny dla badań interdyscyplinarnych materiał źródłowy.

Była niezwykle skrupulatna w charakteryzowaniu bazy materiałowej – nie porzuciła na ustalaniu frekwencji form językowych (do danych ilościowych podchodziła ostrożnie), zawsze starannie je opisywała, a następnie konfrontowała je z materiałami pochodzącymi z innych regionów oraz z tekstami ogólnopolskimi. Prowadziło to do wiarygodnych wniosków, które pokazywały sytuację językową na Śląsku. Przykładowo: na podstawie analizy materiałów archiwalnych prof. Kowalska ustaliła, że w życiu publicznym Górnego Śląska polszczyzna stopniowo zdobywała należne miejsce od wieku XVI; jedną z pierwszych dziedzin, w której używano języka polskiego, była administracja miejska (szczególnie w małych miasteczkach wschodniej części Górnego Śląska).

Rezultaty rzetelnych badań materiałów archiwalnych znalazły pełne odzwierciedlenie w monografii pt. „Dzieje języka polskiego na Śląsku w okresie habsburskim (1526-1742)”, a w artykułach Autorka rozpatrywała wybrane aspekty zagadnienia, np. opisywała dialektyzmy w średniowiecznych rękopisach bytomskich czy księgach cechowych Toszka; terminologię prawniczą w szesnastowiecznych księgach sądowych Tarnowskich Gór i w księdze miejskiej Mysłowic z lat 1590-1762. Jej prace przekonują, że spośród archiwaliów księgi cechowe są cennym materiałem do badań nad przeszłością gwar śląskich, gdyż lepiej niż inne źródła rękopiśmienne odzwierciedlają dialektalną wymowę. Zapisów w tych księgach nie sporządzali bowiem pisarze zawodowi, ale majstrzy i czeladnicy, pochodzący z terenów Śląska, politycznie odebranego od Polski.

Z kolei kwerenda Badaczki w archiwach parafialnych przyniosła interesujący materiał nazwowniczy, pozwalający opisać procesy nazwotwórcze, ustalić różny stopień nasycenia tekstów właściwościami regionalnymi, przedstawić sposób adaptacji germanizmów (nazw zawodów i związanych z przemysłem) do systemu polszczyzny, odkryć w warstwie śląskich regionalizmów leksykalnych wyrazy staropolskie.

Na podstawie analizowanych archiwaliów prof. Kowalska próbowała zrekonstruować stan gwary śląskiej okręgu pszczyńsko-bytomsko-gliwickiego od XVI aż do połowy XIX wieku (gdy rozpoczęto na Śląsku badania dialektologiczne i folklorystyczne). Doszła do istotnej, popartej materiałem językowym konkluzji, iż większość cech gwarowych w śląszczyźnie stanowią innowacje charakterystyczne także dla innych gwar polskich. Na przestrzeni

wieków wzrastała liczba dialektyzmów o genezie archaicznej wskutek izolacji Śląska oderwanego od Macierzy. Pogłębiały się zatem różnice między gwara śląską a językiem literackim; w gwarze bowiem zakrepiły ślady dawnej wymowy i odmiany wyrazów, a także dawne ich znaczenia. Wpływy obce zaznaczały się w leksyce, związanej z rozwojem techniki i funkcjonowaniem niemieckiej administracji. Autorka zauważyła tylko niewielkie różnice między mową mieszkańców miast i wsi (w opowieściach ludowych spisanych przez L. Malinowskiego i w rękopisach rzemieślników miejskich występowały te same zjawiska gwarowe). Przywiązanie inteligencji do gwary okazało się silniejsze na Śląsku niż w innych regionach; znajomość polskiego języka literackiego nie była tu bowiem czynnikiem warunkującym awans społeczny – co mocno podkreślała prof. Kowalska. Gwara pozostała tutaj nie tylko podstawowym środkiem porozumiewania się, ale stała się oponentem wobec niemieczyzny.

Autorka poświęcała również uwagę problemom ogólniejszym, np. kształtowaniu się normy językowej w XIX-wiecznych dokumentach górnośląskich, uwarunkowaniom zewnętrznym (socjolingwistycznym, religijnym, politycznym) rozwoju polszczyzny śląskiej. Jej badania wyraźnie uzmysłowiły, że w archiwaliach odbijają się jak w lustrze: złożoność sytuacji językowej na Górnym Śląsku na przeło-

mie XIX i XX wieku, a także obraz życia kulturowego w parafiach (np. działalność bibliotek, amatorskiego ruchu śpiewaczego i teatralnego, polskich stowarzyszeń religijnych).

Opisując w artykułach losy polszczyzny na Śląsku w okresie pruskim, podkreślała rolę rodzimej gwary w podtrzymaniu więzi z Macierzą, akcentowała udział szkoły i duchowieństwa katolickiego w obronie języka polskiego, zwracała uwagę na przejawy troski o poprawność językową książek, wydawanych na Śląsku w II połowie XIX wieku. Wskazywała zasługi ks. Emila Szramka dla języka polskiego na Śląsku, a powołując się na jego publikacje, omawiała wkład księży: Norberta Bończyka i Konstantego Damrota w kształtowanie postaw patriotycznych na Śląsku. Doceniała też znacznie działalność ks. J. A. Ficka dla inspirowania życia kulturowego w regionie górnośląskim. Interesowały ją ponadto problemy piśmiennictwa popularnonaukowego w latach 1900-1922, a także teksty folkloru – tworzywo językowe górnośląskich pieśni ludowych ze zbiorów J. Rogera.

Nagle odejście prof. Aliny Kowalskiej przerwało pracę nad monografią o polszczyźnie śląskiej okresu pruskiego, która miała stanowić kontynuację publikacji o polszczyźnie na Śląsku w okresie habsburskim.

Syntezą śląskoznawczego nurtu Jej twórczości naukowej jest wydany po-

śmiertnie staraniem Jej brata, ks. Jerzego Kowalskiego, zbiór rozpraw pt. „Z badań nad dziejami języka polskiego na Górnym Śląsku”.

Po śmierci Badaczki ukazała się drukiem opracowana przez nią współautorsko książka o charakterze dokumentacyjnym „Protokolarz albo Czerwona Księga Mysłowic”, „tworząca – jak to określiła A. Janowska – swoistą kłamrę, spinającą dziesięciolecia zmuśnionej pracy nad dawnymi rękopisami”.

Profesor Alina Kowalska pozostawiła potomnym solidny warsztat pracy badawczej nad przeszłością językową Śląska – metodologię badań, zbiór dogłębnie zanalizowanych tekstów źródłowych, a przede wszystkim – przesłanie, by w dociekaniach naukowych dochować wierności prawdzie. Badaczka udowodniła, jakim językiem na Śląsku posługiwali się w przeszłości i rajcy miejscy, i rzemieślnicy, i księża, i ludzie zeznający w sądzie. Jej ogromną zasługą jest odsłonięcie prawdy o polszczyźnie regionalnej Śląska.

Profesor Alina Kowalska pozostawiła po sobie licznych uczniów śląskiej szkoły historycznojęzykowej. W nurt Jej prac wpisuje się też wydana niedawno publikacja historyka prof. Idziego Panica o języku archidiecezji śląskich do połowy XIX wieku „Jak my ongiś godali” (Kraków 2016). Miejmy więc nadzieję, że diachroniczne badania nad polszczyzną regionalną na Śląsku będą kontynuowane. ■

m:k

*W muzeach
nie wszystkie eksponaty
można zawsze oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych łamach.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.*



Wielkie Katowice były dość małe. Naprawdę powiększyły się po wchłonięciu okolicznych miejscowości. Przez to też rozrastała się ich historia. Dziś przykład – gospoda w Giszowcu.



JAN MIODEK

Soronie, przychlibki i asiki

Zapytany niedawno o typowo śląskie negatywne określenie ludzi, wymieniłem spontanicznie trzy rzeczowniki umieszczone w tytule dzisiejszego odcinka.

Z pierwszym z nich zetknąłem się jako dziecko we wspomnieniu Ojca z jego przedwojennych uczniowskich czasów w tarnogórskim Seminarium Nauczycielskim. Oto jeden z nauczycieli tegoż seminarium zmuszony został do uzupełnienia etatu w podstawowej szkole ćwiczeń. Po paru dniach praktyki pedagogicznej w ćwiczeniówce oświadczył krótko dyrektorowi: „Ja soroni uczyć nie będę” i... przeszedł na emeryturę. *Soron* (*sorón*), nieobecny w ogólnych słownikach języka polskiego, przywoływany we wszystkich gwarowych leksykonach, znaczy tyle, co „człowiek źle wychowany” (*Niy rób sie soróniym, prziwitej sie ino z gośćiami*), „odludek, człowiek stroniący od ludzi” (*Do nikogo niy lazi taki sorón*), „ktoś porywczy, narwany” (*Z mojigo Hyniusia sie taki zrobił sorón, że niy umia ś nim wytrzymać*) – informuje „Mały słownik gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. Słyszę go często w opowieściach uczestników corocznych zmagani konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”.

Słyszę też o *przychlibkach* (*przychlibkach, przychlibcach*), używanych na co dzień w czasach mego tarnogórskiego dzieciństwa, oznaczających „lizusów” (*Ta Ola to taki przychlibek, zaś sie dziejej przychlibiała pani od polskitygo*), czasem również „przymilne dzieci” (*Z tyj naszej wnuczki jest taki przychlibek – siado mi na klin i ściscko za kark*). Rzeczownik ten jest derywatem urobionym od czasownikowej podstawy *przychlibiać się* (*przychlibiać się*) – „podlizywać się, schlebiać komuś” (*Ty mi sie niy przychlibiej, ino sie lepij ucz. Niy ciyrpia tego synka, co sie tak przychlib-*

bio naszuj pani), „dogadzać” (*Chciałach sie przychlibić mojemu wnuczusio-wi – dziynniech mu warzyła kakao*). W stosunku do ogólnopolskiej postaci *przypochlebiać się* śląski wariant odznacza się brakiem przedrostkowej cząstki „po-”. Jej nieobecność utrzymana jest w formie rzeczownikowej *przychlibek* (*przychlibek*). Gdyby taka funkcjonowała w języku standardowym, miałaby z pewnością postać *przypochlebek*.

Przychlibianiu się i przychlibkom dorównywały w negatywnych emocjach słowa *asić się* „chwalić się, szczyścić się, wywyższać się nad innych, mieć o sobie wysokie mniemanie”, *asik* „wywyższający się nad innych” i – trochę rzadziej używana – *aska* „wywyższająca się nad innych”. *Co sie asisz?! niy aś sie!*, czyli „dlaczego się chwalisz, wywyższasz, robisz z siebie kogoś lepszego?”, „nie chwał się, nie wywyższaj się, nie rób z siebie kogoś lepszego!” – to konstrukcje, które odznaczały się bardzo dużą frekwencją. Znacznie mniej było *asików* i *asek*, grzeszących *aszeniem się* tak często, że doczekiwali się takiego stalego epitetu (ze szkoły podstawowej przypominam sobie... jednego). Można by z tego stosunku frekwencyjnego – trochę żartobliwie – wysnuć pozytywny wniosek, że Ślązacy tak często przestrzegają przed *aszeniem się* – „chwaleniem się, wywyższaniem się nad innych”, że nie dochodzi zbyt często do utrwalenia się tej cechy w zachowaniach jednej konkretnej osoby.

Gdy piszę te słowa, mam przed sobą książkę wydaną przez Archiwum Państwowe w Opolu w roku 2015 o rozbudowanym tytule „Ty bestyja! Ty kamele! Agresja językowa w polszczyźnie śląskiej (1845-1938). Wypisy źródłowe z akt sądów rozjemczych powiatu strzeleckiego przechowywanych w Archiwum Państwowym w Opolu” mojej dawnej studentki wrocławskiej Małgorzaty Iżykowskiej i Aleksandry Star-

czewskiej-Wojnar. Tytułowa *bestia* jest wyzwiskiem kierowanym pod adresem „złego, bezwartościowego człowieka”, a *kamela* (z niem. *Kamel* „wielbłąd”) – „człowieka wysokiego, wielkiego – zwłaszcza kobiety” (imię *Kamela* nosiła największa krowa w gospodarstwie mojej babci; baliśmy się jej, bo potrafiła postraszyć swymi potężnymi rogami). Do opisanego wyżej *asika* nawiązuje znaczeniowo zarejestrowany w przywołanym opracowaniu *chlubnik*. „Kobieta chuda, mizerna” to *chudyka*, a „brudas, flejtuch, także człowiek wykonujący swą pracę niedbale” to dobrze mi znany *ciarach*. Fonetycznie podobny *ciarlach* oznacza „człowieka obcego, nietutejszego, niegodnego zaufania, przybłądę”, a *fajnica* i *fajnioszek* – „kobietę strojącą się, dbającą – często przesadnie – o swą urodę”.

Czasownika *fanzolić* – „mówić niedorzecznie, bredzić, pleść głupstwa, mówić trzy po trzy, mówić bez sensu” – używam do dziś, a przejęła go również moja wrocławska rodzina. W książce opolskich autorek mamy rzeczownik *fanzol* określający „człowieka, który dużo i niemądrze mówi”. „Człowiek o dużych oczach lub je wytrzeszczający” to ekspresywny *galoń* (por. ogólnopolskie *galy* „oczy”), „człowiek ubogi, nędzarz” natomiast to *golorzyt*, nawiązujący do staropolskiej i doskonale na Śląsku znanej *rzyci* (*rzici*) – „d... y” (mój wrocławski profesor Stanisław Bąk – 1900-1981 – napisał przed laty artykuł o śląskim nazwisku *Rzitka*). Nie mogło, oczywiście, zabraknąć w przywołanej pracy *motyki* „kobiety lekkich obyczajów”, ale towarzyszy jej także w tym znaczeniu używana *gonica*.

Żywe wspomnienia wreszcie wywołał we mnie *haderlak* (*haderlok*) – „człowiek zbierający szmaty” (z niem. *Hader*), bo należę do pokolenia dobrze go pamiętającego, w funkcji pejoratywnej oznaczający „oberwańca”.



Uczestnikami panelu dyskusyjnego o muzyce w Chorzowie byli m.in. prof. Jan Szmatloch (z lewej) i prof. Julian Gembalski

Pod patronatem „Śląska”

Muzyka w Chorzowie

ANNA PIONTEK

Miasta muzyki – nie tylko Katowice... Tak mogłoby brzmieć hasło promocyjne Śląska. Regionu, którego tradycja i kultura od wieków były wyśpiewywane przez mieszkańców. Może to codzienne obcowanie z żywiołami ognia (huta) i ziemi (kopalnia) zbliżało Ślązaków do wartości pozazmysłowych i niewyraźnych, a tym samym do muzyki, która – jak pisał Aldous Huxley – „oznacza tylko samą siebie” oraz „po milczeniu – najlepiej wyraża to, co niewyraźne”. Myśląc w ten sposób o Śląsku i o muzyce, uzmysławiam sobie, że Chorzów – miejsce, które żyło w rytmie symfonii dwóch hut żelaza („Królewskiej” i „Batory”) – musi być miastem muzyki, przestrzenią sprzyjającą jej słuchaniu, tworzeniu i (wbrew rozsądkowi) mówieniu o niej.

Konferencja „Muzyka w Chorzowie” zrodziła się właśnie z myślenia o wartościach dla Śląska i dla świata lokalnego podstawowych, ale także z potrzeby powrotu do źródeł i do rozmowy – o historii i kulturze miejsca nam danego. 21 września br. Muzeum w Chorzowie stało się przestrzenią spotkania historyków, muzyków (teoretyków i praktyków), animatorów kultury i pasjonatów, którzy wspólnie zgłębiali różne płaszczyzny muzyczności Chorzowa. Nadmienić należy, że wydarzenie zostało objęte Honorowym Patronatem Prezydenta Miasta Chorzów oraz patronatami medialnymi: TVP3 Katowice, Radia eM, portalu Chorzowianin.pl, czasopism „Jazz Forum” i „Twój Blues” oraz oczywiście miesięcznika „Śląsk”.

Chorzów można scharakteryzować czterema hasłami: „Chorzów – miasto organów”, „Chorzów – miasto edukacji muzycznej”, „Chorzów – miasto jazzu” i w końcu najbardziej znane z nich: „Chorzów – miasto bluesa”. A zatem muzyka w mieście czy miasto w muzyce? Miasto uwikłane w muzykę?

W wystąpieniu otwierającym konferencję, prof. Julian Gembalski postawił tezę o ciągle niewykorzystanym potencjale chorzowskich organów. Zachowane w mieście – przynajmniej częściowo oryginalne – instrumenty są źródłem wiedzy o warsztatach trudniących się wykonaniem organów oraz o stanie parafialnych budżetów, a nawet sytuacji społeczno-politycznej. Szczególnie interesującym przykładem, omówionym przez Profesora, są

organy kościoła pw. św. Józefa w Chorzowie, zbudowane w 1907 r. przez firmę „Martin Binder und Sohn” z Regensburga. Do tej pory nieprzebudowany instrument jest szczególnie wartościowy ze względów muzycznych, technicznych, architektonicznych i historycznych. Profesor przypomniał, że organy są nie tylko elementem wyposażenia kościołów, instrumentem bądź (ze względu na kunstowne wykonanie i architekturę) dziełem sztuki, ale także narzędziem edukacji muzycznej wiernych.

To właśnie tematowi edukacji muzycznej poświęcone zostały kolejne dwa wystąpienia – konserwatora miejskiego Ryszarda Szopy i dr. Jacka Kurka. Prelegenci z odmiennych perspektyw omówili znaczenie dla miasta Szkoły

Muzycznej im. G. Fitelberga. Ryszard Szopa skupił się na architektonicznej wartości budynku placówki dla przestrzeni publicznej, specjalnie zaadaptowanego i przebudowanego na ten cel. Jacek Kurek z kolei odniósł się do kształtowania przez szkołę dwóch obszarów – edukacji i kultury muzycznej. Dodajmy: nie tylko Chorzowa, o czym świadczą kadra placówki i dalsze losy jej absolwentów, wśród nich Adama Buczka, Józefa Klyty, Stanisława Kotyczki, Joanny Kściuczuk-Jędrusik czy Grzegorza Spiry.

W jazzowej odsłonie konferencji wysłuchaliśmy dwóch wystąpień poświęconych kolejno: życiu i twórczości Zygmunta Wicharego oraz legendarnemu klubowi „Kocynder”. Prelekcja przybliżająca losy i artystyczną działalność „jazzmana z Wielkich Hajduk” związana była z przypadającą w październiku 50. rocznicą śmierci Zygmunta Wicharego. Autorka, dzięki zebranym źródłom oraz wspomnieniom, zwłaszcza córki muzyka – Darii, szczegółowo wyjaśniła wątpliwości dotyczące śmierci artysty, a także scharakteryzowała jego dorobek muzyczny i metody pracy, uzasadniając postawioną tezę o chorzowskich źródłach polskiego dixielandu. Następnie Jolanta Król przybliżyła historię klubu „Kocynder” z perspektywy osoby bezpośrednio zaangażowanej w jego działalność. Wystąpienie obfitowało we wspomnienia i anegdoty dotyczące pracowników klubu i występujących na jego scenie artystów. Jolanta Król zabrała słuchaczy za kulisy funkcjonowania „Kocyndra”, co pomogło zrozumieć jak wielką stratą dla chorzowskiej kultury było jego zamknięcie.

Nikt lepiej nie mówiłby o Chorzowie jako mieście bluesa niż Andrzej Matysik – redaktor naczelny kwartalnika „Twój Blues”, wyróżnionego najbardziej prestiżowymi w swojej branży nagrodami, jedynego ogólnopolskiego magazynu poświęconego muzyce bluesowej, a wydawanego właśnie w Chorzowie. W swoim wystąpieniu Andrzej Matysik przytoczył liczne przykłady – od Bluestracji przez Blues Alive, Front Porch Blues, czyli Lauba Pełno Bluesa aż po „Leśniczówkę” – dowodzące, że Chorzów jest najchętniej odwiedzanym przez gwiazdy bluesa miastem w Polsce i miejscem, do którego zjeżdżają miłośnicy tej muzyki. Wieloletnie bluesowe tradycje Chorzowa przemawiają za utworzeniem w mieście „Gruby Bluesa”, której otwarciu zaplanowano jeszcze w tym roku.

Ostatnie z konferencyjnych wystąpień – dr. Bogusława Tracza – przybliżyło zagadnienia związane ze śląską (w tym chorzowską) sceną muzyki alternatywnej lat 80. XX w. Prelegent szczegółowo zdefiniował pojęcie „alternatywy”, a także organizację i metody działania środowisk skupionych wokół tej sceny muzycznej. Bogusław Tracz wskazywał na kluby i miejsca w Chorzowie, w których grały zespoły, przede wszystkim zakładowe (przeczuwające swój upadek w latach 90. XX w.) domy kultury. Budząca estetyczne kontrowersje alternatywna scena muzyczna lat 80. jest niedocenionym przez historyków (i nie tylko) świadectwem swoich czasów.

Podczas konferencji poruszono tylko wybrane zagadnienia, by dodać, że muzyeczność Chorzowa wyraża się również w kompozycjach filmowych (Franz Waxman czy Hanna Schygulla), muzyce

klasycznej (m.in. Tadeusz Źmudziński), chóralnej (liczne chóry i aktywność na tym polu Rajmunda Hankego) czy działalności festiwalowej (obok wspomnianych już festiwali bluesowych, Międzynarodowy Festiwal Stróżów Poranka, Festiwal Jazz&Literatura czy wieloletni cykl koncertów Inne Granie). Zwieńczeniem spotkania w Muzeum w Chorzowie była dyskusja panelowa „Fenomen śląskiej muzyki” moderowana przez dr. Jacka Kurka. Rozmawiali: prof. Julian Gembalski, prof. Jerzy Jarosik, prof. Jan Szmatoch i Leszek Winder. Wszyscy uczestnicy dyskusji są związani nie tylko z muzyką (przez teorię i/lub praktykę oraz pasję), ale także (a może przede wszystkim) z Chorzowem i Śląskiem. Wsluchając się uważnie w wystąpienia prelegentów odnoszę wrażenie, że stanowiły one zaprzeczenie tezy – sformułowanej przy innej okazji przez prof. Aleksandrę Kunce – o tym, że Ślązak muzyki się lęka, gdyż „w muzyce człowiek się traci”. Rozmówcy wskazywali na różne inspiracje i sposoby wyrażania się muzyczności Śląska (od dźwięku po sztuki plastyczne, od grania amatorskiego po profesjonalne i instytucjonalizowane), ale przede wszystkim na jej zakorzenienie w śląskiej tradycji i w śląskich rodzinach – a zatem nie w lęku, lecz w miłości. Śląsk jako dźwięk drogocenny.

Uniwersalna refleksja o fenomenie muzycznym na Śląsku stanowiła wartość dodaną konferencji. Szczęśliwie dla nieobecnych organizatorzy przewidzieli publikację tekstów wystąpień. Czekając zatem na słowo drukowane i zachęcani tegorocznym spotkaniem w Muzeum, mamy nadzieję na kolejne konferencyjne i kulturalne odsłony Chorzowa – już nie tylko muzyczne. ■

KATOWICE

Miasto Ogrodów
Dawniej CENTRUM KULTURY KATOWICE

26.11.2016 r, godz. 18.00

TEATR CAPITOL



KTO WIDZIAŁ PANNĘ FLINT?

DONALD SPURCHWILL i PETER VELECEKIM
PRZEKRET NIE DOSKONAŁY

REŻERIA
ANDRZEJ BOŻYNI
KRAJOWA REŻERIA

edma.art
impresariat

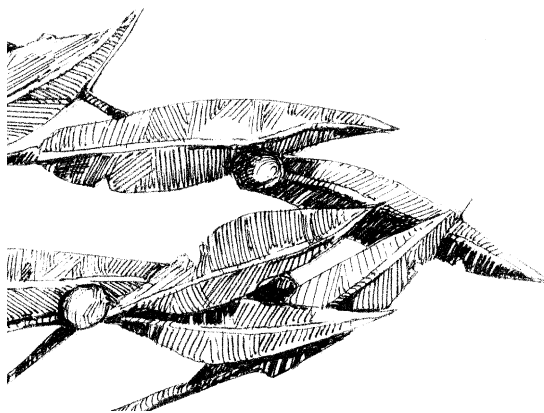
Patronat:

 **Silesia.info.pl**
FORUM I MEDIUM NA ŚLĄSKU

 **SLASK**

 **88.7 FM RADIO PIERZEWY**
na Śląsku
... w Chorzowie
... w Katowicach

 **JP NIERUCHOMOŚCI**
KATOWICE FILIA



Józef Wieczorek, 1928 r.

HENRYK MARZEC

Pan Józef

W Katowicach, przy ulicy Plebiscytowej, był przed laty sklep motoryzacyjny. Można w nim było kupić różne akcesoria samochodowe, głównie do fiata. A mnie było potrzebne boczne lustro do „malucha”, które oderwali mi „zbieracze”. No i przyjaciel, Funio Imielski, skierował mnie do tego sklepu. Dodał przy tym, że poznam w nim ciekawego człowieka – przedwojennego boksera, reprezentanta Polski, a później trenera – Józefa Wieczorka.

Udałem się do tego sklepu, kupiłem lustro i poznałem – Józefa Wieczorka. Nie przypuszczałem wtedy, że wkrótce rozszerzymy naszą znajomość. Wspomniany Funio Imielski – prezes okręgowego związku bokserkiego, wciągnął mnie do działalności bokserkiej. Po jakimś czasie zaproponował mi napisanie czegoś w rodzaju historii śląskiego boksu. Zadanie nie było łatwe, ponieważ nie było zbyt wielu dokumen-

tów związanych ze śląskim boksem przed 1939 r. Ale powstała publikacja, którą zatytułowałem *Drzewiej na ringu*. Podczas zbierania materiałów udałem się do wspomnianego Józefa Wieczorka. Okazał się wspaniałym informatorem, wiedział o boksie wszystko. On, a później także Maksymilian Gburski, też bokser w Policyjnym Klubie Katowice, dostarczyli mi ciekawych i istotnych informacji, a także zdjęć, dziś już histo-

rycznych. Ta skromna publikacja skłoniła mnie do dalszego zbierania materiałów. Efektem była publikacja z okazji 80-lecia Śląskiego Związku Bokserkiego, a następnie książka pt. *Na ringu, Leksykon śląskiego boksu*. Odtworzenie początków śląskiego boksu nie było by możliwe bez pomocy Józefa Wieczorka, a także Maksymiliana Gburskiego. Za to im wielkie dzięki.

Niezwykle bogate są początki boksu – bardzo popularnego sportu w regionie śląskim. Warto pamiętać, że 8 lutego 1923 r. zawiązał się Śląski Związek Bokserki i już tego roku, we wrześniu odbyły się pierwsze mistrzostwa Śląska, w których startowało 55 zawodników. I był to pierwszy turniej w Polsce rangi mistrzowskiej. Przypomnijmy, że dopiero w grudniu 1923 r. powstał Polski Związek Bokserki, a pierwsze mistrzostwa Polski odbyły się w połowie roku 1924 r., w których startowało 23 zawodników.

Wróćmy jednak do Józefa Wieczorka i jego dokonań sportowych. Swoją sportową przygodę rozpoczął niemal równocześnie z organizowaniem się boksu na Śląsku. Urodził się w Rybniku 19 września 1905 r. w rodzinie bardzo pozytywnie nastawionej do sportu. Starsi bracia działali w sportowych organizacjach. Władysław był jednym z założycieli Bokserkiego Klubu Sportowego w Katowicach, a w latach trzydziestych ub. wieku pełnił funkcję prezesa Okręgowego Związku Bokserkiego. Ryszard przez kilka lat był sekretarzem w okręgowym związku. Alfred z kolei wybrał sędziowanie. Miał więc Józef dobre wzory do naśladowania. Wybrał jednak boksowanie.

Miał 15 lat kiedy stoczył pierwszą swoją walkę. Namówił go do niej Jerzy Riszke, założyciel Prywatnego KS Katowice. Było to w połowie 1920 r. I tak



Drużyna Policyjnego Klubu Sportowego. Od lewej: Leon Pawlica, Franciszek Nowakowski, Wilhelm Cichy, Tadeusz Matuszczyk, Alojzy Kerner, Maksymilian Gburski, Teodor Wrazidło, trener Józef Wieczorek.

w ogródku restauracji pana Długajczyka przy placu Miarki w Katowicach, zmierzył się ze starszym o kilka ładnych lat znanym już w Katowicach bokserem o nazwisku Franke. Ku zaskoczeniu widzów, nastolatek posadził na matę rywala. Od tego momentu rozpoczęła się bokerska przygoda. Boks był popularnym sportem w śląskim środowisku. Na początku były to walki o charakterze pokazowym, a także i zawodowym, w których zwycięzcy otrzymywali pewne wynagrodzenie lub nagrody. Pojedyńki trwały od 4 do 9 rund. Walki odbywały się na cyrkowych arenach, podczas festynów, a także w ogródkach przy restauracjach. W takich walkach uczestniczył Józef Wieczorek, i to z dużym powodzeniem.

Na początku walczył w Prywatnym KS, który przekształcił się w Bokserski Klub Sportowy. I w tym klubie rozwinęły się bokerskie umiejętności Józefa Wieczorka. W latach 1929 – 1933 pięciokrotnie zdobył tytuł mistrza Śląska w wadze średniej. W mistrzostwach Polski miał trochę pecha. W jego wadze, w średniej, walczył jego główny rywal, wyśmienity bokser z Poznania Witold Majchrzycki. Ich pojedynki porывały widownię. Były niezwykle zacięte i wyrównane. Józef Wieczorek potrafił pokonać rywala w różnych zawodach, ale w turniejach o mistrzostwo Polski wygrywał Witold Majchrzycki. Dlatego Józef Wieczorek musiał zadowolić się tytułami wicemistrza kraju (1929, 1931).

Zespół Bokserskiego KS toczył zacięte pojedynki o drużynowe mistrzostwo Polski z Wartą Poznań. Czterokrotnie Bokserski KS musiał uznać wyższość Warty, zdobywając wicemistrzostwo. W 1931 r. Bokserski KS wygrał rywalizację. Mistrzowski tytuł, po kuluarowych machinacjach poznańsko-warszawskich, odebrano Katowiczanom ponieważ walczyli nieuprawnieni zawodnicy. Nie przyznano go nikomu.

Józef Wieczorek trafił do reprezentacji kraju. Nie miał szczęścia do rywali. Trafił ma czołowych bokserów europejskich. Przegrał m.in. z Tobeckiem i Teuerkaufem (Niemcy) i Kostriczem (Czechosłowacja). Wystąpił także w mistrzostwach Europy w Budapeszcie 1930 r. Trafił od razu na zawodnika gospodarzy Szigethiego. Była to dobra walka Polaka. Miał minimalną przewagę. Sędziowie przyznali jednak zwycięstwo Węgrowi. Po tym pojedynku Feliks Stamm, który prowadził naszą reprezentację, powiedział Józefowi Wieczorkowi – byłeś lepszy, ale nie znokautowałeś rywala, więc musiał wygrać Węgier.

Bokserski KS ze względów finansowych musiał się rozwiązać. Boks w Katowicach jednak nie upadł. Powstała sekcja bokerska w Policyjnym Klubie Sportowym. Wśród założycieli tej sekcji był Józef Wieczorek. Na początku jeszcze walczył, ale skoncentrował się

na szkoleniu młodszych kolegów. Szybko Policyjny KS stał się jednym z najsilniejszych klubów bokerskich w Polsce. Józef Wieczorek, jako trener, miał przyjemność pracować z wieloma medalistami mistrzostw Polski i Śląska, m.in. z Teodorem Wystrachem, Stanisławem Piłaten, Leonem Pawlicą.

Jako ciekawostkę należy przytoczyć, że w latach dwudziestych ub. wieku popularna była przyspiewka, traktowana jako nieoficjalny hymn Śląskiego Związku Bokerskiego, w którym potężny był ładunek patriotyzmu. Oto ona.

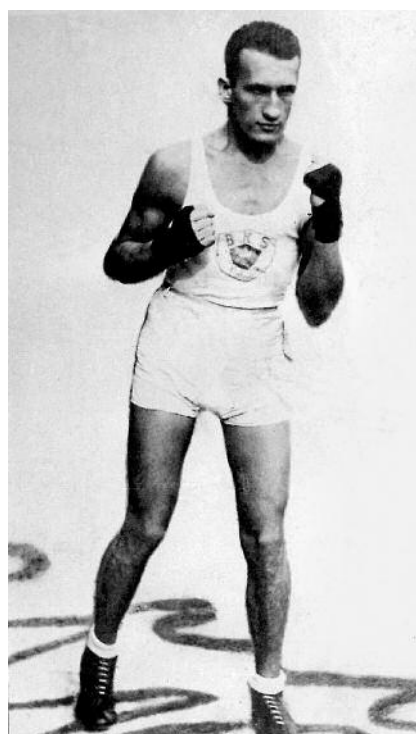
Niech się chwali stan bokerski,
mocnych ludzi Polsce trzeba.
Takich da nam szkoła boksu
oraz śląska czarna gleba.
Twarde kości, harde ciało
i duch niczym nieugięty.
Oto cechy są boksera,
Oto skarb jego święty.

A pragnienia? Laur dla Polski,
Dla barw Śląska medal złoty.
Imię swoje niosłeś w dal
pod dźwięk Konopnickiej roty.
Bokser to współczesny szlachcic,
to dzisiejszy stan rycerski
Wiwat przeto niech się święci
Dziarski, męski stan bokserki

Przyszła wojna. Jak wielu innych mieszkańców Śląska Józef Wieczorek został wcielony do armii niemieckiej. Trafił na front włoski. Był kierowcą poczty polowej. Pod Weroną zakończył służbę w niemieckiej armii. Tam dostał się na krótko do amerykańskiej niewoli. Następnie wstąpił do armii gen. Andersa. Po zakończeniu działań wojennych trafił do Wielkiej Brytanii. I tam podjął decyzję o powrocie do domu, do rodziny i bliskich, do Polski i na Śląsk.

W sierpniu 1946 r. powrócił do Katowic. Odradzał się śląski boks i Józef Wieczorek włączył się do działalności. Jego sportowe i organizacyjne doświadczenie okazało się bardzo pomocne w ponownej organizacji śląskiego boks. Nie miał łatwo. Śląski i powstańcy rodowód rodziny, członkostwo w przedwojennym Policyjnym Klubie Sportowym, służba w niemieckiej armii i na dodatek jeszcze u gen. Andersa, nie ułatwiały mu życia i działalności sportowej. Miał w związku z tym różne kłopoty. Nigdy jednak w naszych rozmowach nie chciał o tym wspominać. Miał swoje zasady, swój honor.

W środowisku bokerskim robił swoje, a robił to dobrze: szkolił zawodników różnych klubów. Często podejmował pracę trenerską w sekcji, która chyliła się ku upadkowi. I potrafił wyprowadzić ją na prostą. Pracował w Kolejarszu Katowice, Górniku Bogucice, Ruchu Radzionków, Górniku Katowice. To Józef Wieczorek przyczynił się do stworzenia bardzo silnej sekcji bokerskiej w ŁTS Łabędy, która zaliczała się do ścisłej czołówki krajowej.



W ciągu jego trenerskiej pracy przez jego ręce przeszło wielu zawodników, którzy odnosili cenne zwycięstwa na krajowych i międzynarodowych ringach. To Józef Wieczorek doprowadził Władysława Jędrzejewskiego do pierwszego tytułu mistrza Polski i walnie przyczynił się do jego olimpijskiej nominacji. U niego zdobywali bokerską wiedzę m.in. Piotr Guzy, Jan Brychlik, Andrzej Wojciechowski, Tadeusz Bauer, medalisci mistrzostw Polski i Śląska. Równocześnie przekazywał swoją wiedzę młodym i początkującym instruktorom. U niego praktykował m.in. Franciszek Kik, późniejszy trener reprezentacji Polski i wychowawca wielu dobrych zawodników.

Jest Józef Wieczorek niespotykanym rekordzistą. W swojej bokerskiej karierze stoczył aż 586 walk. Wygrał 457, zremisował 21, przegrał 108. Większość przegranych zanotował na początku swojej przygody z boksem. To niemożliwe, może ktoś powiedzieć. Taka jednak jest prawda. Tyle ma zanotowanych w bokerskiej księżeczce. Uzupełnijmy, że w latach dwudziestych XX. wieku walki bokerskie organizowano na Śląsku niemal bez przerwy. Uczestniczył w nich Józef Wieczorek. Bywało, że w ciągu jednego dnia walczył dwukrotnie, a w tygodniu zaliczał po 5-6 pojedynków.

Wszyscy, którzy się z nim zetknęli wspominają go bardzo ciepło. Był zawsze zdyscyplinowany i tego wymagał od swoich podopiecznych. Bez nerwów potrafił tłumaczyć i przekazywać elementy bokerskiej walki i poprawiać błędy. Był dla zawodników przyjacielem, a w wielu przypadkach ojcem.

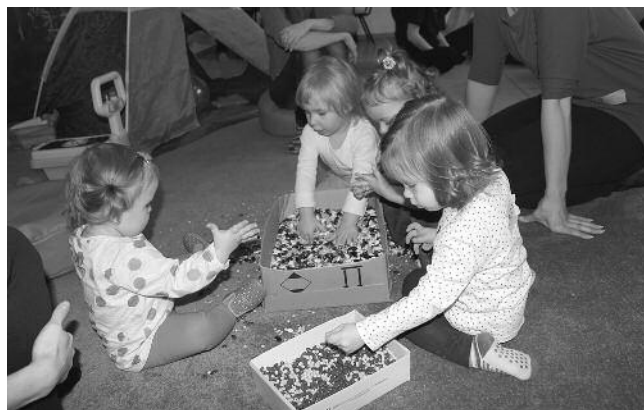
Biblioteka, skarbnica słowa Bpisanego, była uznawana przez wieki za niezwykle przestronną, przeznaczoną dla wybranych, nielicznych. Majestatyczne miejsce, w którym można było oddawać się lekturze dzieł oraz kontemplacji. Biblioteka i cisza to związane ze sobą skojarzenia. Czy współczesną bibliotekę odbiera się właśnie w taki sposób?

Jeśli mowa o bibliotekach specjalistycznych, naukowych – tutaj ciągle obowiązują cisza i skupienie. Natomiast biblioteki publiczne od wielu lat są swoistymi centrami kultury, miejscami, w dalszym ciągu wyjątkowymi, w których spotykają się ludzie o różnorodnych zainteresowaniach i upodobaniach. W księżnicy gromadzimy, opracowujemy i udostępniamy zbiory, zgodnie z potrzebami użytkowników, ale też organizujemy spotkania autorskie, wystawy, prelekcje, warsztaty czy koncerty. Zatem współcześnie cicha biblioteka publiczna byłaby – można powiedzieć – martwą biblioteką.

Nasza oferta jest zróżnicowana, zarówno pod względem formy, jak i tematu. Podejmujemy działania w przestrzeni bibliotecznej i poza nią, zawsze jednak są one związane z książką. Pracujemy z czytelnikami w każdym wieku. Organizujemy zajęcia dla seniorów, chętnie uczestniczących w warsztatach literackich, artystycznych, komputerowych. Nasze propozycje kierujemy także do ludzi aktywnych zawodowo, młodzieży oraz dzieci szkolnych i przedszkolnych.

Zdobywamy nowych użytkowników, by świadomie przemienić ich w czytelników. Poszukujemy nowych miejsc i grup docelowych, by popularyzować książkę i wyrobić nawyki czytelnicze. Zastanawiamy się, gdzie i dla kogo jeszcze można czytać, już nie tylko w samej bibliotece, ale też w centrach handlowych czy w parkach.

Dzięki udziałowi w projekcie „Cooltura książki”, realizowanym przez Bibliotekę Śląską, dotyczącym grup zabawowych dla dzieci najmniejszych (od kilkumiesięcznych po kilkuletnie – nieuczęszczających jeszcze do przedszkola), bibliotekarze znaleźli nowy sposób na popularyzację kultury czytelniczej. Przy ogromnym zaangażowaniu całego zespołu rydułtowskiej biblioteki



Grupy zabawowe to propozycja dla najmłodszych użytkowników biblioteki

Biblioteka Publiczna Miasta Rydułtowy im. H.M. Góreckiego

Jak zadbać o przyszłość bibliotek?

w lutym 2015 r. ruszyła inicjatywa pod nazwą: „Moliki książkowe”.

Do wspólnej pracy zaprosiliśmy dziesięcioro dzieci (najmłodszy uczestnik miał 3 miesiące) wraz z opiekunami. Nie spodziewaliśmy się, że przedsięwzięcie spotka się z takim zainteresowaniem. Cotygodniowe zajęcia gromadziły coraz liczniejszych obserwatorów, którzy zgłaszali chęć udziału w projekcie i zapisywali się na listę rezerwową.

Wypożyczalnia dla dzieci zmieniła swoje oblicze, stając się jeszcze bardziej przyjazna maluchom. Zabawy połączone z nauką, poznanie kształtów, dotykanie nieznanych przedmiotów, osvajanie się z obecnością innych dzieci i dorosłych – składają się na program nietypowych zajęć, służących szeroko pojętemu uspołecznieniu dzieci. W ramach klubu organizowane są też konsultacje ze specjalistami: fizjoterapeutą, logopedą, dietetykiem.

Nasze działania szybko zyskały rozgłos w lokalnych mediach. Artykuły oraz audycje radiowe i telewizyjne spowodowały co-

raz częstsze pytania o możliwość otwarcia kolejnej grupy. Sami też popularyzujemy naszą propozycję poprzez organizowanie zajęć otwartych i festynów.

Na prośbę rodziców we wrześniu 2015 r. utworzyliśmy drugą grupę zabawową „Wesołe nutki”, która spotyka się w rydułtowskiej Mediatece. Od tego roku – zajęcia będą się odbywać w trzech zespołach (w poniedziałki w Mediatece, w środy i czwartki w bibliotece centralnej). Bibliotekarze prowadzący grupy zabawowe muszą cechować się nie tylko ogromną kreatywnością, ale także odpowiedzialnością i dyspozycyjnością. Wiele zabaw ze względu na logistycznych i porządkowych nie może odbywać się w domu, dlatego też spotkania w bibliotece są tak atrakcyjne.

Uczestnicy grup zabawowych stają się automatycznie czytelnikami rydułtowskiej księżnicy, a rodzice – w ramach zadania domowego – są zobowiązani do czytania dzieciom. Dbając o wysoki poziom zajęć, promujemy bibliotekę oraz czytelniczość i przychodzimy z pomocą rodzicom. Pomiędzy opiekunami a bibliotekarkami zawiązują się przyjaźnie. Jest czas na naukę, zabawę, ale i na rozmowę. Zachęceni i zaktywizowani rodzice często sami stają się auto-

rami pomysłów i we współpracy z bibliotekarzem prowadzącym uatrakcyjniają przebieg zajęć.

Nie ukrywamy, że organizacja grup zabawowych wiąże się ze zmianami w funkcjonowaniu wypożyczalni dla dzieci. Musieliśmy ustalić harmonogram spotkań w bibliotece w taki sposób, by zajęcia dla najmłodszych nie kolidowały z całą gamą propozycji dla dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Zachęcamy inne biblioteki do zmierzenia się z tym zadaniem.

Dbając o najmłodszych użytkowników, zyskujemy przyszłych czytelników, dla których literatura będzie przewodnikiem, inspiracją do zabaw i nieodłącznym elementem życia codziennego. Przebywanie w przestrzeni bibliotecznej i wspólna lektura uczą najmłodszych, że do szczęśliwego i satysfakcjonującego życia niezbędna jest książka. Najlepiej ta wypożyczona w bibliotece.

BARBARA LASZCZYŃSKA



Do zajęć chętnie włączają się...



...opiekunowie



Pamięci Jerzego Moskala – człowieka teatru

22 września w dawnej siedzibie Centrum Scenografii Polskiej odbyło się spotkanie poświęcone pamięci Jerzego Moskala, który tę wyjątkową placówkę założył. Znakomity malarz, plakacista, grafik prasowy („kolaże” m.in. w *Poglądach*) i – a może przede wszystkim – człowiek teatru, scenograf. Spotkanie było sentymentalne, jak zwykle przy takich okazjach, kiedy dociera do nas wiadomość, że znowu nam kogoś zabrakło. Poza wspominkami pojawiła się jeszcze myśl, że jego wizerunek powinien znaleźć się w galerii artystów przy placu Grunwaldzkim. Choćby tylko za to, że dla pokoleń ocalił sztukę tak ulotną jak scenografia, która, mimo całej swojej świetności, znika z przeminięciem spektaklu. CSP, które jest oddziałem Muzeum Śląskiego, przez umiejscowienie się w budynkach dawnej KWK „Katowice”, samo w sobie stało się scenografią. ■



Znaki i twarze miasta





Śląski Wawel – Zamek Piastów Śląskich w Brzegu



Widok Zamku w Mosznej



Widok z Wyspy Pasieka na Kościół Franciszkanów w Opolu



Opolska Wenecja nad kanałem Młynówka



Jubileusz Jerzego Stemplewskiego

Jerzy Stemplewski – artysta fotografik, nauczyciel, kronikarz życia społeczno-kulturalnego Śląska Opolskiego, znana postać środowiska artystycznego obchodzi jubileusz 50-lecia pracy twórczej. Z wykształcenia jest mgr. inż. budownictwa, a z zamiłowania fotografikiem o reportażowej „duszy”, stąd bierze się jego długoletnia współpraca z licznymi tytułami prasowymi: *Nową Trybuną Opolską*, *Słowem Powszechnym*, *Katolikiem*, *Tygodnikiem Opolskim* i *Panoramą Opolską*, a obecnie również z *Gościem Niedzielnym* i miesięcznikiem *Śląsk*.

Od roku 1978 do 1993 był nauczycielem fotografii w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych im. Jana Cybisa w Opolu. Na początku lat dziewięćdziesiątych szerzej zainteresował się fotografią krajoznawczą – co zaowocowało wykonaniem dla Poczty Polskiej ponad trzystu wzorów pocztówek przedstawiających Opole oraz inne miejscowości województwa opolskiego. Na zlecenie Kurii Diecezjalnej w Opolu sfotografował wszystkie diecezjalne kościoły parafialne (blisko 400), ich zdjęcia zostały zamieszczone w *Roczniku Diecezji Opolskiej* z 1996 r. Fotografie wykonane przez Jerzego Stemplewskiego opublikowano w licznych książkach i albumach: *Zamek w Mosznej*, *Powódź tysiąclecia – Opole*, w lipcu 1997 roku, *Dzieje Ziemi Korfantowskiej*, *Nasza Mała Ojczyzna – Strzeleczyki*, *Wrocław – Opole* oraz w książce dr Joanny Banik *Rody Opolskie*. Jest również współautorem większości fotografii folderów reklamujących Opole i województwo. Jego zdjęcia zostały wykorzystane na pięciu pocztówkach prezentujących Opolszczyznę podczas Światowej Wystawy EXPO – Hannover 2000. Fotografie Jerzego Stemplewskiego ozdobiły również tak znaczące publikacje książkowe jak *Opole – 150 lat fotografii* Urszuli Zajączkowskiej oraz *Śląsk Opolski – dziedzictwo i współczesność* pod redakcją prof. Doroty Simonides. Jubilat jest członkiem ZPAP Polska Sztuka Użytkowa od 1996 r. Od pół wieku dokumentuje wydarzenia kulturalne regionu, fotografuje wybitne osobowości świata kultury i nauki, dzięki temu posiada unikalne zbiory ikonograficzne w swoim bogatym archiwum. Z okazji jubileuszu półwiecza pracy artystycznej Jerzy Stemplewski zaprezentował swoją twórczość dwukrotnie w galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu na wystawach: „Impresje kresowe – 2016” oraz „Opolskie w podczterwieni”, zdjęcia z tej wystawy publikujemy obok.



(jiw)



Villa Academica w Opolu

Dawno, dawno temu był sobie pan feudalny. Niestety jego włości spustoszyła zaraza. Pragnął zatem znaleźć nowych ludzi na miejsce starych osadników. Szczęście mu dopisało. Gdzieś tam, za górami, za lasami w krainie (jak się zdaje flamandzkiej) była miejscowość nawiedzana strasznymi powodziami, przez co jej mieszkańcy marzyli o jednym: żeby się stamtąd wynieść. I tak trafili do Polski (której zresztą wtedy nie było) i założyli Wilamowice. Od imienia wyżej wymienionego feudała. Przybyła do nas „mniejszość etniczna” była bogata. Zajmowała się kupiectwem, rzemiosłem, w tym tkactwem. To ostatnie nie jest bez znaczenia, bo wilamowianki były strojniami. Okoliczne kobiety miały właściwie dwa stroje. Ten na co dzień, do roboty w polu i drugi – lepszy, na niedzielę do kościoła. Wilamowianki miały inne spódnice na niemal każdy dzień tygodnia i jeszcze parę na różne święta. Sukna miejscowe ceniono tu najmniej. Modne było sprowadzanie materiałów zagranicznych (na przykład z Turcji, choć i paryskimi nie gardzono).

Niestety Pani Historia i tych „uchodźców” flamandzkich dopadła. Winien był język, absolutnie nie polski ani nawet słowiański. Trzeba ich było „zrepolonizować”. Już jednak w czasie II wojny światowej Niemcy uznali, że to bracia germanie, można ich zatem wcielić do Wehrmachtu. Po wojnie takie założenie przejęli komuniści, którzy zakazali mówienia po wilamowsku, bo to język niemiecki. Nieprawda. Kiedy słuchałem tej historii, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że już ją znam, że słyszałem o tym, jak wcielano Ślązaków przymusowo do niemieckiego wojska, jak ich repolonizowano, jak zwalczano posługiwanie się gwarą.

Udało się doprowadzić do tego, że język wilamowian znikł, przestał istnieć. Dzisiejsze pokolenie w wieku średnim praktycznie go nie zna. Coś się jednak stało. Mała Justynka siadywała pod stołem swojej babci, która ze swoimi koleżankami plotkowała po wilamowsku. Ze swojego doświadczenia wiem, że wiele słów niemieckich zrozumiałem, bo tym językiem mówili rodzice, kiedy omawiali jakieś sprawy „nie dla dzieci”. Wierzę więc, że dziecięca ciekawość pozwoliła młodej dziewczynce uzyskać dostęp do zakazanej mowy. Od starszych ludzi, od wiekowej rodziny uczył się też wilamowskiego Tymek.

To był początek poszukiwania odpowiedzi na pytania najważniejsze: Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy? I początek wspaniałej przygody. Sojusznikiem Tymoteusza okazał się stary nauczyciel. Zachował się zarys słownika. Znalazł się poeta zapisujący swoje odczucia i wiedzę w zapomnianym, zdawałoby się, języku. Tymek jest na studiach, specjalizuje się w bliskim sobie temacie. Z Justyną rozmawiają po wilamowsku (ćwiczenie czyni mistrza). Czasem prowadzi to do komicznych wydarzeń. Gdzieś w Belgii oglądali w sklepie koronki. Piękne. Ale drogie. O tym sobie rozmawiali. W tym momencie odezwała się nieocze-

Musieliśmy tu trafić. Przygotowując z red. Beatą Tomanek audycje z cyklu *Czy to prawda, że...* opowiadające o historii, kulturze, przyrodzie oraz rozmaitych ciekawostkach dotyczących regionu, byliśmy na to miejsce niejako skazani. Relację z tej naszej „wizji lokalnej” moja radiowa koleżanka opublikowała parę lat temu w *Śląsku*. Nie chcę jej powtarzać, więc swoje wspomnienie ująłem w formę bajki.



Zdjęcie: z archiwum

Striptiz w Bibliotece Śląskiej

BOGDAN WIDERA

kiwanie ekspedientka: „Po jakimu wy gacie? Bo ja wszystko rozumiem”!

Koronki, i to takie najlepsze, są elementem wilamowskiego stroju. Tymoteusz Król i Justyna Majerska nie ograniczyli się bowiem do reaktywowania zaginionego języka. Starają się ocalić także dobra należące do kultury materialnej. Przede wszystkim stroje ludowe, ale również narzędzia, sprzęty domowe, elementy wyposażenia mieszkań. Ich zbiory liczą się w setkach, czasem tysiącach. Zapytaliśmy, czy powstało jakieś muzeum zainteresowane ich zbiorami. Nie. Ekspozyty przechowują w swoich domach. „Póki nas rodzice nie wygnają”.

Z Beatą Tomanek robimy audycje radiowe, ale już od kilku lat, dzięki gościnności profesora Jana Malickiego, dyrektora śląskiej ksiąźnicy, spotykamy się w Bibliotece Śląskiej z naszymi słuchaczami. W tym miejscu chcę wytłumaczyć się z tytułu. W szacownej Sali Parnasos nie doszło do żadnej gorszącej rozbieranki. Wilamowianki nosiły zawsze sześć-siedem czepców (może czepków). Z nich to była rozdzielana Justyna Majerska, a pomagał jej w tym nie Tymoteusz (miał zajęcia na studiach), ale młodszy kolega i chyba uczeń. Okazało się bowiem, że sporo młodych ludzi chce poznać język swoich pradziadków. ■



Justyna Majerska



Tymoteusz Król



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Karpie z... opolskiego lasu

JOLANTA KARMAŃSKA

Hodowla ryb w stawach sięga czasów zamierzchłych. Prowadzona już była w starożytnych Chinach. Stamtąd przenieśli ją do Europy mnisi zakonni. W Polsce pierwsze stawy dla ryb hodowlanych budowano pomiędzy XI i XII wiekiem. Kilkaset lat później zagościli u nas na dobre. Niektóre z nich trwają do dziś.

Są wśród nich te należące do Gospodarstwa Rybackiego w Krogulnej na Opolszczyźnie. To prawdziwe królestwo karpia hodowlanego. Niezwykłego z wielu powodów. Choćby swoich związków z lasem, dziedzictwem kulturowym tego regionu, ekologią i wigilijną tradycją.

Historia Gospodarstwa Rybackiego Krogulna, należącego od 1958 roku do Lasów Państwowych, funkcjonującego w strukturze RDLP w Katowicach, sięga drugiej połowy XVIII wieku. Wówczas to książę Carl Christian Erdmann, spadkobierca pięknych, ale i dość podmokłych obszarów leśnych północnej części dzisiejszego województwa opolskiego, postanowił mądrze je wyko-

rzyścić. Osiedlił się tutaj. W 1748 roku założył osadę (później nazwaną Pokojem), z pałacikiem myśliwskim i promieniście krzyżującymi się alejami. Postanowił też dać miejscowym ludziom pracę, zlecając im kopanie stawów pod hodowlę karpia. Najwięcej ich powstało w okresie wojny siedmioletniej. Wkrótce też zrodził się pomysł stworzenia rozległego parku.

Te niezwykle w tamtych czasach przedsięwzięcia zapoczątkowały bujny, niezwykle rozkwit okolicy. I choć zabytków materialnych po czasach największej świetności pozostało niewiele, nie licząc zespołów parkowych, ewangelickiego i katolickiego kościoła czy cmentarza żydowskiego – to unikatowe dziedzictwo kulturowe i historyczne w gminie Pokój jest pielęgnowane w sposób szczególny. A gwiaździste założenie architektoniczne rozbudowywanej osady myśliwskiej, nabierającej z czasem charakteru miejskiej, obecnie z największym rondem w kraju, nadal pozostaje jej niepowtarzalnym wyróżnikiem.

Jednak najbardziej dobroczynnym, odziedziczonym walorem tego terenu pozostaje przyroda. Nieprzypadkowo przecież zarówno obszar 200-hektarowego zabytkowego parku w Pokoju, jak i całą gminę, objęto statusem Stobrawskiego Parku Krajobrazowego.

W jego granicach znalazły się istniejące tutaj rybne stawy hodowlane, których znaczenia przecenić nie sposób. Nie tylko z racji ich leśnej lokalizacji czy ozdowieńczego mikroklimat, czyste powietrze i ciszę.

Stawy książęce

Znakomicie funkcjonujące Gospodarstwo Rybackie w Krogulnej, jest jednym z dwu (obok tego w Niemodlinie), zarządzanych przez Regionalną Dyрекcję Lasów Państwowych w Katowicach. Jego zgrupowane w ośmiu obiektach rybackich stawy to 54 zbiorniki śródlądne, o ponad 660-hektarowej

Fot. Magda Grajner





Karp w roli głównej...

powierzchni rozlokowane na terenie kilku nadleśnictw, takich jak: Kup, Brzeg, Turawa, Namysłów i Strzelce Opolskie. Jeden z tych obiektów obejmuje dawne stawy książęce w samym Pokoju o nazwach: Zofia, Matylda, Fryderyka, Wera, Olga, Wilhelmina Augusta, Maria i staw Szwedzki.

Stawy rybne zasilane są głównie wodami ze zlewni rzeki Stobrawy, dopływu Odry. Ale nie tylko. Ich zasoby uzupełniają również wody z opadów i roztopów. Dlatego w sposób naturalny pełnią one rolę zbiorników retencyjnych na tym terenie. Magazynują wodę, pochłaniając jej wiosenny nadmiar. Często na Opolszczyźnie, ze względu na podtopienia. Chronią też przed powodzią jesienią, gdy są opróżniane. Równocześnie są wodopojem dla licznych tu zwierząt. Poprawiają mikroklimat, a także jakość wód poniżej stawu. Wzmacniają leśny ekosystem, wzbogacają przyrodę, jej bioróżnorodność i ... co nie jest bez znaczenia – są lokalnym atutem nie tylko miejscowej, ekologicznej gospodarki.

O środowisku naturalnym w Krogulnej, ze stawami hodowanymi w zielonym tle lasu, najlepiej świadczą rzadkie, chronione okazy roślin jak grzybień biały, grąźel żółty, salwinia pływająca, kotewka orzech wodny czy lindernia mularowa. I obecność ptaków wodno-błotnych. Bytują tu żurawie, bąki i gągoły; orliki krzykliwe i nieme łabędzie, dzikie gęsi, czaple białe i perkozy, bocian czarny i zimorodek. Zeruje też bielik zwyczajny, błędnie nazywany orlem i rybożerne kormorany.

Te ostatnie, podobnie jak wydry wyządzają niemałe szkody w stawach, w których bez wątpienia króluje karp. A przecież zdrowy las to także miejsce do życia dla wielu innych zwierząt jak choćby bobrów czy łosi.

Hodowla tej królewskiej ryby rozpoczyna się wiosną....

W rytmie natury

.... gdy wody roztopowe zlewni Stobrawy wypełnią stawy gospodarstwa. Zwykle w drugiej połowie maja, gdy temperatura osiąga 18 stopni Celsjusza jest najlepszy czas na tarło. Po kilku dniach odławia się tarlaki i przenosi w workach foliowych z tlenem do wybranych, obrośniętych trawą zbiorników i dokarmia. W ciągu jednego roku wyrasta narybek, który w drugim roku staje się krocziem. Dopiero po trzech latach jest gotowym karpem na sprzedaż. Odławianym w październiku i przechowywanym w specjalnych magazynach w drzemiącej postaci. Aż do wigilii i dłużej.

Warunkiem powodzenia takiej hodowli jest rygorystyczne pilnowanie reżimów hodowlanych, zakłócanych często złą pogodą czy nieodpowiednią temperaturą na każdym jej etapie.

To dlatego w stawach Krogulnej produkuje się w odpowiednich proporcjach także suma, szczupaka, węgorza, amura i tołpygę. Z korzyścią dla bioróżnorodności i... ekonomii tego przedsiębiorstwa. Sprzedaje ono nie tylko karpie handlowe, ale również materiał zarybieniowy do wylęgu krocza oraz pozostałe gatunki ryb słodkowodnych.

Produkcja samego karpia to 400 ton rocznie. Prawdziwe żniwa rybne rozpoczynają się, co oczywiste, przed wigilią Bożego Narodzenia. Wówczas krogulskie ryby, wyrastające na leśnych terenach, chronionych prawem ochrony przyrody, żywione pszenicą, czyli smacznym chlebkiem i najlepszym mięskiem

z dna stawu, trafiają do marketów Górnego i Dolnego Śląska.

Wraz z hodowlą karpia i innych ryb mu towarzyszących kwitnie interes Gospodarstwa Rybackiego w Krogulnej, z korzyścią nie tylko dla lokalnej społeczności. Dzięki wiedzy, pasji i pracowitości całej jego 22-osobowej załogi. Dobre gospodarowanie widać nie tylko w przepięknym otoczeniu stawów, ale i całym gospodarstwie rybackim.

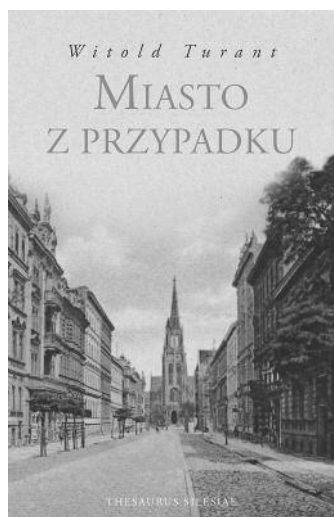
Janusz Preuhs, dyrektor w tym gospodarstwie, specjalista ochrony wód i rybactwa śródlądowego, wielki miłośnik i obserwator przyrody, związany z tym miejscem od 1979 roku, nie ukrywa, że w tak niezwykłych okolicznościach natury nie można inaczej gospodarować niż... możliwie najlepiej. I trzeba się tym dzielić. Dlatego jest ono również miejscem niezwykłej edukacji ekologicznej nie tylko dla odwiedzających je dzieci i młodzieży.

Jego zastępca Zbigniew Borek z dumą pokazuje gospodarstwo, które w optymalnym stopniu skorzystało z unijnego Programu Operacyjnego „Zrównoważony rozwój sektora rybołówstwa i nadbrzeżnych obszarów rybackich” w różnych jego wariantach. Żarówno pomocy finansowej na działania wodno-środowiskowe oraz tej na zrównoważony rozwój obszarów zależnych od rybactwa. Udało się też pozyskać pieniądze na zmodernizowanie placu służącego sprzedaży ryb i restrukturyzacji urządzeń technicznych gospodarstwa rybackiego.

Kto raz je odwiedzi, na pewno tu powróci, by zachwycić się pięknem tego miejsca i zobaczyć na własne oczy niezwykłą harmonię przyrody i gospodarki. ■



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach



Niewykorzystany demon przypadku

KSIĄŻKI

KATARZYNA KUROCZKA

Pierwszy raz jestem w sytuacji, gdy piszę o książce autorstwa osoby, z którą przyszło mi zasiadać przy tym samym redakcyjnym stole. Co więcej, była ona moim szefem; i jeszcze więcej – spuentowała w książce m. in. moje przyjscie do redakcji znamienym prorocstwem, przeczcuciem (?), iż zapewne nie zestarzeję się w tym zespole, ale może czegoś nauczę. Rzeczywiście nie zestarzeję się, a nauk wyniosłam mnóstwo, ale to już materiał na inną okazję!

Czytając *Miasto z przypadku* Witolda Turanta zrozumiałam jeszcze jedną prawdę, że Katowice muszą pozostać *in statu nascendi*, bo ta ciągła fluktuacja i towarzysząca jej tymczasowość, czasami prowizoryczność, które tak denerwują poszukujących solidnych korzeni oraz pejzaży estetycznie uporządkowanych, wykazujących szacunek do historii, dla wielu jest tym czymś, co przyciąga ich do stolicy Śląska z siłą magnesu.

Stanowiska były i pozostaną podzielone, bo od zawsze stali mieszkańcy poszukiwali trwałości, pewności, solidności, chcieli wiedzieć, że żyją w miejscu, które nie wyszło sroce spod ogona, ale zostało zbudowane wysiłkiem mięśni, intelektu i ducha, że mieszkają w metropolii, która nie przypomina niezamierzonej brudnej plamki na mapie świata, ale jest rozpoznawana także w innych szerokościach geograficznych jako urbanistyczny, gospodarczy i kulturowy fakt. Od zawsze też przyjezdni poszukiwali, owszem, z jednej strony jakichś majestatycznych zabytków, lokalnych ciekawostek, urokliwych zakątków, ale z drugiej jednak czegoś innego niż oferują im ich własne miasta, a więc braku przewidywalności, swoistego diabelskiego młyna, w którym widoki zmieniają się w opętanczym tempie i dostarczają wciąż nowych wrażeń, bo właśnie w celu doświadczenia silnych bodźców wybieramy się w podróż, wyjeżdżamy z najsłynniejszych nawet stolic, by przeżyć coś nowego.

Katowice do takiej właśnie turystycznej impresji nadają się bardzo dobrze. Kraków zwiedza się jak muzeum, w którym spocony turysta próbuje „zaliczyć” przynajmniej najważniejsze dzieła, by zrobić sobie przy nich obowiązkowe selfie. Po Katowicach wędruje się z nieustannym zadziwieniem, skąd w tym miejscu akurat taka kamienica, taki styl, tutaj turysta czuje się raczej jak bohater kolaży Szymborskiej. I to się może podobać, zwłaszcza młodym i znudzonym miastami-mu-

zeami. Ale to może też denerwować, szczególnie stałych bywalców, którym niedziwne są już wszystkie kontrasty, którzy nie dostrzegają w nich niczego magicznego, a raczej zwykły urbanistyczny nieład powstały przez nagromadzenie setek przypadków przez półtora wieku miejskiej historii Katowic.

Turant pozostaje trochę na skrzyżowaniu obu stanowisk – zachwyca się i równocześnie próbuje urwać, jak sam to określa. Penetruje poszczególne dzielnice i zaułki, nakładając na ich topograficzny opis tkankę osobistych wspomnień i przeżyć, a zarazem co chwila ucieka i z samego miasta za jego granice, a nawet kraju, i z głównego ciągu narracji w dygresyjne rozważania. Książka Turanta jest z tego powodu podobna do swego głównego bohatera – czasami wydaje się być zbiorem przypadkowych refleksji, traci spójność, po czym znów ją odnajduje, jest nierówna niczym katowicki krajobraz. Być może taki był zamiar autora, a może miasto to wciąż wymyka się literaturze, choć było już kilka prób poskromienia go? Trzeba tu wspomnieć chociażby *Dysharmonię caelestis* (2004) Feliksa Netza, *Katowice-blues czyli Katowitzer-Polkę* (2010) Henryka Wańka, *Wieżę spadochronową* (1947) Kazimierza Gołby, *Przygodę na Tylnej Mariackiej* (2009) Witolda Turanta, *Spotkanie z jutrem* (1962) Aleksandra Baumgardtana, *Siedem krów tłustych* (1962) Marii Klimas-Błahutowej, *Piątą stronę świata* (2010) Kazimierza Kutza, *Czarny ogród* (2007) Małgorzaty Szejnert czy *Czas beboka* (2015) Richarda A. Antoniusa. *Jak Niobie... – opowieść górnośląska* (2016) Alojzego Lyski także zahacza o Katowice, a niedawno Lech Majewski podjął się z kolei ukazania pewnego niechlubnego fragmentu katowickiej rzeczywistości w niewielkiej książeczce *Mariacka 5* (2016). I choć Tadeusz Kijonka od lat postuluje, by ogłosić konkurs na powieść o centralnej metropolii Górnego Śląska, gdyż taka według niego dotąd nie powstała, ja osobiście cennie najbardziej opasły tom Antoniusa *Czas beboka*, utrzymany w surrealistycznej konwencji.

Biorąc pod uwagę obraz, jaki wykreował Turant w swoim zbiorze wspomnień, a więc pewną przypadkowość wpisaną w DNA miasta, przemieszanie stylów architektonicznych i fakt, iż zaskoczenie jest niejako drugim imieniem Katowic, surrealistyczna poetyka wydaje się być najlepszym wyborem. Oprócz Antoniusa sięgnął po nią w równie udany sposób Netz w *Dysharmonii...*, szczególnie w rozdziale *Wyjście z kotliny dinozaurów*. Także w recenzowanym tomie można odnaleźć nieliczne fragmenty z elementami onirycznymi czy fantastycznymi, zwłaszcza tam, gdzie autor opisuje swoje sny czy dziecięce marzenia, ale aż prosi się, by było takiej narracji więcej. Oczywiście nie czynię z jej braku zarzutu formalnego, gdyż mam świadomość, że pisarzowi chodziło raczej o stworzenie swego rodzaju pamiętnika, zbioru wspomnień czy nawet esejów, jednak dostrzegając lekkość jego pióra oraz skłonność do żartów, przeczuwam, iż byłby w stanie opisać Katowice także surrealistycznym językiem i wtedy być może rozprawiłby się z mackami przeszłości, które tak natrętnie go oblaśniają, nabrałby większego dystansu i nie musiałby się obawiać wpadnięcia w intonację regionalnego piewcy, która wobec ogromu literatury sakralizującej śląskość wydaje się szczególnie niebezpieczna i irytująca.

Hagiografii, martyrologii, wiców, berów i bojek mamy już wiele, ale brakuje nam obrazów surrealistycznych, onirycznych, absurdałnych, groteskowych, brakuje Śląskowi pióra, które byłoby w stanie udźwignąć taką narrację. Antonius, który podjął próbę, jest spoza regionu, a Szczepan Twardoch, którego *Dracha* ktoś mógłby wskazać jako utwór najbliższy moim postulatom, podąża o wiele bardziej w stronę brutalizacji języka, a to zupełnie inna konwencja. Katowice czekają więc nadal na kogoś na miarę Michaiła Bułhakowa, kto zamieni demona przypadku w postać formatu Wolanda.

Witold Turant: *Miasto z przypadku*. Katowice 2016, ss. 239.



Jedynie skóra pachnie poezją

KSIAŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

Powiedzieć o Henryku Cierniak, że lubi posługiwać się pastiszem, to tylko część prawdy, która zubożyłaby wymowę wierszy zamieszczonych w tomiku *Wydmuszka*. Wprawdzie już otwierający książkę tekst *Introdukcja. Wieczór pana Henryka* jest przewrotnym, autoironicznym opisem spotkania autorskiego – w domyśle samego poety – wypełnionym schematycznymi cytatami z mowy potocznej i językowymi sloganami, które dzięki intencjom autora ostrzegają przed myślowymi banałami i stereotypami oraz jednostronnym postrzeganiem rozmów z czytelnikami. Henryk Cierniak posuwa się nawet do odwołań do wirtualnego świata internetu i w zakończeniu sugeruje lajkowanie. W całym słownym i pojęciowym galimatiasie można jednak w wierszu wyłowić i odrobić szczerości, zwłaszcza gdy poeta pisze: „jedynie skóra – mówi autor – pachnie stuprocentową poezją / każde zaś wnętrze śmierdzi wnętrznościami i wychodkiem”. I mogłoby stać się to stwierdzenie mottem jego poezji, bo podział na skorupę i to co w niej, powtarza się w skądinąd udanym wierszu *Wydmuszka*. Jednak pojęcie wnętrza nie ogranicza się tylko do niezbyt przyjemnie kojarzących się organów wewnętrznych, lecz poszerza się o sferę uczuć i piękna, należących już do strefy zmysłów i umysłu. Ciało pozbawione ogrodów miłości i erotyzmu jest dla podmiotu lirycznego tego wiersza tylko tytułową wydmuszką.

Mógłby zatem stać się ów podział na psychikę i ciało przewodnikiem po poezji Cierniaka, ale byłby wrzuceniem jego twórczości w kolejny schemat, bo nijak nie pasuje do tego strychulca na przykład wiersz *Modlitwa*, w którym autor podejmuje polemikę z fikcyjnym światem filmu i swoistym fałszywym *sacrum* stworzonym przez telewizję. W tym tekście poeta nakłada na siebie obrazy filmowych aktorów Johna Wayne’a i Clinta Eastwooda oraz sceny potwierdzające prostą moralność kinowych idoli. Brutalne, prostackie rozwiązania służące zaprowadzaniu prawa rodem z kinematograficznych scenariuszy nakładane na obrazy zapamiętane z rzeczywistego świata wzbudzają bunt autora wyrażony w wersach: „patrzeć już się nie da / jak ciągle pokazują nam dobrych ludzi / wijących się w bólu / jak przypalane robaki”. I to wyczulenie na filmowy falsyfikat sprawiedliwości oraz błędną świętość postaci odgrywanych przez aktorów nakazuje Cierniakowi spuentować ten wiersz: „gapiąc się na figury na ołtarzu

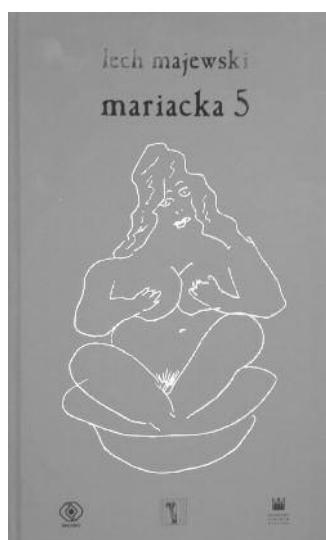
/ przed snem o to co zrobić masz z nimi, Harry / każdy z nas modli się żarliwie”. Niejedyny to zresztą wiersz z tego tomiku nawiązujący do hollywoodzkich fabuł. Do takiej grupy tekstów należą jeszcze *Scenariusz* czy *Odłot na waltorniach*, chociaż ten ostatni bardziej poświęcony jest muzyce Mozarta.

Zresztą przywiązanie do form ze świata kultury przejawia się w poezji Cierniaka nie tylko poprzez kinematografię i muzykę. Obecne są i okowy literatury oraz malarstwa. Oto jak poeta opisuje w swoich strofach, obraz – którego reprodukcję zamieścił w książce – namalowany przez syna Beniamina, studenta gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych: „na trotuarze w podwórzu / niespiesznym ogniem płonie / codzienne życie / ja widzę tylko / odłupane tynki / ale pokazał mi syn”. Natomiast poetyckie fascynacje Henryka Cierniaka – anglisty i tłumacza – widać w wierszu *Grundy*, którego pastiszowy charakter mocno przytłumiony przez wierszowaną inwencję autora gubi się i bardziej staje się angielski wierszyk o dniach tygodnia wyznaczających rytm żywota inspiracją oryginalnego utworu. Świat widziany w tekście *Grundy* w konwencji domku lalek wcale nie traci okrutnego oblicza bezwzględnego niszczyciela zabawek i ludzi. Podobne urzeczowienie człowieczych bytów pojawia się w wierszu *Suknie i marynarki*, w którym pobrzmiwają dalekie echa znane z twórczości Wisławy Szymborskiej. Czyż muzealna suknie, która tak bardzo chciałaby żyć dłużej niż ludzkie istnienie, nie przypomina Cierniakowych sukienek i marynarek? Pomyśl niby ten sam, ale jednak realizacja słowna inna, co ratuje przed posądzeniem o plagiat. Oto dowód: „wisielce twoich sukien smutne jak moje / sportowe marynarki ukrzyżowane na wieszakach / chorują z braku tlenu i czułości”.

Może więc kluczem do otwarcia skarbcza znaczeń wierszy autora zbioru *Wydmuszka* jest wspomniane zafascynowanie związkami kobiety i mężczyzny, bo po lekturze nikt nie ma wątpliwości, że poeta jest heteroseksualny, o czym świadczą choćby takie strofy z wiersza *W zawieszaniu*: „czy ja jeszcze jestem z tą kobietą / z którą byłem na pierwszym roku / czy już może chodzę z tamtą drugą / którą tak samo dręczyłem / i która dała mi dzieci”. Mamy tu postać niezbyt stałego w uczuciach mężczyzny, rozpamiętującego po latach własne życie. Pojawia się w wierszu *Pochodnia* i kochanek spalający się w namiętności zmysłów i przemawiający w lirycznym wyznaniu do ukochanej, ale zdający sobie sprawę z cielesności własnych doznań: „proszę nie przestawaj się podniecać / widzę jak z wnętrzości / ordynarnie wyciekają jakieś soki”. Nie brak jednak w miłosnych wierszach Cierniaka i tęsknoty za metafizycznym spełnieniem, wiecznej tęsknocie za androgynicznym zespoleniem ciała i dusz partnerów o odmiennej płci. Takie podskórne marzenie zawarte jest w wierszu *Physis*, gdy autor pisze: „najważniejsze jednak / że tak do mnie pasuje / każdą wypukłością / i każdym wgłębieniem / i nie chodzi wyłącznie / o jej piękne ciało”.

Nie sposób także pominąć obecnego w tekstach Cierniaka – wręcz ekologicznego – zauroczenia światem przyrody. W wielu wierszach dostrzec można zachwyt śpiewem kosów, smakiem śliwek, wyglądem drzew i łąk oraz latem – najpiękniejszą porą roku. Wszecchobecna natura współistniejąca obok przemysłowych produktów: asfaltowych dróg, samochodów, betonowych domów zdaje się mieć przewagę nad wytworami ludzkich umysłów. Piękno naturalnego krajobrazu skłania poetę do tworzenia w prostych słupkowych wierszach – jak chociażby w tekście *Lato 2014* – intrygujących metafor w rodzaju: „spienione kufle obłoków” czy „z chmur na park zrzucony / warkocz ścieżek rozplata się”. Z tej fascynacji bierze się też zapewne chęć przeistoczenia się w rybę i powrót do wodnego prapoczątku dziejów dostrzegalne w wierszach *Przygody ryby* i *Formy*.

Lepiej więc nie szukać jednego klucza do zrozumienia poezji Cierniaka, bo jest ich cały pęk, w którym tkwić może też – jako przestroga – interpretacyjny wytrych.



Wredny łobrozek, czyli egzystencjalny bigos

KSIĄŻKI

KATARZYNA KUROCZKA

Ulica Mariacka w Katowicach jest niepowtarzalnym zjawiskiem. Po pierwsze, ma swoją brzydszą siostrę, którą ukrywa wciśnięta w przestrzeń pomiędzy tylnymi kamienicami a torami kolejowymi. Po drugie, po latach estetycznego staczania się zyskała nowy wygląd i charakter, albowiem z zaniedbanej ulicy przelotowej stała się deptakiem i sceną muzyczną dla licznych imprez i koncertów. Po trzecie, pomimo swej złej sławy, zwłaszcza w dwudziestolecie międzywojennym, jej początek i koniec zanurzone są w *sacrum*. Początek, bo przecież nazwa ulicy pochodzi od parafii Mariackiej, czyli kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, w którym duszpasterzem był sam bł. Emil Szramek. Oczywiście trzeba dodać, że nie zawsze Mariacka była Mariacką, niegdyś nosiła imię Richarda Holtzego, ale tych czasów prawie nikt z żyjących już chyba nie pamięta. No i jej koniec jest święty, bo perspektywę ciągu kamienic zamyka bryła kościoła, o którym była mowa wyżej.

Można powiedzieć, że wszystko tu zmierza wprost do zawsze otwartych drzwi odrestaurowanego budynku sakralnego, a ten niejako czeka na tę rzekę ludzkich problemów, słabości, grzechów, wad i zalet, aż przepłynąwszy przez kamieniczny kanion, spieni się u jego bram i rozleje po zacienionym, chłodnym i cichym wnętrzu, które gotowe jest ukościć, oczyścić, rozgrzeszyć, wzmocnić, ale i upomnieć. Wiedział już o tym ks. Emil Szramek, gdy w latach trzydziestych zamawiał u Adama Bunscha witraże, które do dziś zachwycają trafnym i artystycznie udanym ujęciem grzechów z jednej strony i cnót z drugiej strony świątyni. Jakże głębokie musiało być zrozumienie ówczesnego proboszcza istoty tej ulicy, jej sprzeczności, moralnych pęknięć, jasnych i ciemnych stron ludzkiej natury, upadków i zwycięstw nad własną słabością. To przecież w tamtych latach Mariacka okryła się złą sławą jako miejsce pracy prostytutek, które wystawały na skrzyżowaniu z ulicą Stanisława.

Ów kontrast, a nawet swego rodzaju paradoks Mariackiej zauważył również Lech Majewski, który w niewielkiej książeczce pt. *Mariacka 5* nakreślił w dwunastu pieśniach spowiednic pani Heli tragikomiczny obrazek z życia pewnej doświadczonej kurtyzany. Ta napisana gwarą historyjka z pozoru trąci banałem i irytuje epatowaniem brutalizmem słownym i estetycznym. Do momentami pornograficznych opisów Majewskiego dołączone są równie pikantne rysunki Andrzeja Czczota. Całość budzi więc zarówno zastrzeżenia moralne, jak i poczucie braku pewnego wysublimowania. Gdy jednak wejdziesz się w tekst głębiej, można dostrzec wolę autora, by posługując się bardzo konkretnym szczegółem, jakim jest ponura egzystencja prostytutki spod numeru 5., na dodatek posługującej się nie tyle śląską gwarą, co raczej językiem ulicy, opowiedzieć coś o ludzkim losie jako takim, o jego kruchości, o skłonności człowieka do taplania się w błocie, a zarazem do odwoływania się do pozaziemskich świętości.

W tym kontekście zarówno utwór Majewskiego, jak i sama ulica jawią się jako symbol czy może nawet metafora rozszczepienia człowieczej natury, odwiecznej walki dobra ze złem, jaka toczy się w naszej duszy. To także dwa wyobrażenia drogi, którą przechodzi śmiertelnik od upadku do powstania, od grzechu do zbawienia, dlatego u końca tej pełnej ulicznego hałasu i niechlubnych zachowań Mariackiej jest kościół i to nie byle jaki, bo z błogosławionym proboszczem w swej historii; dlatego też pani Hela z opowieści Majewskiego po całym smutnym życiu pełnym nieczystości, kłamstwa, pijaństwa, a nawet świętokradztwa, ostatecznie zostaje wzięta do nieba przez świętego Antoniego.

Mieszkaniec Katowic i zwiedzający je oraz czytelnik *Mariackiej 5* przekonują się zatem, że tutaj, w tym wyjątkowym kwartale, koegzystuje świętość i grzeszność, mieszkają obok siebie prostytutki, pijacy, złodzieje, duchowni i błogosławieni, jak wszędzie. Jak na całym świecie. Nie ma miejsc wyjętych spod prawa zła i nie ma miejsc do cna złych. Są zawsze takie i takie. Każdy z nas jest i dobry, i zły. Co więcej, nie możemy nikogo sądzić po pozorach, bo nawet osoba, która upadła na samo moralne dno, może w sobie mieć jeszcze resztki człowieczeństwa, może odczuwać żal, wstyd, upokorzenie i one mogą być drogą czyszcową do nieba, jak u pani Heli.

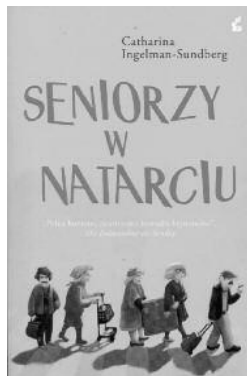
Z tego też powodu, chociaż dwanaście pieśni Majewskiego ma wydźwięk tragikomiczny, co dodatkowo zostało wzmocnione śląską gwarą wymieszaną z rynsztokowym językiem, to jednak jest to dla mnie nade wszystko bardzo smutna opowiadka filozoficzna o kondycji ludzkiej egzystencji, w której miesza się świat tarota ze światem ludowej religijności, pragnienie miłości znajduje zaspokojenie jedynie w przygodnym seksie, a wyrzuty sumienia są uciszane przerysowanymi i często nieudanymi gestami pokutnymi. Taki egzystencjalny bigos, którego opary unoszą się z każdej bramy. Majewski wybrał tę spod 5. numeru, bo przechodząc kiedyś obok usłyszał żale pewnej kurtyzany, które ta wlewała po śląsku do ucha swej koleżanki po fachu. Tak narodziła się historyjka o pani Heli, a w rzeczywistości portret ludzkiego żywiołu.

Warto więc czasami przejść się Mariacką, by zrozumieć to i owo z zawiloci tego świata, choć na darmo szukałby ktoś podobnych bezceństw, jak powiedziała by babcia Oswalda z *Angelusa*, pod wskazanym w tytule adresem. Podczas spaceru może się oczywiście zrodzić także pytanie o sens tworzenia takich *wrednych łobrozków*, używając określenia tej samej filmowej bohaterki, ale to już pytanie o sens sztuki w ogóle, sztuki, którą *nomen omen* sprzedaje się właśnie na Mariackiej 5.

Lech Majewski: *Mariacka 5 czyli dwanaście pieśni spowiednic pani Heli*. Il. Andrzej Czczot. Poznań 2016, ss. 72, okł. twarda.

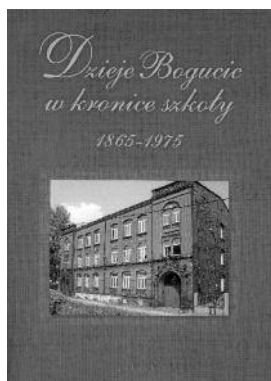
KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



Catharina Ingelman-Sundberg:
Seniorzy w natarciu.
[Przeł. Patrycja Włóczyk]
Wyd. Sonia Draga,
Katowice 2016, s. 414.

W sierpniowym numerze *Śląska* zachwycam się powieścią o holenderskim ośrodku opieki nad ludźmi starymi *Małe eksperymenty ze szczęściem*. Jej bohaterowie starają się umilić sobie „jesień życia” (właściwie „zimę”) wycieczkami, nauką gry w golfa oraz innymi „eksperymentami ze szczęściem”, które pozwalają oderwać się od monotonii dożywania swoich dni w – mówiąc bez ogródek – domu starców. Seniorzy z powieści Ingelman-Sundberg także są pensjonariuszami „ośrodka”. I również chcą odmienić swoje życie. Jak? Wkraczając na drogę przestępstwa, do czego skłania ich medialna informacja o nakładach państwa na więzienia. Skoro w kryminale dają lepiej jeść, organizują tam ciekawe zajęcia, trzeba zrobić coś, żeby dać się zamknąć. Staruszkowie zakładają zatem szajkę. Trafiają do upragnionego więzienia. To punkt wyjścia do opowieści awanturniczej, kryminalnej i miejscami niesłychanie zabawnej, choć stale trzymającej w napięciu.



Dzieje Bogucic w kronice szkoły 1865-1975. [Red. Zygfryd Nowak, tłum. tekstów niemieckich Robert Borowy] Wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2016, s. 372.

W czasie swojej pracy nauczyłem się cenić kroniki, pamiętniki, relacje pisane przez nauczycieli, proboszczów, pasjonatów swojego zakładu pracy. Wielka Historia opowiada nam o wodzach, wielkich bitwach, światowych przywódcach itd. Natomiast w tamtych amatorskich i niekoniecznie poprawnych naukowo zapiskach znaleźć można prawdę o tym, jak wyglądało życie codzienne zwykłych ludzi w jakimś miejscu, które się w księgach nie zapisało. Cieszę się więc, że to nasz miesięcznik objął swoim patronatem wydawnictwo o bogucickiej szkole. Jest w tych zapisach kawał historii Śląska, ale czytelnika cieszy też język. Przykład: „Dnia 3 IX 1923 r. rozpoczął się rok szkolny nabożeństwem, za które dziatwa szkolna wszystkich szkół miejscowych zapłaciła z dobrowolnych składek.” Radość czytała.



Roald Dahl: *BFG*.
[Przeł. Katarzyna
Szczępańska-Kowalczyk]
Wyd. „Znak”, Kraków 2016, s. 256.

BFG to skrót od słów Bardzo Fajny Gigant. Niedawno pojawiła się w kinach ekranizacja tej opowieści, ale znajomi, którym ufam, odradzili mi zobaczenie tego filmu. Kilka lat przed lekturą zobaczyłem sceniczną wersję przygotowaną przez słowacki teatr PIKI. Spektakl był fenomenalny, dwuosobowy zespół zgarnął wtedy wszystkie nagrody podczas międzynarodowego festiwalu *Katowice Dzieciom* organizowanego przez katowicki lalkowy teatr „Ateneum”. Bohaterami przedstawienia są bardzo samotna dziewczynka z sierocińca Sophie i dobry olbrzym (wydaje mi się to słowo szczęśliwsze niż „gigant”), który też jest jakoś tam odrzucony – ma tylko 21 stóp wzrostu (czyli trochę ponad 6 metrów). Inne, złe olbrzymy są o wiele większe, nawet osiemnastometrowe. Gigant musi porwać Sophie z poddasza domu dziecka, bo go zobaczyła. Dziewczynka, po chwili przestachu, orientuje się, że dla niej jest to wyzwolenie. Mało tego – ta para „wykluczonych” zaprzyjaźnia się i jednoczy w walce o dobro. To wzruszająca opowieść. Jej autor, Roald Dahl był szpiegiem, asem lotniczym, historykiem czekolady (!) oraz wynalazcą medycznym. Przede wszystkim jest – jak o nim piszą – mistrzem w opowiadaniu historii. Niekoniecznie dla dzieci. Opisywany przez niego w innej książce wuj Oswald należy do literatury mocno erotycznej. W *BFG* jednak postarał się opowiedzieć bajkę ze szczęśliwym zakończeniem, pochwałą przyjaźni, empatii, współdziałania w dobrym celu, a i o tym, że można dokonać rzeczy pozornie niemożliwych. Mimo to nie ma w tym utworze natrętnej, przesłodzonej dydaktyki. Na zakończenie jeszcze informacja: książkę zilustrował Quentin Blake. Nie bez powodu jego nazwisko znalazło się na stronie tytułowej, bo te rysunki tak uzupełniają tekst jak równie świetne obrazki innych plastyków z pierwszych wydań *Kubusia Puchatka*, czy *Alicji w krainie czarów*.



Catharina Ingelman-Sundberg:
*Pożyczanie jest srebrem,
a rabowanie złotem...*
[Przeł. Patrycja Włóczyk]
Wyd. Sonia Draga, Katowice 2016,
s. 374.

Dalszy ciąg przygód blisko osiemdziesięcioletnich przestępców, którzy – jako, że bogate państwo i system w ogóle nie spełniają swojej roli – zostają Robin Hoodami. Zabierają bogatym, okradają złodziei, aby rozdać łup biednym, czyli ośrodkom opieki nad seniorami, placówkom kulturalnym, wspomagają nawet ubogą policję, która ich ściga. Autorka nie dba zbyt wiele o prawdopodobieństwo, potrafi natomiast budować napięcie i z humorem wymyślać niesamowite przygody bohaterów. Czekam na tom trzeci.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numera

OSZCZĘDNOŚCI w wysokości 1,6 mld złotych w latach 2016-2025 oraz ok. 436 mln zł oszczędności w pierwszym roku funkcjonowania JSW po przeniesieniu ruchu Jas-Mos i kopalni Krupiński do Spółki Restrukturyzacji Kopalń przewiduje plan ratujący spółkę JSW. Docelowo na koniec 2017 r. w spółce powinno pracować ok. 20 600 pracowników. To o ponad 2,5 tys. mniej pracowników niż jest dziś (ok. 23 tys.).

REWOLUCJI w Śląskim Planetarium nie będzie. 6 września w Katowicach spośród 19 prac wybrano projekt przebudowy najstarszego planetarium w Polsce. Nie Tomasz Konior, nie projektanci Muzeum Śląskiego, lecz autorzy przebudowy Filharmonii

Śląskiej w Katowicach będą mieć szansę na przebudowę Planetarium Śląskiego. Firma Consultor Sp. z o.o. z Poznania wygrała konkurs na sporządzenie koncepcji architektonicznej, w myśl której obiekt zostanie przebudowany i zmodernizowany. Zwycięski projekt to koncepcja, która w niewielkim stopniu zmieni zabytkowy obiekt z 1955 roku.

PODCZAS ostatniego posiedzenia sejmowej Komisji ds. Energii i Skarbu Państwa posłowie przyjęli poprawkę zwiększającą limit wydatków z budżetu państwa na restrukturyzację górnictwa – z planowanych 3 mld zł do aż 7 mld zł. Proponowane zmiany muszą zostać jeszcze przegłosowane przez Sejm.

AUTOSTRADA północna, drogi, elektryczne autobusy, Śląski Bank Inwestycyjny no i jak zawsze kolej Katowice – Pyrzowice – to niektóre projekty zawarte w nowej strategii dla Śląska, którą przygotował zespół działający przy Wojewódzkiej Radzie Dialogu Społecznego. To już trzecia strategia dla regionu, która powstaje w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

CUD, że nikt nie zginął – mówią świadkowie wypadku, do którego doszło w piątek 9 września, około godziny 7, na DK1 w Tychach. Wyglądał bardzo groźnie. Droga była zablokowana przez osiem godzin. Pijany 56-letni kierowca lawety przewoził 10 nowych samochodów. Miał zawieźć je do Włoch. Nie zdążył. W jego organizmie stwierdzono prawie 2,5 promila alkoholu.

BISKUP ordynariusz diecezji bielsko-żywieckiej odwołał proboszcza z Koniakowa oskarżanego przez byłych ministrantów o molestowanie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Ponad 20 lat temu koniakowski duchowny miał zapraszać ministrantów na plebanię na Kubalonce, podawać im alkohol i puszczać filmy pornograficzne. Jako pierwszy publicznie o sprawie powiedział pochodzący z Koniakowa lewicowy działacz, Krystian

Legierski. Sprawą zajmuje się także cieszyńska prokuratura.

NAJSŁYNNIEJSZY parowóz w Raciborzu został zdemontowany. Czeka go teraz remont. Ważąca 32 tony lokomotywa „Halinka” została przetransportowana sprzed dworca PKP w Raciborzu na bazę jednej z lokalnych firm. Tam przejdzie gruntowny remont. Parowóz o oznaczeniu Tw53-2570 to symbol raciborskiego kolejnictwa i tutejszych kolejarzy. Lokomotywa wyprodukowana została w 1955 roku, na plac przed dworcem w Raciborzu trafiła 30 lat później, jako dar kolejarzy. Parowóz swój przydomek zyskał na cześć Haliny Tarkoty, zastępczyni naczelnika stacji PKP w Raciborzu.

WEDŁUG Izby Gospodarczej Wodociągów Polskie, wzrost cen wody od stycznia przyszłego roku może wynieść nawet 25 proc., co odczują zwłaszcza budżety domowe zwykłych odbiorców. Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów ma podać na początku października nowe hurtowe ceny wody, które będą obowiązywać odbiorców od stycznia 2017 r. Choć brak jeszcze szczegółów, prezes GPW, Łukasz Czopik, nie wyklucza drastycznej podwyżki. Powodem jest rządowy projekt nowelizacji prawa wodnego, które zakłada kilkuset-, a nawet tysiąc procentowy wzrost opłat za pobór wody ze środowiska.

BYTOM może stracić szansę na rekordową dotację – 100 milionów euro. Taką kwotę miasto miało uzyskać z Unii Europejskiej na dofinansowanie inwestycji i działań związanych z rewitalizacją. Najpierw jednak bytomscy urzędnicy muszą wskazać, na co pieniądze są potrzebne, przygotować stosowne dokumenty i przedstawić w Urzędzie Marszałkowskim Gminny Program Rewitalizacji (GPR). Z uwagi na opieszałość urzędników, 19 września marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa zapowiedział do prezydenta Bytomia, Damiana Bartyli, o przyspieszenie prac nad tym istotnym dla Bytomia dokumentem.

KATOWICE chcą zawojsować Dolinę Krzemową, gdzie planują już wkrótce otworzyć własne biuro. Za promocję miasta w tym najwęższym na świecie centrum nowych technologii będzie odpowiadał prof. Piotr Moncarz z Uniwersytetu Stanforda, którego Maciej Krupa, prezydent Katowic, mianował swoim doradcą. Katowickie biuro będzie to punkt informacyjny w siedzibie Polsko-Amerykańskiej Rady Współpracy w PaloAlto, w którym będzie można uzyskać informacje na temat możliwości współpracy z Katowicami.

Z KOŃCEM września zdemontowany został kultowy napis nad bramą wejściową prowadzącą do Śląskiego Wesołego Miasteczka. Powód? Przebudowa związana z tak zwaną tematyzacją lunaparku. Napis będzie czekał na terenie śląskiego lunaparku na zakończenie prac budowlanych, co nastąpić powinno jeszcze przed rozpoczęciem nowego sezonu, czyli w czerwcu przyszłego roku. Kultowy wręcz napis – stylizowany na odręczny podpis – nad wejściem do wesołego miasteczka najprawdopodobniej wróci na swoje miejsce. Został zawieszony na bramie lunaparku 10 lat temu. Wbrew pozorom, nie jest to jednak ten pierwszy napis, od pokoleń kojarzony ze Śląskim Wesołym Miasteczkiem.

LIKwidacja gimnazjów, ostatecznie już przesądzona, przyniesie „śmierć” nie tylko temu szczeblowi szkolnictwa, ale również

patronom tych szkół. O ile Jerzy Kukuczka czy Alfred Szklarski pozostaną w naszej zbiorowej pamięci nawet kiedy przestaną być patronami, bo nazwano ich imieniem wiele szkół, ulic czy skwerów, o tyle wielu nazwiska takie jak Emilia Zawidzka, Helena Prażmowska z Dąbrowy Górniczej czy Andrzej Kubicki z Mstowa albo ks. Bonawentura Metler z Parzymiechów znane są tylko w swoich małych ojczyznach, bo właśnie w nich postaci te stały się bohaterami zbiorowej świadomości.

DEBIUTANCKI film absolwenta Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego Jana P. Matuszyńskiego – opowiadający mroczne i tragiczne dzieje rodziny Beksińskich – wygrał 41. Festiwal Filmowy w Gdyni zdobywając Złote Lwy. Obraz Macieja Pieprzycy pt. „Jestem mordercą”, również absolwenta katowickiego wydziału, zdobył drugą nagrodę – Srebrne Lwy.

ZDZIWIŁA się mocno 77-letnia mieszkanka gminy Czerwionka-Leszczyny, gdy dowiedziała się, że została uznana przez ZUS za zmarłą. Przekonała się o tym 21 września, kiedy nie dostała na swoje konto emerytury. Zdesperowana – że przecież żyje i ma się całkiem dobrze dzięki Bogu – zadzwoniła do ZUS w Rybniku, gdzie bezskutecznie próbowała wyjaśnić sprawę (widać nie lubią tam petentów zza świątów – nawet tych pozornych). Po interwencji dziennikarzy lokalnej prasy, którzy przyszli na pomoc śmiertelnie przerażonej staruszce, okazało się, że bezmyślny błąd popełnił pracownik ZUS, bo to zupełnie inna kobieta – ale o identycznym jak mieszkanka Czerwionki-Leszczyny imieniu i nazwisku, a także dacie urodzenia – zmarła. Odpowiednich danych pracownik nie zweryfikował i... stało się. Bezduszny ZUS przyjął w końcu do wiadomości, że 77-latką żyje i nadal czeka na swoją emeryturę.

NOWE rehabilitacyjne łóżka szpitalne, aparat EKG, inhalatory pneumatyczne i materiały przeciwoleżynowe – to tylko część sprzętu, który Sosnowiecki Szpital Miejski Sp. z o.o. otrzymał od Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. To już kolejny raz, kiedy Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wspiera sosnowiecki szpital, który tylko w ciągu ostatnich dwóch lat otrzymał od WOSP sprzęt o wartości ponad 400 tysięcy złotych.

SYSTEM stworzony przez firmę Future Processing z Gliwic będzie przełomem w diagnozowaniu nowotworów. Firma ta wspólnie z Instytutem Onkologii w Gliwicach rozpoczęła prace nad przedsięwzięciem, którego celem jest zwiększenie skuteczności diagnostycznej tomografii komputerowej oraz rezonansu magnetycznego w spersonalizowanej diagnostyce chorób nowotworowych. Ich program „nauczy się”, jak najdokładniej znajdować podejrzane zmiany na podstawie wzorca charakterystycznego dla określonych nowotworowych komórek.

RAWA Blues Festival – święto fanów dobrego bluesa znów w Katowicach odbył się w ostatni weekend września. Gwiazdą tegorocznej edycji festiwalu był amerykański artysta Keb’ Mo’ z orkiestrą NOSPR pod dyrekcją Krzesimira Dębskiego. Kolejną gwiazdą był Corey Harris, gitarzysta i wokalista.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2017 rok! Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

G	Ó	R	N	O	Ś	L	A	S	K	I	E	T	O	W	A	R	Z	Y	S	T	W	Ø	L	I	T	E	R	A	C	K	I	E		
U	L	J	U	L	I	U	S	Z	Å	L	I	G	O	N	I	A	7	4	0	-	0	3	6	K	A	T	O	W	I	C	E			
T.ik. nr rachunku odbiorcy											nr rachunku odbiorcy																							
0	8	2	0	3	0	0	4	5	1	1	1	0	0	0	0	0	4	0	7	9	4	9	0											
kwota											kwota																							
W P P L N											W P P L N																							
nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata)																																		
nazwa zlecającego																																		
nazwa zlecającego cd.																																		
tytułem																																		
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA																																		
tytułem cd.																																		
„ŚLĄSK”																																		

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

G	Ó	R	N	O	Ś	L	A	S	K	I	E	T	O	W	A	R	Z	Y	S	T	W	Ø	L	I	T	E	R	A	C	K	I	E		
U	L	J	U	L	I	U	S	Z	Å	L	I	G	O	N	I	A	7	4	0	-	0	3	6	K	A	T	O	W	I	C	E			
T.ik. nr rachunku odbiorcy											nr rachunku odbiorcy																							
0	8	2	0	3	0	0	4	5	1	1	1	0	0	0	0	0	4	0	7	9	4	9	0											
kwota											kwota																							
W P P L N											W P P L N																							
nr rachunku zlecającego (przelew) / kwota słownie (wpłata)																																		
nazwa zlecającego																																		
nazwa zlecającego cd.																																		
tytułem																																		
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA																																		
tytułem cd.																																		
„ŚLĄSK”																																		

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zlecającego

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Sztuka

Niezwykła wystawa w Muzeum Śląskim

KATOWICE. Niezwykłą wystawę jednego dzieła, będącego swoistym eksperymentem twórczym, można oglądać przez cały rok (do 17 października 2017) w Muzeum Śląskim. „Refleksja” jest dziełem Daniego Karavana, wybitnego rzeźbiarza izraelskiego. Jest efektem inspiracji artysty fragmentami Szekspirowskiego *Hamleta* oraz bogatą historią Śląska. Kuratorką tej niezwykłej wystawy jest Anda Rottenberg. Daniel (Dani) Karavan znany jest w świecie sztuki jako autor monumentalnych założeń rzeźbiarskich. Pochodzący z Tel Awiwu artysta tworzył instalacje rzeźbiarskie w Izraelu, Francji, Niemczech, Korei Południowej czy Japonii. W Polsce po raz pierwszy zaprezentował swoją twórczość na wystawie MAKOM w krakowskim Międzynarodowym Centrum Kultury w 2015 roku. Edukację artystyczną rozpoczął w wieku 13 lat od nauki malarstwa w szkole artystycznej Bezalel w Jerozolimie, a następnie studiował technikę fresku we Florencji i w Paryżu. Od początku lat 60. tworzył reliefy oraz dekoracje ścienne zdobiące publiczne gmachy Tel Awiwu i Jerozolimy. Równoległe przygotowywał scenografie do przedstawień teatralnych i baletowych, m.in. współpracował ze słynną choreografką Martha Graham. Artysta był wielokrotnie honorowany prestiżowymi nagrodami za osiągnięcia w dziedzinie rzeźby, m.in. Nagrodą Izraela w 1977 roku. W roku 1998 został laureatem japońskiej Praemium Imperiale (równoległe z Andrzejem Wajdą), a w 2016 rząd Katalonii przyznał mu nagrodę Conca za pracę *Pasaż* poświęconą pamięci Waltera Benjamina. Wyniesione z rodzinnego Tel Awiwu reguły architektoniczne stały się dla jego sztuki naturalnym punktem odniesienia. Zarówno jego wczesne reliefy, jak i kompozycje scenograficzne poddane były tym samym modernistycznym zasadom, na jakich opierał swoje rzeźbiarskie założenia plenerowe. Wyrażały się one w stosowaniu prostych form geometrycznych i klasycznych, nawiązujących do starożytności kompozycyjnych rytmach i podziałach. Wcześniej też włączał do swoich rozbudowanych struktur rzeźbiarskich symboliczne elementy natury: wodę, zieleń, drzewa oliwne, fragmenty pejzażu, błękit nieba, a także rzeźbę terenu, która zwykle stanowi punkt odniesienia dla jego prac. Dzięki temu uzyskuje efekt harmonijnego przenikania się natury i sztuki w taki sposób, że tworzą one nierozzerwalną, nacechowaną znaczeniami całość, a jednocześnie wywołują poczucie spokoju i harmonii. Wyczułony na przemoc i niesprawiedliwość, wiele swoich dzieł poświęcił upamiętnieniu ofiar ostatniej wojny światowej, wiele innych realizacji wyposażył w moc perswazyjną, związaną z przestrzeganiem elementarnych praw człowieka. Podobne przesłanie odczytać można ze sposobu budowania narracji jego wystaw, zawsze stanowiących określoną wizualną, sensualną i pojęciową całość. Pod względem swartości i jednorodności jest to najbardziej radykalna aranżacja ze wszystkich dotychczasowych projektów Daniego Karavana. Rozwinął w niej charakterystyczne dla jego późnej twórczości środki wyrazu. Należą do nich lustrzane refleksy, pomyślane jako negatywowe odbicie fragmentów rzeczywistości „wykrojonych” z tła i zagarniających wizerunek widza, który w ten sposób staje się nieodłącznym elementem dzieła. Podobnie symboliczną rolę spełniają też wysmukłe drabiny wprowadzane w obszar jego artystycznych penetracji. Skomponowana z luster praca *Reflection / Odbicie* גילוי־פְּשָׁא pozbawia betonową Galerię jednego dzieła jej monumentalnego charakteru, oferując w zamian poczucie obcowania z totalną fikcją, w której można się odnaleźć dzięki wnikliwej obserwacji własnego odbicia i odkryć swoją nierozpoznaną dotąd naturę.

Pod patronatem „Śląska”

Kostiumy Barbary Ptak w chorzowskim Muzeum

CHORZÓW. *W fiolecie Jej do twarzy...* Chorzowskie kostiumy Barbary Ptak to nowa wystawa czasowa, którą można oglądać w Muzeum



Fot. Teatr „Ateneum”

Teatr „Ateneum”, laureaci: (od lewej): Beata Zawiślak, Ewa Reymann, Katarzyna Kuderewska, Marek Dindorf, Krystyna Kajdan, Piotr Janiszewski, Renata Chudecka, Zbigniew Mędrala, Piotr Gabriel

w Chorzowie. Barbara Ptak – urodzona w Chorzowie wybitna artystka, kostiumolog, autorka projektów do ponad 200 sztuk teatralnych i filmów. Efekty jej pracy można było oglądać między innymi w ekranizacjach *Nóż w wodzie*, *Perła w koronie* czy *Faraon*. Na wystawie prezentowane są chorzowskie wątki w biografii oraz twórczości artystki – zwłaszcza projekty przygotowane dla Teatru Rozrywki. Wystawę można oglądać do lutego 2017 r. Autorką scenariusza jest Anna Piontek, natomiast aranżację zaprojektował Krystian Banik.

„Ateneum” odznaczone

KATOWICE. W ubiegłym sezonie Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” obchodził 70-lecie swego istnienia. Nowy sezon w katowickie „Ateneum” rozpoczęło wyjątkowo uroczyste – od wręczenia prestiżowych odznaczeń, przyznanych przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Brązowe medale Zasłużony kulturze „Gloria Artis” otrzymali: Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum, Krystyna Kajdan – dyrektor teatru i Renata Chudecka – kierownik literacki teatru. Odznaki honorowe Zasłużony dla Kultury Polskiej odebrali aktorzy: Katarzyna Kuderewska, Ewa Reymann, Beata Zawiślak, Marek Dindorf, Piotr Gabriel, Piotr Janiszewski oraz kierownik Galerii Ateneum Zbigniew Mędrala. 23 września, przed premierą spektaklu „Animacje”, laureaci przyjęli odznaczenia z rąk wiceprezident Miasta Katowice, Marzeny Szuby.

Malarstwo Małgorzaty Stępniaik

KATOWICE. Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum zaprasza do Galerii Ateneum na wystawę malarstwa Małgorzaty Stępniaik. Autorka jest absolwentką Wydziału Malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom zrealizowała w 1998 r. w pracowni prof. Włodzimierza Kunza. Jest wiceprezesem Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie oraz pomysłodawcą i kuratorem wszystkich edycji wystawy *8 KOBIET*. Mieszka i tworzy w Częstochowie. Małgorzata Stępniaik jest laureatką Nagrody Ministra Kultury i Sztuki na IX Ogólnopolskim Przeglądzie Malarstwa Młodych *Promocje* w Legnicy (1999) oraz beneficjentką stypendium artystycznego Prezydenta Miasta Częstochowy (2002), uczestniczyła w kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą (m.in. w Austrii, Holandii i Włoszech).

Pod patronatem „Śląska”

Do widzenia rokoko...

GLIWICE. W Willi Caro na zwiedzających czekają dwie wystawy poświęcone ceramice polskiej powstającej od końca lat 50. XX w. do czasów nam współczesnych: „*Do widzenia rokoko! Polska ceramika użytkowa z lat 50. i 60. XX w.*” oraz „*362... Ceramika Bogdana Kosaka*”. W ramach ekspozycji prezentowane są zarówno wyroby o przewadze cech użytkowych, jak i obiekty, dla których ceramika jest materiałem umożliwiającą realizację przede wszystkim wypowiedzi artystycznej. Obie wystawy łączy tworzywo – ceramika oraz korzystanie z dorobku historii projektowania użytkowego.

Na ekspozycji *Do widzenia rokoko!*... znajdują się ceramiczne wyroby użytkowe z lat 50. i 60. XX w. – głównie porcelanowe i porcelinowe serwisy do kawy i herbaty, a także wazony, popielniczki, tace, które zostały zaprojektowane przez wybitnych artystów jako wzory dla produkcji seryjnej w wiodących polskich wytwórniach ceramiki. Obiekty zaprezentowane na wystawie, której kuratorem jest Anna Kwiecień, historyk sztuki, starszy kustosz Muzeum w Gliwicach, to efekt działal-

ności kolekcjonerskiej gliwickiego Muzeum, rozpoczętej w 1961 r. Jest to pierwszy pokaz obiektów udostępniony zwiedzającym. Tytuł wystawy *Do widzenia rokoko!* jest nawiązaniem do tytułu filmu „Do widzenia, do jutra...” z 1960 r., ze Zbigniewem Cybulskim w roli głównej. Film powstał w czasach odwilży, po odrzuceniu obowiązujących kanonów sztuki socrealizmu. Podobnie w pozostałych dziedzinach sztuk, także użytkowych, w myśleniu twórczym nastąpił wtedy intensywny okres poszukiwań i dążenie do nowoczesności, często zainspirowanej sztuką zagraniczną.

Lata 50. i 60. XX w. to niewątpliwie bardzo ważny okres w historii polskiego wzornictwa przemysłowego. Produkcja naczyń opartych o nowe fasony i dekoracje była jednym z przejawów „nowoczesności”. W 1950 r. został założony w Warszawie (funkcjonujący do dnia dzisiejszego) Instytut Wzornictwa Przemysłowego (IWP), który był – jak podają znawcy – jedną z pierwszych powojennych europejskich instytucji promujących wzornictwo.

Założycielką i organizatorką IWP prof. Wanda Telakowska była inicjatorką tworzenia i rozpowszechniania nowego wzornictwa oraz propagatorką idei ścisłej współpracy artystów-projektantów z technologami, podkreślała iż dobre projekty – wzory wyrobów masowej produkcji – są wartością gospodarczą i kulturową. Wanda Telakowska była autorką słynnego hasła „Piękno na co dzień dla wszystkich”. Te działania miały nadać dizajnowi charakter masowy i demokratyczny, miał być on piękny i funkcjonalny, a także tani, w odróżnieniu od wyrobu unikatowego, czy krótkoseryjnego. Programowe założenia i hasła Instytutu Wzornictwa Przemysłowego stały się w latach 50. i 60. impulsem do nowych wypowiedzi projektantów. Wystawa jest dostępna dla zwiedzających do 31 grudnia 2016 roku.

Pod patronatem „Śląska”

„362...” czyli ceramika Bogdana Kosaka

GLIWICE. Muzeum w Gliwicach zaprasza do zwiedzania refleksyjnej wystawy „*362... Ceramika Bogdana Kosaka*”, której motywami przewodnimi są wspomnienia, przeszłość, ich splot z teraźniejszością, osadzenie przedmiotów w czasie, przemijanie. Bogdan Kosak – projektant porcelany użytkowej i rzeźby ceramicznej, w latach 1995–2006 kierujący modelarnią w Porcelanie Śląskiej w Katowicach, a obecnie pracujący we własnej pracowni w Cieszynie, laureat wielu prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych, jest między innymi twórcą nagrodzonego w konkursie *Śląska Rzecz* serwisu do kawy i herbaty *Tomaszów*. We wnętrzach Willi Caro można zobaczyć oryginalną rzeźbę ceramiczną jego autorstwa złożoną z mnóstwa niepowtarzalnych pojemniczków, *Stroiki sentymentalne* ze zniszczonej porcelany, ułamki naczyń wyłowione z rzeki czy świeczniki ze starej porcelany przemysłowej.

Kuratorami wystawy są historycy sztuki Muzeum w Gliwicach – dr Dagmara Wójcik i Anna Kwiecień. Ekspozycja koresponduje z wystawą „*Do widzenia rokoko*”, wpisując się w projekt ceramicznej jesieni w gliwickim Muzeum.

Centralnym punktem, od którego wystawa wzięła swój tytuł, jest instalacja – wieloelementowa rzeźba ceramiczna: „*362...*”. Tworzą ją 362 pojemniki, z których każdy jest unikatowy, niepowtarzalny. Ułożone w symetrycznym ciągu i wypełnione solą budzą skojarzenia z pojedynczymi porcjami, czy też dawkami nieokreślonej substancji na każdy dzień. Od widza zależy jaką nadać im funkcję. Czy w jego wyobraźni będą to szczypty soli, która jest jedną z głównych przypraw wydobycy smak – w biblijnych opisach kojarzoną z substancją życiodajną, czy też pojemniki na medykamenty, bez których często nie możemy normalnie funkcjonować. Wymowny wielokropek na końcu i cyfra, która nie dopełnia ilości dni w roku sugeruje nam, że ten ciąg z jakiejś przyczyny nie został dokończony. Dodatkowo wyeksponowane są



Małgorzata Stępiak, *Trio*, 60x80



Fot. Marcin Korczak

Fragmety serwisu do kawy „Epos”, projekt Eryka Trzewik, 1959 r.;
wytwórnia: Zakłady Porcelany Bogucice w Katowicach-Bogucicach, 1961 r.;
porcelana, dekoracja natryskowa

czarne i białe misy (*Misa B5*) na postumentach, wypełnione wodą. Swobodny dostęp do instalacji, możliwość dotknięcia wody i faktury przedmiotu są elementem mającym wciągnąć widza w doświadczenie wody jako początku oraz kolejnego etapu, któremu wszystkie kultury zgodnie nadały wymiar sakralny. W ten sposób sól i woda wprowadzają odwiedzających wystawę w świat, gdzie przeplatają się początek, koniec, trwanie i wspomnienia, dające widzom materiał i inspirację do budowania własnych doświadczeń – do tworzenia.

Premiera w teatrze „Ateneum”

KATOWICE. 23 września w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora Ateneum, na scenie Galerii Ateneum, odbyła się pierwsza w tym sezonie premiera – *Animacje* wg scenariusza i w reżyserii Wiesława Czołpińskiego i Agnieszki Makowskiej, ze scenografią Agnieszki Makowskiej i muzyką Piotra Klimka. Konwencja teatralna, oparta na animacji wykorzystującej przede wszystkim ciało aktora, pobudza wyobraźnię i inspiruje (szczególnie najmłodszych widzów) do samodzielnego poszukiwania i twórczej zabawy. Przedstawienie jest okazją do pokazania szerokiej możliwości teatru lalek, innego spojrzenia na ciało ludzkie i otaczające człowieka przedmioty. Kameralny spektakl bez słów kryje w sobie czytelne dla każdego widza, bez względu na wiek, uniwersalne mikro historyjki – czasem dynamiczne i zabawne, czasem wyciszone i refleksyjne – łączące się ze sobą poprzez stylistykę i zabawę formą. Na scenie troje aktorów – Katarzyna Kuderewska, Ewa Reymann i Piotr Janiszewski.

Nowości w Muzeum Prasy Śląskiej

PSZCZYNA. Promocja najnowszej publikacji Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie i Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej pt. „Kazanie pastora Bartelmusa z 1765 roku na założenie kościoła w Golaśowicach” odbyła się w pszczyńskiej Izbie u Telemanna. Publikacja ukazała się w cyklu „Perły słowa polskiego na ziemi pszczyńskiej”, a przedmowę napisał prof. Jan Miodek, który wcześniej omówił „kazanie...” na łamach miesięcznika „Śląsk”. Wydawcy przygotowali również bibliofilskie wydanie „Kazania...” drukowane na czerpanym papierze. Publikacja ta poszerzyła o wyjątkową pozycję ten niezwykle cenny cykl. Publikacja Muzeum i TMZP wpisuje się w rozpoczynający się w styczniu Rok Reformacji ogłoszony przez Sejmik Samorządowy Województwa Śląskiego.

Wieczór uświetnił koncert w wykonaniu Elżbiety Grodzkiej-Lopuszyńskiej (sopran) i Juliana Gembalskiego (pozytyw), którzy wykonali utwory kompozytorów renesansu i baroku. Po spotkaniu można było zobaczyć odsłonięte i odrestaurowane poddasze Muzeum. Wykonano niezliczone prace, od tych porządkowych po ściśle specjalistyczne, wykończeniowe. Zlikwidowano utworzony w latach 80. XX wieku sufit, odkryto szczyty, na których wyeksponowano surową cegłę. Przy okazji wymieniono podłogę oraz stolarkę okienną. Zakonserwowano konstrukcję nośną dachu, wymieniono instalację elektryczną oraz zainstalowano nowoczesne oświetlenie, zmodernizowano centralne ogrzewanie. Sala została wyposażona w nowe gabloty, oświetlone światłem ledowym. Obecnie trwają prace nad przygotowaniem ekspozycji w tym nowym miejscu. Warto przypomnieć, że budynek pochodzi z końca XVIII w. i został wybudowany jako wypełnienie pomiędzy budynkami zlokalizowanymi na łuku istniejącego traktu.

Ktoś lepszy?

Bielsko-Biała. Od 7 do 28 października w galerii Okręgu Bielskiego Związku Polskich Artystów Plastyków trwać będzie wystawa drzeworytu sztorkowego Jadwigi Marii Smykowskiej. Uroczą cieszyńnianką urodzoną 1 marca 1945 r. w okupowanym Cieszyńskim Zachodnim należą do najlepszych specjalistów tej trudnej dyscypliny plastycznej. Niektórzy uważają, że nie ma sobie równych na świecie już od niemal półwiecza. Jest m.in. laureatką najwyższej światowej nagrody Międzynarodowego Stowarzyszenia Drzeworytników XYLON w Szwajcarii (8 edycja, 1979) za tryptyk „Pod Twoją obronę”. Ze sztuką zetknęła się już w dzieciństwie, gdyż rodzice przyjaźnili się z Ludwikiem Konarzewskim juniorem i jego rodziną, Czesławem Kuryatą, Zofią Kossak-Szatkowską, Gustawem Morcinkiem czy Janem Gawlasem. Już w dzieciństwie pobierała naukę u Józefa Klimka, późniejszego wykładowcy National Art School i East Sydney Technical College. Chodziła do jednej klasy bielskiego liceum plastycznego m.in. z Michałem Klissem, Janem Kruczkim i Igorem Mitorajem. Komisja egzaminacyjna ASP w Krakowie przyjął ją od razu na drugi rok studiów. Tam korzystała z wiedzy takich profesorów jak Emil Krcha, Hanna Rudzka-Cybisowa, Jerzy Nowosielski, Maria Rzepińska, Adam Siemianowicz, Adam Stalony-Dobrzański, Mieczysław Wejman, Witold Chomicz czy bielszczanin Franciszek Bunsch. Na wystawie przy bielskim Rynku można się przekonać, jak perfekcyjne drzeworyty wykonuje Jadwiga Smykowska.

Laureat w Książnicy Beskidzkiej

Bielsko-Biała. Jubileusz 30-lecia debiutu poetyckiego Piotra Zemanaka zgrupował 22 września w Książnicy Beskidzkiej ok. 50 osób. Piotr Zemanek – poeta i bard, od urodzenia mieszka w Bielsku-Białej. Jest absolwentem Politechniki Krakowskiej i Łódzkiej oraz Uniwersytetu Śląskiego. Jest laureatem ponad 150 ogólnopolskich konkursów poetyckich, a mimo to wydał tylko tom wierszy. W 2014 r. ukazał się jego „Południk Greenwich”, nagrodzony w II edycji konkursu im. Henryka Berezzy. Zdobył m.in. takie nagrody jak „Nagrodę Georga Trakla”, „Laur Sarbiewskiego”, „Pióro pelikana”, „Złotą Buławę Hetmańską”, „Złote Lubańskie Pióro”, „Złotą Wieżę Piastowską” (dwukrotnie) czy „Nagrodę Tyskiego Lata Poetyckiego”. Zwyciężał w slamach poetyckich i turniejach jednego wiersza, konkursach piosenki poetyckiej i autorskiej. Podczas wieczoru zaprezentował się jako poeta, bard i gawędziarz.

Wspomnienie Ala

Bielsko-Biała. Zmarłego parę miesięcy temu Alfreda Biedrawę wspominali jego koledzy, współpracownicy, rodzina. Okazją była wystawa jego prac w Galerii Bielskiej BWA, której wernisaż odbył się 30 września. Al – jak nazywali go przyjaciele – urodził się w 1923 r. w Kętach. Studiował na Wydziale Malarstwa i Grafiki ASP w Krakowie. Wskutek kłopotów finansowych i zdrowotnych dyplom zdobył jednak dopiero w 1969 r. jako 46-letni człowiek. Miał wielkie kłopoty z utrzymaniem zaplanowanej kompozycji obrazu, gdyż nie widział na jedno oko, a na drugie – coraz gorzej. Mimo to przez długie lata prowadził samochód. Związany był początkowo z bielskim Studium Filmów Rysunkowych, a następnie z cieszyńskim Instytutem Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i bielskim Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych. – Szybko wyczułszy niezwykłość Alfreda i mimo formy „ty” trak-



Bogdan Kosak, 362..., rzeźba ceramiczna

towaliśmy go z niezmiennym przez lata szacunkiem. Znajomość uczel-niana przeniosła się szybko do bielskiej pracowni Alfreda. Pozornie była to wilgotna sutereka zagracona starymi, zakurzonymi sprzętami, dla nas jednak stanowiła forum dyskusyjne, centrum terapii przez sztukę i miejsce rozrywek zrozumiałych tylko dla tego środowiska – powiada artystka Teresa Sztwiertnia.

Wątroba w „Kubiszówce”

Bielsko-Biała. Grubo ponad sto osób przybyło na promocję najnowszej książki Juliusza Wątroby „Bliskość oddaleń” 15 września br do bielskiej „Kubiszówki”. O wspaniałe barwne ilustracje 21 lirycznych wierszy miłosnych postarała się bielszczanka Agnieszka Nowińska (doktorat ze sztuki na uniwersytecie w Walencji), stale przebywająca w USA. Na język angielski przetłumaczyła je natomiast katowiczanka Renata Cygan, od wielu lat mieszkanka Watfordu k. Londynu. Wiersze recytowali Tomasz Lorek i Piotr Skucha. Promocji temu towarzyszyły m.in. występy taneczne zespołu Art Dance Elżbiety Barwickiej, popisy wokalne dyr. placówki Iwony Kusak, zespołu Anny Majeranowskiej oraz podopiecznych Joanny Jatkovskiej, która skomponowała melodie do tekstów rudzickiego poety. Scenograficzne tło stanowiły energetyczne obrazy Agnieszki Nowińskiej. Był to kolejny mariaż słowa, obrazu, dźwięku i ruchu w bielskiej „Kubiszówce”.

Z La Manchy do Bielska-Białej

Bielsko-Biała. 30 września w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej odbyła się premiera „Człowieka z La Manchy”, słynnego spektaklu o Don Kichocie i jego twórcy Miguela de Cervantesie. Muzykę skomponował Mitch Leigh, libretto napisał Dale Wasserman, a teksty piosenek Joe Darion. Przekładu dokonali Antoni Marianowicz i Janusz Minkiewicz. Adaptacji i reżyserii podjął się dyr. Witold Mazurkiewicz. Scenografię stworzył Damian Styma, kostiumy Barbara Guzik, a choreografię Jarosław Staniek. Kierownictwo muzyczne objął Mateusz Walach. W rolę *Miguela de Cervantesa* wcielił się Rafał Sawicki, a *Sancho Pansy* Tomasz Lorek. Na Broadwayu spektakl wystawiano ponad dwa tysiące razy. Ile razy zobaczymy go na deskach bielskiej sceny dramatycznej?

Paragraf 64 w Altanie

CZĘSTOCHOWA. Wakacyjne koncerty organizowane co roku w parku im. S. Staszica przez OPK Gaude Mater zakończył w tym roku Zespół *Paragraf 64* z Zakładu Karnego nr 2 w Strzelcach Opolskich. Wśród występujących dominują orkiestry dęte. Tymczasem grupa z ostatniej niedzieli sierpnia zaliczana do nurtu mocnego rocka z elementami hip hopu proponowała ballady z mądrymi tekstami o relacjach z rodziną, ukochaną, o codzienności więziennej i próbach powrotu do normalności. Nie był to pierwszy występ zespołu w podjasnogórskim parku, ale i tym razem zgromadzona publiczność przyjęła go owacyjnie. Formację tworzą: Maciej „Święty” Jankowski, Adrian Sfora „Ryjek”, Mariusz Siwy „Kiler” oraz Adam „Ozzy” Pietrzak. Od 2014 r. muzykami opiekuje się Aneta Zalejska oraz Janusz Yanina Iwański. W czerwcu 2015 r. ukazał się ich debiutancki krążek *Mój Aniol Stróż*. Lider Paragrafu 64 wystąpił także 3 września podczas kolejnego spotkania *Żywa biblioteka*. W ten sposób zainaugurował projekt solowy, promowany singlem *Prostownik myśli*. Do współpracy zaprosił Dariusz Pacudę (skrzypce), Marcina „Martineza” Grodzkiego (perkusja) oraz Maćka „Kora” Korzeniewskiego (klawiszowe).



Aleksander Spyra, kustosz Muzeum Prasy Śląskiej, opowiadał o nowej publikacji i rekonstrukcji odsłoniętego poddasza

ART.eria

CZĘSTOCHOWA. W tym roku Festiwal Sztuki ART.eria (7–11 IX) odbywał się pod hasłem *Obszar wspólny, obszar miejski*. Organizatorzy szóstej odsłony poza środkami z budżetu miejskiego oraz ze zbiórki publicznej otrzymali także dotację z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Tradycyjnie główną przestrzenią pozostawały aleje, oś artystyczna przebiegała więc od instalacji Szymona Motyla na Starym Rynku aż po park im. S. Staszica, gdzie odbył się m.in. koncert Sylwii Chutnik z zespołem PSM. W tym roku jednak przyczółkami artystów były także Skwer Solidarności oraz Centrum Promocji Młodych. Po tegorocznym festiwalu zostaną w mieście dwa malowidła na ścianach budynków – na rogu ulic Nowowiejskiego i Waszyngtona *Our Rust* o przemijaniu materii, wykonany przez grupę Monstfur, a na tarasie MGS praca *xO= : O;>* dwóch częstochowianek, obecnie studentek ASP we Wrocławiu – Agaty Lankamer oraz Emilii Dudziec. Artystki inspirowały się twórczością Włodzimierza Ściegiennego, znanego w Częstochowie choćby z mozaik zdobiących budynki miejskie. Wśród działań pojawiły się m.in. wspólne spacer i grillowanie w centrum miasta zorganizowane przez grupę FRiKO, lektura listów częstochowian zbieranych przez Bognę Burską czy wykład Mikołaja Ratajczaka na temat współczesnego kapitalizmu. W porównaniu z poprzednimi spotkaniami, wydają się, że tegoroczny festiwal nie strzelał tak głośno jak zwykle, a artyści byli nieco mniej widoczni w mieście niż w poprzednich latach.

Święto Miasta

CZĘSTOCHOWA. W ostatni weekend wakacji odbyły się Dni Częstochowy, które w tym roku wpisywały się w kampanię odzyskiwania przez miasto statusu województwa. W sobotę za pętlą tramwajową wystąpili artyści wywodzący się z naszego miasta: Agata Dziarnagowska, Sarius, Shambo, Habakuk, Formacja Nieżywych Schabuff i wreszcie T. Love. Koncert mieniący się stylami muzycznymi poprowadził Ireneusz Bieleninik. Natomiast dzień później na placu Biegańskiego wystąpiła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej. Oczywiście, świętowanie zaczęło się już 26 sierpnia. Tego dnia można było obejrzeć ekspozycję w Parku Miniatur Sakralnych. W kolejne dni odbył się także jarmark staroci, 31. Częstochowski Rajd Pojazdów Zabytkowych (pojawił się tu m.in. McLaughlin z 1919 r.), Częstochowska Czwartka dla fanów szybkich samochodów, Festiwal Kolorów w parku na Lisincu; otwarto Gabinet Wybitnych Częstochowian poświęcony jednej z najważniejszych dyscyplin sportowych w mieście – żużlowi. Święto zakończyła gala wszech walk, uświetniona występem Edyty Górniak.

Zwycięzcy miniaturzyści

CZĘSTOCHOWA. Jednym z ważnych punktów tegorocznych Dni Częstochowy było rozstrzygnięcie 9. Międzynarodowego Biennale Miniatury w OPK Gaude Mater. Spośród 887 prac 325 autorów na wystawę wybrano 277 miniatur. Jury: prof. Adam Romaniuk (ASP Kraków) – przewodniczący, dr hab. Anna Wysocka (Toruń), Anna Trochim (Warszawa), dr hab. Tomasz Chudzik (AJD Częstochowa), przyznało 5 nagród i 11 wyróżnień. Grand Prix (1500 euro) zdobyła Marzena Zacharewicz z Radomska. Nagrodzono również: Mariusza Dańskiego z Radomia (1000 euro), Cleo Wilkinsona z Australii (750 euro), Małgorzatę Strzelec z Radomia (500 euro) oraz Alexandrę Jakobhazy z Rumunii (nagrada Dziekana Wydziału Sztuki AJD – 1500 zł). Na wystawę, której komisarzem była Justyna Warwas, zakwalifikowano także prace artystów częstochowian, m.in.: Aleksandry Kowalskiej, Lecha Leddeckie-



Jadwiga Smykowska Anno Domini 1988,
drzeworyt sztorcowy



Piotr Zemanek



Tegoroczne wakacyjne koncerty w Częstochowie
zakończył Zespół Paragraf 64

Fot. Aneta Zalejska

go, Agnieszki Półtoli, Rafała Stępnika, Matyldy Ślosarskiej oraz Grzyny Tarkowskiej. Wystawę można było oglądać do 10 października. Po tem zaczęła objeżdżać: Kraków, Kalisz, Piłę, Rzeszów, Warszawę, Wrocław, Tarnów, Pforzheim oraz Brukselę.

Jedyna taka noc

CZĘSTOCHOWA. 17 września po raz trzynasty odbyła się Noc Kulturalna. W tym roku promował ją czarny kot Nocur wraz z grupą trzydziestu wolontariuszy. Wystąpili m.in.: Karolina Czarnecka, Krzysztof Niedźwiecki, Superpalka, AmperA, Teatr Papahema z Mateuszem Trzmielmem przedstawił spektakl *Moral Insanity. Tragedia ludzi głupich*. Były filmy, w tym prace eksperymentalne częstochowskich artystów, układanie poezji, wykłady, wspólne zwiedzanie wystaw, a także warsztaty. Tej nocy odbył się także wernisaż wystawy *Kobieta w twórczości Szymbona Wypycha* w Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica, a także pokaz mody przygotowany przez uczniów Zespołu Szkół Przemysłu Mody i Reklamy im. W. S. Reymonta *Wjść z cienia*, już po raz kolejny odbywający się w przestrzeni MGS. Wszystkie wydarzenia odbywały się między 3.30. Przedsięwzięcie koordynowała Katarzyna Strojec.

Nagrody Marszałka dla animatorów kultury

OPOLE. Marszałek Andrzej Buła podczas gali w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu wręczył nagrody i wyróżnienia animatorom i twórcom kultury z województwa opolskiego. Uehonorowani zostali: ks. prałat Bernard Jozsko z Biskupic – społecznik, animator kultury, popularyzator lokalnej historii i kustosz dziedzictwa kulturowego, Wojciech Dominiak – dyrektor Muzeum Ziemi Prudnickiej, Bogdan Jasiński – kustosz Muzeum Wsi Opolskiej, dziennikarz Edward Pochroń i Dorota Witoszyńska – nauczycielka Zespołu Szkół Zawodowych nr 1w Brzegu oraz Alexander Devosges-Cuber – dyrektor Muzeum Regionalnego w Głogówku.

Gratulując nagrodzonym marszałek Andrzej Buła powiedział: *do krzewienia kultury potrzebna jest odwaga, wrażliwość i pasja, bowiem im więcej jest tych cech, tym życie kulturalne naszego regionu jest barwniejsze. Życzę, aby Państwa zaangażowanie przyciągało młodych ludzi, aby współtworzyli oblicze regionalnej kultury, która współuczestniczy w dziele tworzenia pięknego pejzażu kultury Śląska Opolskiego.* Po wręczeniu laureatom pamiątkowych statuetek, nastąpiła część, podczas której honorowe wyróżnienia otrzymali kolejni animatorzy i twórcy kultury. Jolanta Bełgińska – nauczycielka języka polskiego w PSP w Lubnianach, Maria Korzonek – twórczyni ludowa ze Staniszyc Małych, Łukasz Litwinowicz – prezes Stowarzyszenia Ochrony Dóbr Kultury w Dąbrowie, ks. Grzegorz Poźniak – dyrektor Diecezjalnego Instytutu Muzyki Kościelnej, Lidia Szpak – nauczycielka z Branic, Rodzina Trąbczyńskich (Anna, Barbara, Ewa – rzemiosło artystyczne) z Lubnian oraz Romuald Babicki – kronikarz historii Kędzierzyna-Koźła. Następnie z okazji jubileuszu 70-lecia Państwowej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Opolu, Marszałek wręczył dyrektce Oznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego”. Warto podkreślić, że PSM w Opolu wykształciła wielu znakomitych muzyków, odnoszących sukcesy artystyczne i pedagogiczne w kraju i za granicą. Uroczyste spotkanie animatorów i twórców kultury Śląska Opolskiego zakończyło wspólne zdjęcie laureatów i wyróżnionych oraz spektakl teatralny „Uroczystość” w wykonaniu aktorów Teatru im. Jana Kochanowskiego, wyreżyserowany przez Norberta Rakowskiego.

Europejskie Dni Dziedzictwa w Opolskim

OPOLE. Sukcesem zakończyła się tegoroczna edycja imprezy pod hasłem „Gdzie duch spotyka się z materia”, popularyzującej dziedzictwo kulturowe regionu. Organizatorzy odnotowali ponad 41 tysięcy uczestników i blisko 200 wydarzeń, które odbywały się w 56 miejscowościach. Jednak nie tylko statystyki zrealizowanych przedsięwzięć mogą cieszyć współorganizatorów EDD (samorządy, instytucje kultury oraz stowarzyszenia), ale przede wszystkim rosnące zainteresowanie ze strony lokalnych społeczności, które są coraz bardziej świadome odpowiedzialności za los obiektów zabytkowych, aktywnie działając na rzecz ich odbudowy, konserwacji oraz popularyzacji wiedzy o ich historii. Narodowy Instytut Dziedzictwa (koordynator krajowy EDD) docenił organizatorów najciekawszych wydarzeń przyznając nagrody poszczególnym osobom oraz instytucjom. Otrzymali je: Dariusz Zięba – Stowarzyszenie „Zielony Most” w Skorogoszczu, Roman Jarosiński – Stowarzyszenie „Dolina Małej Panwi” w Ozimku, Miejska Biblioteka Publiczna w Kędzierzynie-Koźlu, Adrian Dwornicki – portal „Otmuchowski zabytki i osobliwości”, Informacja Turystyczna w Nysie – Bastion św. Jadwigi. Inauguracja wojewódzka EDD odbyła w Prudniku na pograniczu polsko-czeskim, gdzie prezentowano wielokulturowe dziedzictwo miasta ze szczególnym uwzględnieniem jego tradycji przemysłowych. Jednym z najciekawszych wydarzeń było również Święto Mostu i Zeliwa w Ozimku połączone ze zwiedzaniem Muzeum Hutnictwa doliny Małej Panwi oraz plenerową inscenizacją dziewiętnastowiecznej bitwy o most, który zbudowano w 1827 roku, jest on najstarszym żelaznym mostem wiszącym w Europie kontynentalnej.

W Sosnowcu rozdano nagrody i nominacje

SOSNOWIEC. 12 września w sali widowiskowej Muza w Sosnowcu odbyła się inauguracja roku kulturalnego. Podczas uroczystości wręczone zostały nagrody kulturalne miasta Sosnowca. Tegorocznymi laureatami zostali: Małgorzata Dajewska i Sławomir Korczyński. Profesor Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu Małgorzata Dajewska (nagroda za całokształt twórczości) jest sosnowiczką. Artystka wykorzystuje w swojej twórczości głównie szkło zarówno w formach użytkowych, jak i np. rzeźbach. Jest jednym z prekursorów nurtu polegającego na tworzeniu dzieł przestrzennych z wielu szklanych fragmentów. Nagrodzona między innymi: Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki za dorobek artystyczny i pedagogiczny, Odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej, medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” ... Dzieła artystki znajdują się w wielu polskich muzeach, jej twórczość znana jest i doceniana w całym świecie. Sławomir Korczyński (nagroda za upowszechnianie i ochronę kultury) znany jest szerokiej publiczności regionu. Konferansjer, śpiewak, autor piosenek, poeta, organizator imprez artystycznych. Był jednym z inicjatorów budowy sali koncertowej przy Szkole Muzycznej im. J. Kiepury w Sosnowcu. Został uhonorowany wieloma nagrodami, a także medalem „Za Zasługi Dla Kultury Polskiej”. Doceniano również jego działalność na rzecz kościoła. Sławomir Korczyński jest społecznikiem, zaangażowanym m.in. w życie sosnowieckiego Hospicjum im. św. Tomasza. Wspiera też działalność Caritasu. W 2015 r. otrzymał medal „Za Zasługi Dla Kultury Polskiej”. Wręczone także nominacje do miejskiej rady kultury. Otrzymali je dyrektor Sosnowieckiego Centrum Sztuki Zamek Sielecki Jolanta Skorus, fotografik Zbigniew Podsiadło, prezes fundacji im. Jana Kiepury Jolanta Szczurek, radna Renata Zmarzlińska-Kulik, prezes Forum dla



Esther Nisenthal Krinitz *Czarne niebo nad nami*

Zagłębia Dąbrowskiego Dariusz Jurek, dyrektor Teatru Zagłębia Zbigniew Leraczyk, poeta Sławomir Matusz, pracownik Wydziału Kultury i Komunikacji Społecznej Urzędu Miejskiego w Sosnowcu Wojciech Skiba oraz Marek Zieliński, dyrektor Ars Cameralis, który jest przedstawicielem Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. Artystycznie imprezę uświetnił Marek Dyjak.

Niezwykła historia Esther Nisenthal Krinitz

BĘDZIN. Esther Nisenthal Krinitz podczas okupacji hitlerowskiej w Polsce, podając się za polską katoliczkę, córkę rolnika z północy kraju przetrwała wojnę. Ponad 30 lat po jej zakończeniu kobieta postanowiła za pomocą własnych prac opowiedzieć bliskim o swoich wojennych losach. Esther była krawcową, ale nie posiadała wykształcenia artystycznego. Mimo to, przy użyciu różnych rodzajów materiału, igły i nici, stworzyła serię 36 kolaży, charakteryzujących się żywymi kolorami i dbałością o szczegóły oraz realizmem właściwym sztuce ludowej. Precyzyjnie wyszyte pod obrazami słowa składają się na poruszającą opowieść o przetrwaniu. Choć jej kolorowe obrazy na pierwszy rzut oka wydają się niemal radosne, ich bliższa analiza ujawnia uderzający kontrast pomiędzy sielskimi krajobrazami a przemocą, przerażeniem i zdradą, które je wypełniają.

Prace Esther Nisenthal Krinitz są regularnie wystawiane w muzeach i galeriach w Stanach Zjednoczonych. Jednakże ona sama zawsze mówiła, że nie tworzyła ich, by prezentować je na wystawach, ale by przekazać bliskim swoje wspomnienia, stworzyła je dla swoich córek. W 1999 r. Esther przyjechała do Polski, by pokazać swoim córkom i wnukom wszystkie miejsca, które znali tylko z jej obrazów. Esther Nisenthal Krinitz zmarła w 2001 r. Muzeum Zagłębia w Będzinie zaprasza na tę wyjątkową wystawę: „Obrazy przetrwania. Opowieści Esther Nisenthal Krinitz”, która prezentowana jest w Podziemiach Będzińskich do 30 listopada. Ekspozycje pochodzą z zbiorów Żydowskiego Muzeum Galicja z Krakowa.

W SKRÓCIE...

- Wystawę „Memento Mori. Pochówki panów pszczyńskich” otwarto w Muzeum Zamkowym w Pszczynie.
- Z okazji 10-lecia współpracy Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach z BPSC SA przygotowana została w galerii Rondo Sztuki w Katowicach wystawa najlepszych dyplomów ASP ostatniego dziesięciolecia.
- Miasto Zabrze i Muzeum Miejskie w Zabrzu zapraszali na wernisaż wystawy Gianni Turella. Kolor nieujarzmiony.
- W galerii Polskiego Radia Katowice gościła wystawa malarstwa Grażyny Zarzeckiej.
- W katowickiej Galerii Sztuki Współczesnej BWA otwarta została wystawa „Atelier 34 zero Muzeum prezentuje”, która prezentowała zbiory sztuki współczesnej (malarstwo, rzeźbę, rysunek i fotografię), jakie na przestrzeni 35 lat zgromadziło Atelier 340 Muzeum w Brukseli.
- Miejska Biblioteka Publiczna w Bytomiu oraz Stowarzyszenie MY-bytomianie byli organizatorami spotkania autorskiego z Leszkiem Engelkingiem, który zaprezentował swój nowy tomik wierszy zatytułowany „Suplement”.
- Konferencja pt. „Bytom – nasza tożsamość. Ludzie, kultura, środowisko” odbyła się z okazji Światowego Zjazdu Bytomian, a odbyła się w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

- „W sercu starożytnego miasta” to tytuł wystawy fotografii Roberta Słabońskiego, którą pokazało Muzeum Śląskie.
- W Muzeum Historii Katowic gościła wystawa fotografii Krzysztofa Szlapy pt. „Refleksje. Fotografie z lat 2006–2016”.
- Okręg Katowicki Związku Polskich Artystów Plastyków zapraszał do galerii Art. Nova 2 na wystawę grafiki „Odbicie” z udziałem kilkunastu autorów.
- 4. Festiwal Nowej Scenografii pt. „Miejsca – nie – miejsca” odbywał się w Muzeum Śląskim. Przy tej okazji wręczone zostały nagrody w konkursie o Nagrodę Scenograficzną im. Jerzego Moskala.
- W Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej w Będzinie odbył się wieczór poświęcony pamięci prof. Włodzimierza Wójcika, zatytułowany „Takim go pamiętamy”.
- Muzeum w Chorzowie zaprasza na X Spotkania z numizmatyką, podczas których odbędzie się m.in. wykład Sławomira Liszewskiego „Motywy nieislamskie na wczesnych monetach kalifatu” oraz „Jak czytać średniowieczne dirhemy arabskie”. Spotkaniu będzie towarzyszyć wernisaż wystawy „Od drachmy do dinara. Pieniądz arabski w pierwszych wiekach islamu”.
- W galerii „Wejściówka” w Częstochowie gościła wystawa fotografii Cezarego Miłosia.
- W częstochowskim Odwachu w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!* odbyło się spotkanie ze Sławomirem Sierakowskim.
- Okręg Gliwicko-Zabrzeński Związku Polskich Artystów Plastyków zorganizował wystawę w gliwickim Centrum Organizacji Kulturalnych przy ul. Studziennej 6. Tym razem gościł kolegów z Bielskiego Okręgu ZPAP. Wernisaż ekspozycji bielskich artystów odbył się 12 października 2016 r.
- 10 października na scenie Teatru Lalek Białaluka zaprezentowano spektakl pt. *Baśń o Rycerzu bez Konia* Marty Guśniowskiej w reż. Janusza Ryla-Krystianowskiego. Widowisko było transmitowane „na żywo” do sieci internetowej do uprawnionych szkół na terenie całego kraju w ramach projektu Internetowego Teatru TVP dla Szkół.
- 30 września i 1 października w Bielsku-Białej odbył się Festiwal Kabaretowy Fermenty 2016. W pierwszej części wieczoru wystąpił laureat zeszłorocznego konkursu Antoni Gorgoń Grucha. Kabaretową gwiazdą gali była natomiast formacja Hrabi. Wystąpiły ponadto najlepsze polskie młode formacje kabaretowe „wybrane w drodze selekcji wedle kryterium śmieszności”: Kabaret A Jak, Szymon Łątkowski, David Mbeda Ndege, Magda Kubicka, Trzecia Strona Medalu, Nomen Omen, gwiazda wieczoru: Kabaret BudaPesz – laureat jednej z nagród specjalnych tegorocznej PAKI.
- 24 września w Bielsku-Białej odbył się „Mappfest” 2016 – festiwal mappingu przestrzennego. W programie znalazły się m. in. projekcje mappingów – wielkoformatowych animacji wyświetlanych na fasady zabytkowych bielskich budowli związanych z kulturą.
- We wrześniu swoje dzieła prezentowali artyści z Bielska-Białej: Joanna Rzeźnik w Galerii Akademickiej ATH, Teresa Sztwiertnia w Galerii Ars Nova, a Michał Kliś w Galerii w Rogu w Regionalnym Ośrodku Kultury.
- 13 września 2016 r. w Dzielnicowej Bibliotece Publicznej przy ul. 11 Listopada miało się odbyć spotkanie z pisarzem Michałem Witkowskim, które odwołano. 21 września z półtoragodzinnym wyprzedzeniem wobec pierwotnego terminu odbyło się natomiast w Książnicy Beskidzkiej spotkanie z prof. Jerzym Bralczykiem i mgr Michałem Ogórkim. Przybyły tłumy.
- 20 września w Książnicy Beskidzkiej tłumów niestety nie było na spotkaniu autorskim Jerzego Kronholda. Szkoda, gdyż cieszyński mistrz słowa zaprezentował wiersze ze swego tomu „Skok w dal”, w którym we wzruszający sposób opowiada o miłości.
- Nowym dyrektorem Miejskiego Centrum Kultury „Integrator” w Skoczowie została znana działaczka kultury Julia Raszka z d. Broda. Jej dziadkiem był słynny skoczowski bibliofil Jan Broda, a ojcem artysta plastyk i pedagog Jan Broda jr.
- 2 września w parku im. Stanisława Staszica w Częstochowie w altanie odbyło się Narodowe Czytanie; fragmenty *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza prezentowali politycy, przedstawiciele władz miasta, stowarzyszeń kulturalnych oraz młodzież szkół noszących imię noblisty;
- W II Otwartych Mistrzostwach Częstochowy w Fotografowaniu „Fotomaraton nagrodzono: Sylwię Górę z Sulmierzyc, Joannę Mrówkę z Krakowa oraz Agnieszkę Tyś z Częstochowy; prace oceniali: Tomasz Tomaszewski oraz Arkadiusz Ławrynowicz.
- W Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu 5 września uroczystie zainaugurował działalność klub artystyczny KOMIN, recital Beaty Przybytek, jazzowej wokalistki, pianistki i kompozytorki zapoczątkował w podziemiach ECK nowe wydarzenie jazzowe (i nie tylko) w mieście.
- 25 września z okazji 77. rocznicy powstania Polskiego Państwa Podziemnego, Pałac Schoena Muzeum w Sosnowcu oraz Fundacja „Sztafeta” zaprosiły na koncert pieśni żołnierskich, partyzanckich i powstańczych pt. „Śpiewajmy Żołnierzom Wolności”.
- W Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi gościła wystawa poplenerowa Stowarzyszenia Twórców Zagłębia Dąbrowskiego.
- 30 września w sosnowieckiej Muzie wystąpił zespół Acid Drinkers.

Pół świni na Marsie

JAROSŁAW STARZYK

W sali dla palących kawiarenki Dżonego (ciągle nie wiemy dlaczego znajomi tak go nazywają) było ciepło i przytulnie. Siedziałem tam z sąsiadami przy irlandzkiej kawie. Profesor z naszej klatki jest skończonym humanistą. Taką opinię wyrobiła mu żona, która opowiadała wszystkim sąsiadkom, jak to chciała, żeby naprawił sznur od żelazka (dawniej takie rzeczy się naprawiało). Powiedział jej wtedy: „Kochanie, ale przecież w tym kablu został może kawałek prądu! Chcesz, żeby mnie poraziło?”. Niestety, mimo swojego humanizmu nasz osiedlowy uczonek interesuje się również naukami ścisłymi i postępowaniem. Niedawno zmęczył nas opowieścią o tym, jak rozumiał topologię cząsteczek, dzięki bulce, obwarzankowi i preclowi, których użył jakiś Szwed, żeby wytłumaczyć szerszej publiczności, za co dali w tym roku jednego „nobla”. Teraz profesor zafascynował się Marsiem.

– ... i ten amerykański miliarder chce uratować ludzkość – opowiadał. – Już w 2030. albo 2040. wyśle tam swoją raketą pierwszych Ziemian!

– Mnie to już nie dotyczy, więc nic mnie to nie obchodzi – pomyślałem.

– Już jest gotowa pierwsza, największa na świecie rakietka – entuzjastycznie powiedział profesor. – Pokazał jej zdjęcia...

– Nie takie rzeczy da się zrobić w fotoszopie – prychnął nasz osiedlowy biznesmen.

– Trywialny komentarz – z dezaprobatą orzekł naukowiec. – A tymczasem ci kosmonauci będą bohaterami! Będą musieli planetę ocieplić, stworzyć, czy raczej przetworzyć albo dostosować do naszych potrzeb jej atmosferę, odsolić wodę, która tam płynie słona, bardzo słona, bo inaczej by zamarzała, będą musieli zacząć uprawę roślin... Co za wyzwanie!

– Ludzie to schrzanią jak Australię – orzekł nasz osiedlowy przedstawiciel klasy średniej. – Jakżem chodził do szkoły, to mnie uczyli, że ci, co zasiedlali Australię, sprowadzili tam jakąś roślinę, bardzo pożyteczną w innych miejscach świata. Zapomniałem, co to było... Kukurydza? Nie wiem. W każdym razie uprawa tej rośliny bardzo się tam udała. Za bardzo, bo ona wykańczała wszystkie miejscowe. I musieli sprowadzić króliki. Jak się te króliki nażarły, to zaczęły się mnożyć i żreć wszystkie inne zwierzęta. To Australijczycy sprowadzili na nie psy. Psy, po królikach (a może jeszcze wcześniej), zabrały się za inne stworzenia, mogły więc w tej Australii całkiem wyginać te – jak się to teraz mówi – gatunki zagrożone. To próbowali te psy wystrzelać, ale psy nie są głupie, więc się zrobiły żółte, żeby ich nie było widać na tej pustyni, i nazwały się „dingo”. Nie wiem, jak się to dokładnie skończyło, bo z biologii to najlepszy nie byłem.

– Przystanie pan sobie kpić, kiedy uczeni panu dowiodą, że czas Ziemi się kończy, że przetrwa nasz gatunek, który też jest zagrożony, tylko na Marsie – powiedział profesor.

– Ja tam się nie boję, bo mam krewnych na wsi – ripostował biznesmen. – W stanie wojennym, jak nic nie było, to kilka razy maluchem pół świni żem przywiózł. Zresztą państwo wiecie, bo żeśmy wam i krupnioków dali. Za darmo – podkreślił.

– Nie mówię tylko o Polsce – polemizował uczonek. – O Ziemi mówię. Przegrzanej, bez wody, zatrutej, zatopionej przez wodę z biegunów...

– Jeszcze trzy kawy po irlandzku poproszę – odezwałem się po raz pierwszy tego popołudnia, ale nie do sąsiadów, tylko do Dżonego. Każdy z nich bowiem wiedział swoje. Z czułością pomyślałem o Sokratesie, który wiedział tylko, że nic nie wie.

ŚLASK

Mistrzowie fotografii

W kolejnym cyklu „Śląska”, który zatytułowaliśmy po prostu „Mistrzowie fotografii”, prezentować będziemy wybitnych przedstawicieli tej dziedziny sztuki.

Będą to artyści związani ze Związkiem Polskich Artystów Fotografików i twórcy niezrzeszeni, przedstawiciele kilku pokoleń. Każdy z nich przedstawi jedną ważną w swoim dorobku pracę. Czytelnicy otrzymają w ten sposób kolekcję fotografii, których autorami są twórcy związani z regionem śląskim, a sięgniemy także do pobliskiego Opola. Tworząc jak najbardziej reprezentatywny zbiór chcemy pokazać, że Śląsk to od lat zagłębie fotografii na najwyższym, europejskim poziomie.



Fot. Bogdan Kulakowski

Waldemar Jama

Urodzony w 1942 r. w Praszcze. Dyplom z fotografii na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Od 1973 roku jest członkiem ZPAF, a także – czwartą kadencją – Rady Artystycznej ZPAF. W 2004 r. otrzymał tytuł profesora. Prowadził fotografię na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach i Gdańsku. Uprawia fotografię inscenizacyjną i dokument.

Autor wielu wystaw indywidualnych i uczestnik znaczących zbiorowych w kraju i za granicą. Otrzymał medal im. J. Bułhaka za wybitne osiągnięcia twórcze w fotografii (1997 r.). Jego prace znajdują się w zbiorach wielu muzeów i osób prywatnych. Jest rzeczoznawcą fotografii przy Ministrze Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Stypendia artystyczne MKiS w dziedzinie fotografii w 1981 i 1998 r. W 2009 r. otrzymał srebrny medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”.



Waldemar Jama, Manekin, 1966



Muzeum
Śląskie

Nowe cykle edukacyjne w Muzeum Śląskim

- **Muzeum dla malucha** (4–6 lat)
- **Bajtle godajom w muzeum** (6–9 lat)
- **Muzeum z każdej strony** (6–12 lat)
- **Znani i zapomniani** (młodzież i dorośli)



Cykle edukacyjne dla dzieci i dorosłych, oferta dla szkół oraz dodatkowe wydarzenia edukacyjne dostępne na stronie www.muzeumslaskie.pl w zakładce EDUKACJA